tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 25 (1380)
15-21.06.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)



TADEUSZ MAZOWIECKI
ZASŁUŻYŁ NA POMNIK

PATRYKA JAKIEGO
AFERA WIĘZIENNA

AfD MASZERUJE
PO WŁADZĘ

JAKUB DYMEK
REWOLUCJA AMBICJI

Mirosław Baka

MÓGŁBY ZAGRAĆ WSZYSTKO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl ffe8783b81

TEATR CAPITOL

ZAPRASZA







PÓŁ ŻARTEM...

tłumaczenie tekstu i reżyseria OLAF LUBASZENKO

autor PETER QUILTER

Tego lata wszystko może się zdarzyć

Warszawa:
18, 19 i 22 czerwca

Warszawa:
10 i 11 lipca

Warszawa:
8, 27 i 28 sierpnia

Capitalne LATO

Gramy przez całe wakacje!

- kultowe komedie w gwiazdorskiej obsadzie
- bogata oferta spektakli dla dzieci i młodzieży
- komfortowe, klimatyzowane sale teatralne
- orzeźwiające koktajle i letnie drinki



• KUP BILET TEATR CAPITOL •

www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl fle5783b81



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Nie mamy polityki wschodniej

Dyskusja po kolejnej bulwersującej Polaków decyzji prezydenta Zełenskiego pokazuje, jak niewiele w gruncie rzeczy wiemy o naszym sąsiedzie. Jedni widzą tam wszystko, co najgorsze. Triumfalny marsz banderyzmu i nacjonalistów po władzę. Korupcję o trudno wyobrażalnej skali, w której tkwią ludzie z najbliższego otoczenia Zełenskiego. I coraz częściej pojawiający się zarzut, że to prezydent jest patronem tego układu korupcyjnego. Tak szerokiego, że na korupcji przyłapano m.in. byłego prezesa Sądu Najwyższego.

Na drugim biegunie są ci, którzy patrzą na Ukrainę z bezgraniczną wyrozumiałością. Jakby ciągle wierzyli niemądrej deklaracji, że „Polska jest sługą narodu ukraińskiego". Usprawiedliwiają wszystko, co robią politycy ukraińscy. Nawet jawnie antypolskie decyzje. Jak mantrę powtarzają jeden argument: Ukraińcy walczą z Rosją. A każdego, kto walczy z Rosją, musimy wspierać. Bezwarunkowo. Przemilczają więc wszystko, co mogłoby zakłócić ten wyidealizowany i sztucznie kreowany obraz.

Niestety, takiej Ukrainy, którą mają w sercach, po prostu nie ma. I pewnie nigdy nie było. Co gorsza, z każdym kolejnym rokiem problemów przybywa. Od Majdanu, gdzie pojawiły się pierwsze bojówki banderowskie, nacjonalizm ukraiński tak urósł w siłę, że musi się z nim układać sam Zełenski. Doszło do tego, że niczego już nie może nacjonalistom odmówić. To oni przejęli na Ukrainie rząd dusz. A Zełenski jest przez tych z krwi i kości banderowców ledwie tolerowany. Jeszcze. I żadne wygibasy tego nie zmienią. Tak obficie ich karmił, że stali się potężną siłą, której nie jest już potrzebny.

Jeśli ten pesymistyczny scenariusz się spełni, to jak sobie wyobrażamy relacje z Ukrainą rządzoną przez nacjonalistów? Jaką mamy politykę wschodnią? Jaka jest nasza strategia wobec wszystkich państw na wschodniej granicy?

Co wiemy już dzisiaj? Ukraina nie zejdzie z obranej drogi. A Polacy w większości nie zaakceptują tego, jak są przez polityków ukraińskich traktowani. Do głosu po obu stronach doszli cynicy, którzy będą podgrzewali nastroje dla własnych interesów. Taka nawalanka będzie im się opłacała. Im tak. Ale dla zwykłych ludzi, Ukraińców, ciężko pracujących i bardzo potrzebnych w Polsce, to nieszczęście. Prawdziwy dramat, z którym musimy się zmierzyć, póki jeszcze są szanse, by tę falę szczucia zastopować.

Drodzy Czytelnicy, zachęcam do korzystania z paczkomatów. Są prawie wszędzie, a miejsc, gdzie można kupić „Przegląd", ubywa. Spróbujcie! Jeżeli pojawi się jakiś problem, chętnie pomożemy – tel.: +48 22 635 84 10.

InPost Paczkomat 24/7

ZAMÓW PRENUMERATĘ **PRZEGLĄDU** sklep.tygodnikprzeglad.pl

BĄKOWSKI



eprasa.pl ffe8783b81

W NUMERZE

KRAJ

8 **Premier na najtrudniejsze czasy**
Postawmy pomnik Mazowieckiemu

11 **Przestępczy patronat Patryka Jakiego**
Afera w Służbie Więziennej

16 **Praca bez kołaczy**
Polacy wśród najbardziej zarobionych

18 **Wielki amunicyjny szwindel**
Co z krajową produkcją pocisków?

22 **Adwokat pilnie poszukiwany**
Skazany za oszustwa uciekł

24 **Kobiety zmieniają oblicze światowej technologii**
Women in Tech Summit 2026

27 **Jak uzależnić dzieci od cukru**
Chybiona polityka podatkowa

48 **Nie ma tabletki na samotność**
Cierpią i seniorzy, i młodzi

OPINIE

23 **Andrzej Wilk**
Prezydent to nie udzielny monarcha

54 **Jakub Dymek.**
Rewolucja ambicji
Jak zmienia się Polska?

KULTURA

28 **Winny jestem losowi wdzięczność**
Mirosław Baka mógłby zagrać wszystko

32 **Tajemnice „Japonki" Pankiewicza**
Ile osiągnie na aukcji?

59 **Qulturalia**

66 **Świat uczuć i wyobraźni**
Fotografie Zofii Rydet

MEDIA

34 **Grand Press Photo 2026**
Fotografie Szymona Muszańskiego

ZAGRANICA

36 **Marsz po władzę**
AfD gra narodowym egoizmem

40 **Nieznośny cień sąsiada**
Meksyk walczy z Trumpem

56 **Stracone pokolenie?**
Korespondencja z Francji

HISTORIA

44 **Polska w czasie Wielkiego Kryzysu**
– rozmowa z dr. Kamilem Piskałą

SPORT

60 **Tak się już nie gra w tenisa?**
Maja Chwalińska podbiła Paryż

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Nie mamy polityki wschodniej

21 **Jan Widacki**
Baczność! Równaj w prawo!

43 **Tomasz Jastrun**
Nieznośna lekkość uogólniania

51 **Wojciech Kuczok**
Domostwo wędrowne

53 **Roman Kurkiewicz**
Premierka Domi Lasota?
Owszem i szkoda czasu



24 KRAJ

KOBIETY ZMIENIAJĄ OBLICZE ŚWIATOWEJ TECHNOLOGII

Women in Tech Summit 2026



40 ZAGRANICA

NIEZNOŚNY CIEŃ SĄSIADA

Meksyk walczy z Trumpem



60 SPORT

TAK SIĘ JUŻ NIE GRA W TENISA?

Maja Chwalińska podbiła Paryż



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ffe8783b81

Krótka pamięć apologetów NSZ

Twierdzenie, że Wierzchowiny były największą zbrodnią w Europie tuż po zakończeniu II wojny światowej, to rażący błąd i fałsz, który całkowicie ignoruje przerażającą skalę powojennych czystek etnicznych i politycznych na kontynencie. Wystarczy wspomnieć dokonaną przez komunistyczną partyzantkę Tity w maju i czerwcu 1945 r. masakrę w Bleiburgu oraz powiązane z nią marsze śmierci, gdzie bez sądu zamordowano od kilkudziesięciu do ponad 100 tys. wziętych do niewoli żołnierzy i uciekających z nimi cywilów. W tym samym czasie w trakcie brutalnych wysiedleń Niemców Sudeckich doszło do takich potworności jak masakra w Postoloprtach, gdzie czechosłowackie wojsko rozstrzelało ponad 2 tys. osób, czy marsz śmierci z Brna, który kosztował życie tysiące cywilów. Śmierć każdego niewinnego człowieka w Wierzchowinach to potworny dramat, ale robienie z tej tragedii największego mordu powojennej Europy to ordynarna publicystyka, która zamiast służyć prawdzie, służy wyłącznie ideologicznemu podbijaniu bębenka.


Krótka pamięć apologetów NSZ

Pamiętając o zbrodniach UPA nie można zapomnieć o Wierzchowinach

Stefan Łyżko

Z UPA na piedestale


Z UPA na piedestale

Państwowe polityka historyczna Ukrainy została oparta na kłamstwie

Problem w ogromnym stopniu wygenerowała polska strona w osobie pana prezydenta Dudy i jego otoczenia. Była to fatalna prezydentura, szczególnie na płaszczyźnie relacji polsko-ukraińskich. A zatem mamy, co mamy. Ukraina nie tylko nie zmieniła swojej narracji historycznej, ale wręcz ją zaostrzyła, za nic mając odczucia Polek i Polaków. Pamiętam nadanie przez ukraińskiego prezydenta tytułu Miasta Ratownika Przemyślowi i stolicy województwa podkarpackiego. Od samego początku wiedziałem, że to pusty gest, i mówiłem o tym publicznie. Których „bohaterów UPA" miał na myśli Zełenski? Może tych, którzy do czasu koniecznej operacji „Wisła" (1947) napadali i mordowali Polaków w Birczy i innych podprzemyskich miejscowościach? A może tych, którzy w Wiązownicy koło Jarosławia zamordowali w ciągu jednego dnia 100 osób?

Damian Paweł Strączyk

•

To, co robią władze Ukrainy, jest dla Polaków szokujące. Ale jeśli spojrzeć na chłodno, to władze ukraińskie postępują podobnie jak władze polskie. Dla wielu Europejczyków Bandera był groźny. Dla wielu Europejczyków „Łupaszka" czy „Ogień" to też było zagrożenie życia. Historię należy znać, ale nie powinno się narzucać własnej interpretacji poprzez stawianie pomników czy nazwy miejsc publicznych.

Józef Brzozowski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Pierwsza bramka tegorocznego mundialu padła w dziewiątej minucie meczu otwarcia Meksyk-RPA. Szczęśliwym strzelcem został reprezentant Meksyku Julián Quiñones. Meksyk, Estadio Azteca, 11 czerwca 2026 r.

FOT. IMAGO SPORT AND NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl ffe8783b81

Do 319 sądów rejonowych wpłynęło w 2025 r. **2 mln spraw cywilnych,** a do 47 sądów okręgowych 441 tys.

•

Nowym przewodniczącym Krajowej Rady Sądownictwa został **sędzia Dariusz Zawistowski,** który tę funkcję już pełnił.

•

Rośnie liczba przestępstw z nienawiści w stosunku do Ukraińców. W 2023 r. odnotowano 366 takich przypadków, w 2024 r. 534, a w 2025 r. 546. W tym roku w ciągu czterech miesięcy już 226 **(Komenda Główna Policji)**.

•

Spółki deweloperskie mają tak wysokie zyski, że mogą hojnie opłacać swoich prezesów. W 2025 r. gażę powyżej 1 mln zł otrzymało 49 członków i członkiń zarządów. Najwięcej zarobili: Boaz Haim, prezes spółki Ronson Development – 6,6 mln zł, Nicklas Lindberg z Echo Investment – 5,6 mln zł i Małgorzata Czaplicka, prezes GTC – 5,4 mln zł.

•

Sejm przegłosował projekt ustawy w sprawie zakazu patostreamingu. Sprawcom grożą kary więzienia niekrótsze niż pięć lat, a osoby rozpowszechniające takie treści mają podlegać karze pozbawienia wolności od trzech miesięcy do pięciu lat.

•

Jan Rodzeń, niestrudzony na niwie popularyzacji dobrej książki, powszechnie ceniony animator kultury, przyjaciel autorów i wydawców, od 40 lat szef warszawskiego Klubu Księgarza, **obchodzi 80. urodziny. Ad multos annos!**

•

Wszedł w życie przepis nakazujący, by młodzież na rowerach i e-hulajnogach jeździła w kaskach.

•

Karim Khan, brytyjski adwokat, prokurator generalny Międzynarodowego Trybunału Karnego, został zawieszony w czynnościach służbowych z powodu zarzutów o molestowanie seksualne asystentki.

•

Wśród 29 oskarżonych w aferze Collegium Humanum są Adrian Klarenbach (TV Republika) i jego żona Lucyna Klein-Klarenbach. Aferę wykryto we wrześniu 2022 r., gdy na zlecenie prokuratury rządzonej przez Ziobrę CBA weszło do tej uczelni.

•

Rząd węgierski wezwał Zbigniewa Ziobrę i Marcina Romanowskiego, by osobiście złożyli wyjaśnienia w sprawie przyznanego im azylu.

•

Pod koniec 2025 r. liczba duchownych spadła po raz pierwszy w historii poniżej 25 tys.

•

Spośród ok. 1 mln osób chorych na jaskrę większość nawet o tym nie wie.

•

Prawie 30% Polek i Polaków mówi, że mimo chęci nie może znaleźć partnera.

•

Tylko 11% rolników w Unii Europejskiej ma mniej niż 40 lat. W Polsce stanowią oni ponad 20%.

•

1347 ton srebra wydobyli w 2025 r. górnicy z KGHM. Dało im to drugie miejsce na świecie.

PRZEBŁYSKI



Cichocki przejrzał na oczy

Gwiazdeczką mediów stał się ostatnio Bartosz Cichocki. Były ambasador w Kijowie zwrócił otrzymany z rąk prezydenta Zełenskiego w czerwcu 2022 r. Order „Za zasługi" II klasy. Byłego wiceministra spraw zagranicznych w rządzie PiS (2017-2019) i ambasadora Polski w Ukrainie (2019--2023) oburzyło nadanie przez Zełenskiego jednostce wojskowej imienia Bohaterów UPA. Trudno na tę decyzję się nie oburzyć, ale Cichockiemu przejrzenie na oczy zabrało dziewięć lat. Tyle czasu zajmował się Ukrainą i niczego nie widział. Pisowski dyplomata przez dziewięć lat nie słyszał, co wykrzykiwali uczestnicy masowych probanderowskich demonstracji. Oddał jeden order, a co z drugim? W grudniu 2022 r. gen. Załużny uhonorował go Krzyżem Zasługi. Może Cichocki liczy na prezydenturę tego generała? Kabotyńskie gesty po tylu latach na dobrych posadach za bardzo dobre pieniądze to humbug i kpina. Wysyłając Cichockiego do Kijowa, PiS pokazało, jak mierną prowadziło politykę.



Prokurator od swastyki i Cimoszewicz

Czym prokurator Andrzej Stelmaszuk zapracował sobie na uwagę tygodnika „Nie"? Szybkim awansem, a wcześniej, bo w 2016 r., umorzeniem sprawy propagowania faszyzmu przez Nacjonalistyczne Stowarzyszenie Zadruga, które imprezowało na tle swastyki w lesie w Babiej Górze koło Choroszczy. Według Stelmaszuka była to nie swastyka, ale kruszwicka swarga, czyli symbol słowiański. Prokuratura w Białymstoku nie pierwszy raz ma problem z zobaczeniem swastyki w swastyce. W 2013 r. uznała, że swastyka to hinduski symbol szczęścia. Chyba nic dziwnego, że Stelmaszuk szybko awansował w czasach, gdy carem prokuratury był Zbigniew Ziobro, dar PiS dla Trumpa.

Od 2019 r. Stelmaszuk ściga Włodzimierza Cimoszewicza za potrącenie rowerzystki na przejściu dla pieszych. Żeby było ciekawiej, kierowca świetnie zna rowerzystkę, wdowę po dyrektorze szpitala w Hajnówce. Wdowa nigdy nie złożyła pozwu. Stelmaszuk niemający w tej sprawie sukcesów czeka na powrót dojnej zmiany.



Pociąg Gomoły do kasy

Adam Gomoła nie daje o sobie zapomnieć. Posłowanie w Polsce 2050 zaczął od afery. Było tak grubo, że Szymon Hołownia chciał go wyrzucić z partii i z Sejmu. Uległ jednak lamentom Gomoły. Że młody. Że naiwny. No i że się poprawi. Skończyło się na zawieszeniu. A jak Polska 2050 się posypała, to Gomoła wrócił. Z przytupem. Jako twarz partii chodzi po mediach. A jako aferzysta jeszcze bardziej ją dołuje. Czy Pełczyńska-Nałęcz nie ma u siebie nikogo bez zarzutów? Czym się różni dzisiejszy Gomoła od tego, który tak fatalnie wystartował? Na pewno nie stosunkiem do kasy. Lubił ją bardzo i nic się nie zmieniło. W 2025 r. wydał na kilometrówki 43 tys. zł i prawie drugie tyle na wynajem samochodu. Dostaje na to autko co miesiąc 3290 zł. Za tę kwotę można wynająć Mercedesa klasy C. Panie Gomoła, zniknij wreszcie. I wstydu oszczędź Opolszczyźnie.

FOT. YOUTUBE, MATERIAŁY PRASOWE, PAP/ARTUR RESZKO

eprasa.pl ffe8783b81

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



PYTANIE TYGODNIA | Kto jest klasą próżniaczą: artyści czy politycy?

KATARZYNA KRZYWICKA,
socjolożka, współtwórczyni platformy Socjolozki.pl, prezeska i badaczka jakościowa w IRCenter

W socjologii termin klasa próżniacza, wprowadzony przez Veblena, dotyczy osób, które demonstracyjnie konsumują i nie pracują. Aktorzy absolutnie nią nie są; ich wysiłek, sceniczna ekspozycja i plany zdjęciowe są pożyteczne oraz społecznie potrzebne. W przypadku polityków można dyskutować. U części z nich występuje ostentacyjny bezruch; status oznacza, że inni pracują dla ciebie, a działania bywają czystym PR – jak u aktywnego głównie medialnie Sławomira Mentzena. Szukanie „próżniaków" wśród artystów to robienie z nich kozła ofiarnego i wentyla bezpieczeństwa. Boimy się uderzyć w prawdziwą klasę próżniaczą: rentierów i najbogatszych, ukrytych za fasadą filantropii. Łatwiej przykleić tę łatkę aktorom, gdy stają się celebrytami.

IZABELA LEŚNIEWSKA,
doradca podatkowy z kancelarii ALO-2, specjalizująca się w składkach na ubezpieczenia społeczne

Dyskusję o „klasie próżniaczej" rozpala dziś pomysł dofinansowania z budżetu do ubezpieczeń społecznych dla artystów. Choć głosy, że inni będą dopłacać, budzą sprzeciw, problem ma podłoże systemowe. Artyści pracują na umowę o dzieło, a takich umów nie ma jak przekształcić w składkę. Często z braku wiedzy ekonomicznej nie odkładali oni kapitału, co spycha ich dziś w stronę ubóstwa i opieki społecznej. Trudno jednak winić samych twórców, skoro chodzi tu o czystą grę interesów. Generalnie polityków nie cenię – politykiem się jest z wyboru, a ich decyzje o tworzeniu kolejnych odrębnych podsystemów rozsadzają od środka cały system emerytalny. Ta konstrukcja po prostu nie jest sprawiedliwa, nigdy nie była i nigdy nie będzie.

RENATA DANCEWICZ,
aktorka teatralna i filmowa

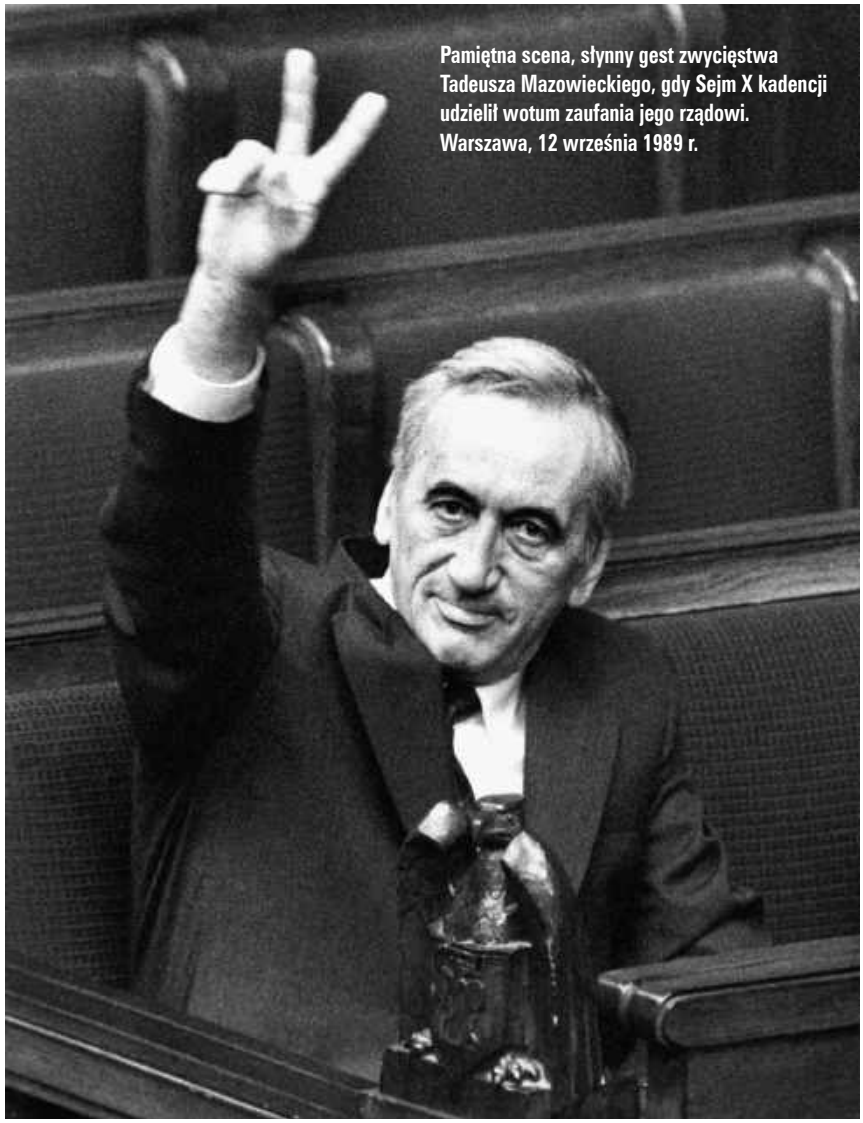
Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. W każdej grupie zawodowej zdarzają się tzw. darmozjady. Ludzie w społeczeństwie mają różne role i nie zawsze chodzi o zarabianie pieniędzy. Żeby nie tworzyć fałszywych podziałów i nie ścigać się, kto jest bardziej wartościowy, najlepiej byłoby to wszystko uprościć. Każdy człowiek (w tym przypadku obywatel Polski) powinien mieć prawo do ubezpieczenia zdrowotnego i do emerytury. Rozważałabym też wprowadzenie podstawowego dochodu gwarantowanego.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl ffe8783b81

Premier na najtrudniejsze czasy

Pomnik Tadeusza Mazowieckiego będzie symbolem III RP



Pamiętna scena, słynny gest zwycięstwa Tadeusza Mazowieckiego, gdy Sejm X kadencji udzielił wotum zaufania jego rządowi. Warszawa, 12 września 1989 r.

Robert Walenciak

Donald Tusk zaproponował budowę pomnika Tadeusza Mazowieckiego przed siedzibą rządu. – Postawmy mu pomnik, tu, przed Kancelarią Premiera, jego kancelarią – mówił. To znakomita inicjatywa, jedna z najlepszych w jego karierze politycznej. Dobra dla samego Tuska, bo pozwala mu wyjść z politycznej obłości i nijakości, która, jak pokazują sondaże, zupełnie mu nie służy.

W dzisiejszej polityce potrzebny jest sztandar, sens działania, potrzebni są bohaterowie. Koalicja 15 Października ich nie ma, to dlatego ulega prawicy, napastliwym atakom. Gdyby wiedziała, jakiej Polski chce, sama mogłaby narzucać ton. Ale przede wszystkim to inicjatywa dobra dla Polski. Tej obecnej i tej, która będzie. Dla nas samych.

Jako społeczeństwo jesteśmy zainfekowani kłótniami, coraz częściej traktujemy życie publiczne jako arenę wywoływania emocji, szczucia na aktualnych wrogów. Coraz częściej kierują nami emocje tłumu, bezustannie podpuszczanego przez żądnych władzy pseudopolityków. Sejm nie jest miejscem refleksji, ale awantur i swoistej rywalizacji, kto kogo mocniej obrazi. Pojawiają się nowe określenia: oburzing, zaoranie. To wszystko zwyczaje prymitywnej gawiedzi, której się schlebia.

Innymi słowy, polityka przestała być sztuką, stała się awanturą. Kto kogo. A refleksja, co z danych działań będzie wynikało, myślenie w kategoriach dłuższych niż najbliższa kampania zupełnie zanikły.

•

Możemy więc powiedzieć, że Tadeusz Mazowiecki do obecnej polityki nie pasuje, że to nie jego żywioł. Nie był demagogiem ani oszustem. Nie obiecywał gruszek na wierzbie. Nie dzielił, tylko szukał porozumienia. Myślał w kategoriach interesu Polski, a nie partyjnego. Nie obrażał, nie krzyczał – mówił spokojnie. Wierzył ludziom i dawał im szerokie pole do działania. I na tym polega jego siła.

Można długo wyliczać. Argumentów na potwierdzenie tezy, że Mazowiecki do dzisiejszej polityki nie pasuje, jest aż nadto. Rzecz w tym, że to nasz problem.

I dlatego Mazowiecki powinien mieć pomnik.

•

To będzie symbol. Przede wszystkim III Rzeczypospolitej. Tej, o której marzyły pokolenia – tolerancyjnej, będącej częścią Zachodu. Tej, w którą Mazowiecki nas wprowadził. Oczywiście nie sam, ale w tej grupie był sztandarową postacią. Poza tym symbol sposobu prowadzenia polityki: rozważnej, nieagresywnej i w końcu skutecznej.

eprasa.pl ffe8783b81



Spotkanie w Urzędzie Rady Ministrów z delegacją Solidarności z Lechem Wałęsą na czele; z prawej dyrektor Biura Krajowego Solidarności Krzysztof Pusz. Warszawa, listopad 1989 r.



Premier Mazowiecki i ówczesny wiceminister obrony ds. wychowawczo-społecznych Bronisław Komorowski podczas uroczystości przy Grobie Nieznanego Żołnierza w 199. rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja.

Symbol myślenia o Polsce. Warto to przypominać, bo widzimy, co dziś się dzieje.

Ale będzie to też symbol pokolenia. Tego doświadczonego wojną, a potem Polską Ludową. Państwem, które części dało wielką szansę, a taka zdarza się raz na wiele pokoleń. Ludzie ci zbudowali współczesne społeczeństwo, ulepili Polskę na nowo. I byli tą Polską czasem zachwyceni, czasem rozczarowani. Bo to była pół-Polska, o niepełnej suwerenności, w której brakowało demokracji i… zaopatrzenia w sklepach. A potem zachwycili się wielką przemianą, bo z Polski Ludowej wyrosła III RP, do której – o tym już była mowa – pan Tadeusz też nas wprowadził jako jeden z liderów.

Będzie to zatem również symbol naszego zwycięstwa. Czyli czyjego? Prezentując inicjatywę budowy pomnika, Donald Tusk wspomniał, że 4 czerwca 1989 r. „skończył się w Polsce komunizm", sugerował więc – dla jego obozu to oczywiste – że chodzi o zwycięstwo nad „komunizmem". To trochę nietrafione. Opowieści, że 4 czerwca 1989 r. skończył się w Polsce komunizm, odłożyłbym na bok. Bo cóż to za krwawa komuna, którą można było odwołać ot tak, wyborczą kartką. Ten komunizm przecież sam się odwołał, najpóźniej w momencie rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu.

A i zwycięstwo Mazowieckiego jest znacznie większe niż jedne wybory. To zwycięstwo Polski demokratycznej, III RP. Ulepionej nie tyle rewoltą, ile porozumieniem, wizją lepszej Polski. Ulepionej w głowach większości Polaków, którzy za taką Polską się opowiedzieli. I 4 czerwca 1989 r., i 15 października 2023 r.! Ale też w głowach liderów partyjnych – którzy potrafili



Z prezydentem George'em Bushem i Barbarą Bush przed uroczystą kolacją w Białym Domu. 21 marca 1990 r.



Z kanclerzem Helmutem Kohlem we Frankfurcie nad Odrą, 8 listopada 1990 r. Rząd Mazowieckiego zabiegał o podpisanie traktatu granicznego z Niemcami, do czego doszło 14 listopada 1990 r.

eprasa.pl ffe8783b81

kierować się wyższymi wartościami. Przy Okrągłym Stole – to wiemy. I w 2023 r., kiedy także musieli przezwyciężyć partyjne urazy. Do tego stopnia, że sam Tusk wzywał, by głosować na Polskę 2050 Szymona Hołowni.

•

Wyższe wartości! Dwa lata temu rozmawiałem o Tadeuszu Mazowieckim w „Przeglądzie" z prof. Andrzejem Friszkem. Mówił, że ukształtowało go środowisko polskiej inteligencji, tej bliskiej Kościołowi, założycieli „Więzi". Ukształtowała ich pamięć II wojny światowej, myśl, że Polska może przestać istnieć, że może dojść do strasznych zbrodni. Potem widzieli Budapeszt 1956 i Pragę 1968. Wartością naczelną jest więc to, by nie ryzykować ponad miarę, nie ryzykować wszystkim. Za to wiedzieć, czego się chce, do czego dążymy, i konsekwentnie poszerzać granice wolności. Przecież to się udawało.

Oto kwintesencja dobrej polityki – realna ocena sytuacji i sił oraz konsekwencja w dążeniu do celu.

Czy dzisiejsi polscy politycy potrafią realnie ocenić sytuację? Czy wiedzą, czego chcą, oczywiście poza władzą dla siebie i kolegów, czy raczej pływają w nierzeczywistości i zmuszeni jesteśmy słuchać ich bajań albo wyzwisk pod adresem przeciwników politycznych?

•

To Polska była zatem wartością najwyższą i nie wolno było tu ryzykować. Tak, by w momencie, kiedy otworzyło się okno możliwości, doprowadzić sprawę do końca. Do III RP, w której rządzą raz jedni, raz drudzy. Na pewno nie takiej, w której myślący inaczej są traktowani jak zdrajcy, gorszy sort, wysłannicy piekieł.

O tamtych latach Mazowiecki mówił: „Stąpałem po cienkim lodzie". I miał absolutną rację. Bo przecież wciąż istniały ZSRR i Układ Warszawski, a rosyjska armia stacjonowała w Polsce. Owszem, nie musiał się bać rodzimego betonu, bo ten zneutralizował gen. Jaruzelski. Ale co by było, gdyby pucz Janajewa miał miejsce nie w sierpniu 1991 r., tylko rok albo dwa lata wcześniej? I byłby lepiej przygotowany?

Mazowiecki wiedział, w jakim kierunku zmierza, jakiej Polski chce. Dlatego oddzielił grubą kreską Polskę



W mieszkaniu na Lewickiej w Warszawie, 14 czerwca 2010 r.

swoją od tej wcześniejszej. Od teraz będzie w niej miejsce dla wszystkich, bez monopolu władzy. „Musimy nauczyć się żyć w pluralizmie", pisał. Nie wszyscy to zrozumieli i nie wszystkim w jego obozie to się spodobało.

A on przyjął założenie, że ludzie są w większości przyzwoici i skoro budujemy Polskę demokratyczną, to teraz, w nowych okolicznościach, mogą ją budować wszyscy, niezależnie od tego, skąd przychodzą. Czyli nie czystki, lustrowanie, lecz krótkie pytanie: co potrafisz? Tym zyskał sobie szacunek. I tym, jak postępował, i tym – dopiero z perspektywy lat to widzimy – jak wiele zmian zdołał w tak krótkim czasie przeprowadzić.

Podobnie działo się w polityce międzynarodowej. To była sztuka – pojechać do Moskwy i powiedzieć, że nas dotychczasowe więzi już nie interesują, że będziemy wychodzić z braterskiego uścisku. I zrobić to tak, że rozejście się zostało zaakceptowane. Tak samo powiedzieć Niemcom, że, owszem, macie prawo do zjednoczenia, ale wcześniej musicie potwierdzić nienaruszalność granicy na Odrze. A Jugosławia, gdzie w latach 1992-1995 był specjalnym wysłannikiem ONZ?

To spojrzenie na historię Polski, historię narodu, na politykę, sposób jej prowadzenia, musiało go postawić w ostatnich latach życia w kontrze do PiS. To oczywiste – Jarosław Kaczyński, zwłaszcza po katastrofie smoleńskiej, zanegował polskie państwo. Oskarżył je o całe zło. Negował jego władze i Bronisława Komorowskiego jako prezydenta. Mazowiecki zareagował natychmiast i zdecydowanie. „To jest rokosz – mówił – który uderza w państwo, w jego instytucje, w zaufanie do państwa. Niszczy Polskę."

•

To będzie wielka rzecz – pomnik Tadeusza Mazowieckiego stojący przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów. Wszystkim, którzy obok budynku KPRM będą przejeżdżać, będzie przypominał wielkiego Polaka, który potrafił usiąść do stołu z ludźmi, którzy wsadzali go do więzienia. Który potrafił, zupełnie bez emocji, prowadzić Polskę w najtrudniejszym czasie. Wdrożyć reformy gospodarcze i zmienić system zarządzania państwem. Rozpocząć drogę na Zachód. I jest symbolem III RP.

A tym, którzy będą patrzeć na pomnik z okien kancelarii, niech przypomina, że takie wartości jak interes Polski, szacunek dla partnera i demokracja są najważniejsze. I że warto być przyzwoitym.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, PAP/LESZEK WDOWIŃSKI, PAP/ZBIGNIEW MATUSZEWSKI, PAP/IRENEUSZ SOBIESZCZUK, VARIO IMAGES/ FORUM, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl ffe8783b81

Przestępczy patronat Patryka Jakiego

Kulisy sprawy, za którą prokuratura chce postawić zarzuty europosłowi PiS

Andrzej Sikorski

„To jest ośmieszanie państwa. Zarzut polega na tym, że miałem przekroczyć uprawnienia (słynny art. 231 k.k.), rzekomo awansując kogoś na zastępcę dyrektora jakiegoś biura (co jest ciągłą praktyką za każdych rządów), a zacytuję – nie było to ich zdaniem uzasadnione »ważnymi potrzebami służby«. Kropka. Czy oni są normalni? I z tego powodu chcą robić cyrk na całą Europę z zatrzymaniem. Nie wiem, jakich będą musieli ustawić znów sędziów, aby coś tak absurdalnego przyklepali. Władza, która nie umie rządzić, ośmiesza się takimi wnioskami o prześladowanie swojej konkurencji", poskarżył się na platformie X europoseł i wiceprezes PiS.

Zdaniem prokuratury Patryk Jaki jako wiceminister sprawiedliwości odpowiedzialny za Służbę Więzienną dopuścił się przestępstwa, bezprawnie awansując swojego zaufanego oficera Marcina Strzelca na kolejne stanowiska służbowe, dzięki czemu ten miał nie tylko większą pensję, ale i większą władzę w SW. Takie postępowanie było wyjątkowo naganne i demoralizujące dla tysięcy funkcjonariuszy z oddaniem pełniących służbę. Ludzie ci z oburzeniem patrzyli, jak człowiek, który nie przepracował ani jednego dnia w zakładzie karnym lub w areszcie śledczym, a do tego był oskarżany o nadużycia, pnie się w zawrotnym tempie po szczeblach kariery. W ciągu pięciu lat Strzelec awansował ze stopnia kapitana na generała, zaliczając po drodze kolejne stanowiska. Ale nie ma co się dziwić. Służba Więzienna pod rządami ziobrystów została sprywatyzowana i upolityczniona, a o awansach decydowały nie kompetencje, lecz układy towarzyskie.

Nadużycia

Historia ma początek w nieistniejącym już Centralnym Ośrodku Szkolenia Służby Więziennej (COSSW) w Kaliszu. W 2016 r. funkcjonariusze, wykładowcy i jednocześnie związkowcy poinformowali przełożonych, ministra sprawiedliwości, Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, prokuraturę, a nawet Jarosława Kaczyńskiego o nadużyciach, których miał się dopuścić Marcin Strzelec, wówczas kierownik Zakładu Technologii Informatycznych i Edukacyjnych COSSW w Kaliszu.

Doniesienia sygnalistów potwierdzili kontrolerzy Biura Spraw Wewnętrznych Centralnego Zarządu Służby Więziennej. Okazało się, że Strzelec miał firmę informatyczną i w godzinach pracy na służbowych komputerach wykonywał usługi dla spółki transportowo-logistycznej, a do pomocy wykorzystywał podległych sobie funkcjonariuszy. Jeden z podwładnych Strzelca zeznał: „Oświadczam, że wykonywałem pracę, zadania na rzecz Marcina Strzelca. (…) Propozycja nawiązania współpracy wyszła od Marcina Strzelca i odbywała się na zasadzie przekazywania poleceń, zadań do realizacji w formie ustnej, telefonicznej lub mailowej. (…) Wyżej wymieniona współpraca miała charakter umowy na tzw. gębę. (…) Za moją pracę byłem wynagradzany pieniężnie, gotówką na tzw. flachę w kwocie 400 zł (…)".

BSW zabezpieczyło obszerny materiał dowodowy. Setki plików, dokumentów, danych, świadczących o łamaniu prawa, a co najmniej o poważnych nadużyciach. Strzelec i jego podwładni odwalali fuchy nie tylko w czasie służby i na służbowym sprzęcie, ale też w trakcie zwolnień lekarskich i podróży służbowych. Na komputerach będących na wyposażeniu Zakładu Technologii Informatycznych i Edukacyjnych znaleziono pirackie oprogramowanie, znaczne ilości materiałów o charakterze pornograficznym, brakowało za to służbowego oprogramowania antywirusowego. Najbardziej jednak bulwersujące jest to, że Strzelec próbował zatrzeć ślady swojej nielegalnej działalności, czyszcząc komputery.

Wobec podpadniętego oficera wszczęto postępowanie dyscyplinarne, które zakończyło się wymierzeniem mu kary nagany (6 kwietnia 2017 r.) przez gen. Jacka Kitlińskiego, szefa SW.

Równocześnie z postępowaniem dyscyplinarnym ruszyło śledztwo prokuratorskie. Zarzuty wobec Strzelca były poważne: przekroczenie uprawnień, działanie na szkodę interesu publicznego w celu osiągnięcia korzyści majątkowej, zagrożone karą od roku do 10 lat więzienia, i bezprawne usuwanie istotnych informacji z nośnika informatycznego, zagrożone karą więzienia do lat trzech.

Rozgrzeszenie

Nagana jeszcze „nie ostygła", a Strzelec już dostał kopniaka w górę. 28 kwietnia 2017 r. Zbigniew Ziobro zrobił go wiceszefem ministerialnego „Zespołu do spraw zmiany modelu naboru i szkolenia w Służbie Więziennej", na czele którego stał Patryk Jaki.

eprasa.pl ffe8783b81



Marcin Strzelec swoimi działaniami stworzył obcym służbom możliwość dostępu do sieci Służby Więziennej i pilnie strzeżonych tajemnic.



Patryk Jaki wręcza mjr. Marcinowi Strzelcowi akt powołania na stanowisko zastępcy dyrektora generalnego Służby Więziennej. 2017 r.

31 maja zaś Strzelec miał już czystą kartotekę! Otóż Jaki umorzył postępowanie dyscyplinarne i jednocześnie uznał za nieważną wymierzoną karę nagany. Tym samym dał jasny sygnał prokuratorowi, jak ma zakończyć sprawę. Tak też się stało. W sierpniu 2017 r. prokurator Prokuratury Rejonowej w Kaliszu Marcin Urbaniak umorzył śledztwo. Uzasadnienie było zdumiewające. Prokurator stwierdził np., że wprawdzie nie można wykluczyć, a nawet jest prawdopodobne, że Strzelec i podlegli mu funkcjonariusze zajmowali się tzw. lewizną w trakcie pełnienia służby, ale nie można w żaden sposób wywieść, co konkretnie robili i czy tym samym dopuścili się złamania prawa. Strzelec wyczyścił komputery tuż przed przekazaniem ich kontrolerom BSW, ale jako kierownik komórki informatycznej w COSSW w Kaliszu pełnił funkcję administratora systemu informatycznego i miał prawo do usuwania danych i programów z dysków (sic!).

Podobnych niedorzeczności było więcej. Po wydaniu decyzji o umorzeniu prokurator Urbaniak został awansowany na prokuratora rejonowego w Kaliszu. Wiele wskazuje, że śledztwo było sterowane ręcznie, a prowadzący je prokurator nie został dobrany przypadkowo. Otóż Urbaniak za pierwszych rządów PiS w 2007 r. jako świeżo upieczony prokurator został ściągnięty przez Zbigniewa Ziobrę do Warszawy i dołączył do zespołu prowadzącego śledztwo przeciwko kardiochirurgowi Mirosławowi Garlickiemu, któremu zarzucano m.in. mordowanie pacjentów.

Jeśli chodzi o Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, do niej trafiło zawiadomienie dotyczące zagrożenia bezpieczeństwa teleinformatycznego. Aby ułatwić sobie pracę na boku, Strzelec wraz z podwładnymi dokonali modyfikacji zabezpieczeń sieci teleinformatycznej Służby Więziennej. Firma, dla której pracowali, miała oddziały za granicą. W przypływie szczerości Strzelec wyjawił jednemu z funkcjonariuszy, że do obsługi informatycznej oddziału firmy w Moskwie zaangażował lokalnych informatyków. Z rzeczowo uzasadnionego zawiadomienia wynikało, że Strzelec swoimi nieroztropnymi działaniami stworzył obcym służbom możliwość dostępu do sieci SW, a tym samym pilnie strzeżonych tajemnic. ABW uznała, że… nie warto zajmować się sprawą.

Doktorat za seks

Ale to nie wszystkie grzechy zaufanego człowieka Patryka Jakiego. Otóż jedna z funkcjonariuszek oskarżyła go o molestowanie. Zaczęło się od nachalnych prób umówienia się na piwo. Potem Strzelec starał się wymusić zaliczenie specjalistycznego kursu w zamian za randkę. „Ja wtedy byłam po rozwodzie i nie miałam żadnych zobowiązań, ale powiedziałam: Marcin, ty masz żonę, jaka randka?”, zeznała kobieta. Podczas wspólnego wyjazdu służbowego do Norwegii Strzelec oferował „zrobienie szybkiego łatwego doktoratu”, co funkcjonariuszka odebrała jako „wywarcie presji na ewentualne zbliżenie seksualne”.

Kobieta zeznała: „W hotelu w Oslo byliśmy dwie noce. Odbyło się u mnie w pokoju spotkanie na drinka. Wszyscy byliśmy zmęczeni. Postanowiliśmy zakończyć to spotkanie i iść spać. On wychodząc,

FOT. MATERIAŁY PRASOWE SŁUŻBA WIĘZIENNA

eprasa.pl ffe8783b81

powiedział do mnie: »Wejdę do ciebie później«. Mogło to być ok. 23.00. Ja zamknęłam drzwi, wykąpałam się i położyłam. Za jakiś czas zaczęło się pukanie do drzwi. Ja mu nie otworzyłam, udawałam, że śpię. Pukał dobre 10 minut. (…) Następnego dnia wieczorem znowu było spotkanie u mnie na drinka".

Współtowarzysze delegacji opuścili imprezę, a w pokoju pozostał tylko Strzelec z funkcjonariuszką. Według relacji pokrzywdzonej „Marcin Strzelec odczekał chwilę, zamknął drzwi, wszedł do łazienki. Po czym wyszedł z łazienki już bez majtek i bez spodni, w samej tylko koszulce. Od razu ruszył prosto do mnie z łapami. Ja zaczęłam go odpychać. Powiedziałam, żeby się ubrał, że ma żonę, powiedziałam, że mam inne zasady i że tak nie mogę. Chwilę to trwało, może z pół godziny, raz siadał na łóżku, znowu wstawał, w końcu ubrał się i wyszedł. Namawiał mnie na stosunek, mówiąc między innymi: »Nic nie mamy do stracenia«. Ja nie spałam wtedy prawie do rana. Przewidywałam, jak ten dzień następny będzie wyglądał ze strony Strzelca. Myślałam, jak ja mam się zachować.

Po czym Strzelec zachowywał się jakby nigdy nic, jakby nie było poprzedniego wieczoru. Następnego dnia na lotnisku powiedział do mnie: »Idę teraz żonie wybrać jakieś perfumy na bezcłówce«. Byłam zdziwiona jego słowami. Jak już wróciliśmy, kilka dni po powrocie poprosił, żebym uzupełniła coś związanego z tym wyjazdem, jakiś raport czy delegację. On wtedy pociągnął mnie za rękę i zaczął mnie całować w usta. Ja znowu go odepchnęłam. To było coś, czego się nie spodziewałam".

Funkcjonariuszka poinformowała o wszystkim Biuro Spraw Wewnętrznych Centralnego Zarządu Służby Więziennej, ale nie zdecydowała się zawiadomić prokuratury. „Wiedziałam, że ma pieniądze i weźmie sobie adwokatów. Dostałam pismo jego adwokata z prośbą o zaniechanie działań godzących w jego wizerunek, w rodzinę, w jego normy etyczne, jakie on wyznaje. (…) On zaczął się wtedy piąć w górę. Gdy dostałam to pismo, to było blisko tego czasu, gdy Strzelec awansował do Warszawy", stwierdziła kobieta.

Zaszczyty i awanse

Rzeczywiście kariera Strzelca nabrała przyśpieszenia. Oficer – dzięki Patrykowi Jakiemu – znalazł zatrudnienie w Centralnym Zarządzie Służby Więziennej w Warszawie (w Biurze Kwatermistrzowsko-Inwestycyjnym, potem jako zastępca dyrektora Biura Informatyki i Łączności) i w Ministerstwie Sprawiedliwości na stanowisku głównego specjalisty w Wydziale do spraw Służby Więziennej Departamentu Wykonania Orzeczeń i Probacji.

Jesienią 2017 r. Strzelec dostał awans na majora. Akt mianowania na wyższy stopień oficerski wręczył mu… Patryk Jaki, choć wiceministrowie sprawiedliwości nie uczestniczą w takich ceremoniach. W grudniu 2017 r. Strzelec był już wiceszefem polskiego więziennictwa! Na to stanowisko namaścił go Jaki, który nakazał gen. Kitlińskiemu złożenie stosownego wniosku do Zbigniewa Ziobry. Gdyby gen. Kitliński miał odrobinę honoru, powinien zaprotestować, a nawet podać się do dymisji, ale dla szefa SW ważniejsze od honoru było utrzymanie się na stołku i zachowanie związanych z tym wpływów (Kitliński szefem SW został jeszcze za rządów PO-PSL, ale po zmianie władzy zapałał miłością do PiS).

W listopadzie 2018 r. Strzelec dostał awans na podpułkownika. Było to złamaniem wszelkich zasad, gdyż nie miał odpowiedniego okresu wysługi służbowej. Zgodnie z ustawą o Służbie Więziennej mianowanie ze stopnia majora na podpułkownika nie może nastąpić wcześniej niż po czterech latach. W 2019 r. Strzelec (wbrew prawu!) był już pułkownikiem, a w 2021 r. generałem! W międzyczasie Patryk Jaki ulokował go na prestiżowym stołku komendanta-rektora resortowej Szkoły Wyższej Wymiaru Sprawiedliwości (wcześniej Wyższa Szkoła Kryminologii i Penitencjarystyki w Warszawie, teraz Akademia Wymiaru Sprawiedliwości), która powstała na gruzach zlikwidowanego COSSW w Kaliszu i została przekształcona w partyjną kuźnię kadr Solidarnej/Suwerennej Polski. Gdy PiS straciło władzę, Strzelec porzucił zaszczytną służbę i w wieku 45 lat uciekł na emeryturę, która rocznie wynosi prawie 140 tys. zł. Młody emeryt poszedł w politykę. Został radnym PiS w Kaliszu i był zaangażowany w kampanię prezydencką Karola Nawrockiego.

W ciągu pięciu lat Strzelec awansował ze stopnia kapitana na generała, zaliczając po drodze kolejne stanowiska.

Represje

Ale sprawa Marcina Strzelca to tylko część tej bulwersującej historii. Sygnaliści, którzy ujawnili nadużycia zaufanego klawisza Patryka Jakiego, ponieśli srogie konsekwencje. Decyzją gen. Jacka Kitlińskiego czterech oficerów (w tym jeden będący na zwolnieniu lekarskim) tego samego dnia w trybie natychmiastowym zostało przeniesionych z Kalisza, gdzie mieszkali i pełnili służbę, do odległych jednostek. Dr mjr Robert Poklek przeniesiony został do Aresztu Śledczego w Szczecinie (384 km), kpt. Tomasz Nawrocki, szef związkowców w Kaliszu, do ośrodka Kule (133 km). Do ośrodka Sucha (235 km) trafił kpt. inż. Cezary Mecwaldowski, a do Aresztu Śledczego w Olsztynie (339 km) mjr Magdalena Chojnacka. Funkcjonariusze dostali 48 godzin na spakowanie się i pożegnanie z rodzinami. Aby upokorzenie było większe, w nowych miejscach pracy część zdegradowano, a część pozostawiono na tych samych stanowiskach, lecz przydzielono im zadania poniżej kwalifikacji.

Oficerowie wystąpili do sądu, który uznał, że delegowanie nie miało podstaw merytorycznych i było szykaną za ujawnienie nieprawidłowości. „W ocenie Sądu (…) pozwany (gen. Kitliński – przyp. A.S.) czyli nie

eprasa.pl ffe8783b81

wykazał, że potrzeby służby były na tyle istotne, ważne, aby uzasadniały delegowanie powodów jako funkcjonariuszy o nakreślonych, a opisanych wyżej przymiotach. Wszak mowa o funkcjonariuszach w stopniach oficerskich, o wieloletnim doświadczeniu w roli wykładowców COSSW w Kaliszu, zamieszkujących przy tym w miejscu odległym o kilkaset kilometrów od miejsc ich planowanego – czasowego przeniesienia. Jedynym uzasadnieniem sięgnięcia po takie zasoby kadrowe Służby Więziennej jak powodowie, na maksymalny przy tym okres 6 m-cy, w tym samym dla wszystkich czasie i w trybie wręcz natychmiastowego wykonania rozkazu, byłaby sytuacja nadzwyczajna, alarmowa, rodząca konieczność pilnego, nagłego, przy tym długotrwałego uzupełnienia niedoborów kadrowych w jednostkach organizacyjnych Służby, do których powodów delegowano. Tymczasem jak wynika z ujawnionych w sprawie dowodów, takie okoliczności nie miały miejsca. (…) Za uzasadnione [sąd] zaś uznał twierdzenie powodów, że u podstaw ich delegacji leżała retorsja za to, że sygnalizowali – również na zewnątrz, z pozycji członków związku zawodowego, nieprawidłowości w służbie, jakich dopuszczać się mieli inni funkcjonariusze, w szczególności zaś Marcin Strzelec. Takie zachowanie stanowi przejaw dyskryminacji bezpośredniej (…)", napisano w uzasadnieniu wyroku.

Jest to pierwszy i prawdopodobnie jedyny prawomocny wyrok, w którym sąd uznał, że szef polskiego więziennictwa dopuścił się szykan wobec podwładnych w odwecie za ujawnione nieprawidłowości. Potem następca Patryka Jakiego na stołku wiceministra sprawiedliwości, Michał Woś, udawał głupiego, twierdząc (w rozmowie z serwisem InfoSecurity24.pl), „że nigdy nie spotkał się z przykładem użycia przepisu o delegacji, który miałby chociaż najdrobniejsze znamiona dyskryminacyjne", a gdyby do tego doszło, byłby to skandal i „osoba, która podjęłaby taką decyzję, powinna zostać wyrzucona dyscyplinarnie". Ale Kitliński w nagrodę dostał awans od Ziobry, Wosia i prezydenta Andrzeja Dudy na najwyższy stopień generała inspektora.

Represjonowani otrzymali symboliczne odszkodowanie. Co z tego, skoro część doskonale wykwalifikowanych oficerów nie wytrzymała psychicznie szykan i odeszła ze służby. Ci zaś, którzy zostali, byli nękani przez kolejne lata. W 2019 r. COSSW w Kaliszu został zlikwidowany, a w jego miejsce powstał kampus Szkoły Wyższej Wymiaru Sprawiedliwości. Większość kadry COSSW znalazła zatrudnienie w nowo utworzonej szkole.

Strzelec miał firmę informatyczną i w godzinach pracy na służbowych komputerach wykonywał usługi dla spółki transportowo-logistycznej.

Nie udało się to Tomaszowi Nawrockiemu i Cezaremu Mecwaldowskiemu. Oficerowie ci zostali przeniesieni z urzędu (czyli nie wyrażając na to zgody) do COSSW w Kulach oraz do Oddziału Zamiejscowego COSSW w Sulejowie, oddalonych od Kalisza o ok. 150 km, i ponownie odseparowani od rodzin. Zakwaterowano ich w spartańskich warunkach. Mecwaldowskiego ulokowano w prowizorycznym domku letniskowym, a Nawrockiego w pokoju gościnnym wyposażonym w mikrofalówkę, czajnik elektryczny i małą chłodziarkę. Oficerowie odżywiali się jak na froncie – konserwami i przetworami ze słoików, choć w ośrodku była kuchnia i stołówka, ale przepisy są tak skonstruowane, że funkcjonariusze przeniesieni z urzędu nie mogą z niej korzystać nawet odpłatnie.

Tłumaczenia

A co ma do powiedzenia Patryk Jaki? W przesłanym oświadczeniu europoseł stwierdził, że z Marcinem Strzelcem „miał relację typowo służbową tak jak z setką innych osób mu podlegających w Ministerstwie Sprawiedliwości". Strzelec „ma tytuł profesora" i „dużą część swojej służby przepracował w obszarze edukacji, która jest ważną częścią całego systemu", a „stanowiska komendanta w tych obszarach sprawował", zanim Jaki został wiceministrem.

Wiceprezes PiS mija się z prawdą. Strzelec nie ma tytułu profesora, tylko dyplom MBA aferalnej uczelni Collegium Humanum, nie zajmował wcześniej stanowisk komendanta, a edukacja, cokolwiek to znaczy, nie jest ważną częścią Służby Więziennej. Jest nią natomiast prowadzenie działań penitencjarnych i resocjalizacyjnych wobec osób skazanych na karę pozbawienia wolności, wykonywanie tymczasowego aresztowania w sposób zabezpieczający prawidłowy tok postępowania karnego oraz ochrona społeczeństwa przed sprawcami przestępstw.

Jaki przekonuje, że wszystkie zarzuty pod adresem Strzelca zostały wyjaśnione przez prokuraturę i „pod nadzorem sądowym". Jak wyglądało to wyjaśnianie przez upolitycznioną prokuraturę, napisaliśmy, natomiast sąd odrzucił zażalenie na postanowienie o umorzeniu śledztwa, które złożył Tomasz Nawrocki jako przewodniczący związku zawodowego, argumentując, że nie jest stroną w sprawie.

Były wiceminister sprawiedliwości zarzeka się, że „nie wydawał żadnych poleceń represjonowania kogokolwiek", dodając, że „ten konflikt miał miejsce, zanim przyszedł do służby, a przeniesienie p. Strzelca było jednym z pomysłów na uspokojenie sytuacji". I znowu Jaki mija się z faktami, na dodatek manipuluje. „Ten konflikt", jak nazwał ujawnienie przez sygnalistów nadużyć Strzelca, miał miejsce, gdy był wiceministrem sprawiedliwości, a „przeniesieni" siłowo, wbrew swojej woli i niezgodnie z prawem, zostali przecież sygnaliści, a nie Strzelec. Jeśli w taki sposób wiceprezes PiS będzie się bronił przed prokuratorem i w sądzie, marnie skończy. A za popełnione przestępstwo grozi mu nawet 10 lat więzienia.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl ffe8783b81

Książka PRZEGLĄDU

Zatrzymać degradację Ziem Odzyskanych

Od pierwszych osadników do ostatnich zlikwidowanych zakładów.

Dlaczego Niemcy inwestują głównie na tych terenach?



68 zł

Przegląd

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: **72 1090 2851 0000 0001 2023 9821**
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską

eprasa.pl ffe8783b81



PRACA BEZ KOŁACZY

Polacy należą do najbardziej zapracowanych w Europie

Kornel Wawrzyniak

W Polsce w głównej pracy spędza się średnio ok. 38 godzin tygodniowo. Według Polskiego Instytutu Ekonomicznego daje to piąte miejsce w Europie pod względem długości czasu pracy. Eurostat zaś plasuje nasz kraj w pierwszej trójce najbardziej zarobionych. Tak czy inaczej, to jeden z najwyższych wyników w UE, przy czym osoby prowadzące działalność gospodarczą pracują jeszcze więcej niż etatowcy. Dłuższy tygodniowy czas pracy odnotowuje się jedynie na Litwie i w Bułgarii (po 38,6 godziny), w Rumunii (38,4 godziny) oraz na Łotwie (38,3 godziny). Średnia unijna wynosi ok. 35 godzin tygodniowo. Na drugim biegunie znajdują się natomiast Holendrzy, którzy pracują najkrócej w Europie.

Na swoim (nie)lepiej?

Jak wskazują analizy Polskiego Instytutu Ekonomicznego, samozatrudnienie rzadko oznacza wolność od nadmiaru pracy. W 2025 r. osoby prowadzące działalność gospodarczą pracowały średnio 41,4 godziny tygodniowo, wyraźnie powyżej unijnej średniej wynoszącej 38,4 godziny. Na tle Europy widać zresztą wyraźne różnice: podczas gdy w Niemczech, Estonii, na Cyprze czy w Luksemburgu samozatrudnieni pracują znacznie krócej, w Grecji ich tydzień pracy wynosi już ponad 44 godziny.

Jeszcze więcej czasu poświęcają na pracę przedsiębiorcy zatrudniający pracowników. W tej grupie Polska niemal wpisuje się w unijną normę – 43,7 godziny tygodniowo wobec średniej 44,7 – ale w wielu krajach tempo jest jeszcze bardziej wyśrubowane. Prym wiodą przedsiębiorcy z Francji, Belgii czy Grecji, gdzie tygodniowy czas pracy zbliża się do 50 godzin. Z drugiej strony są takie kraje jak Łotwa czy Estonia, gdzie w tej kategorii pracuje się zauważalnie krócej. To pokazuje, że intensywność pracy jest kwestią nie samego poziomu rozwoju, lecz także przyjętego modelu gospodarczego i kultury pracy.

Na tym tle Polska wyróżnia się jeszcze jednym wskaźnikiem: wyjątkowo niskim udziałem pracy etatowej w niepełnym wymiarze. Zaledwie 6,2% pracuje na część etatu, podczas gdy średnia unijna wynosi niemal trzy razy więcej – 17,7%. W takich krajach jak Holandia, Austria czy Niemcy elastyczne formy zatrudnienia są standardem, a nie wyjątkiem. U nas pozostają marginesem, co tylko utrwala model pracy oparty na długich godzinach, a nie na efektywności.

Więcej nie znaczy lepiej

Dłuższy czas pracy wcale nie oznacza lepszych efektów, co wynika wprost z europejskich danych. To w Luksemburgu, Belgii, Danii, Holandii czy Francji – a więc tam, gdzie pracuje się relatywnie krótko – odnotowuje się najwyższą produktywność. Jak zauważają eksperci Polskiego Instytutu Ekonomicznego, wydłużanie dnia pracy często prowadzi do przeciążenia obowiązkami, a w konsekwencji do spadku efektywności. Innymi słowy, więcej czasu w pracy wcale nie oznacza więcej wykonanej pracy.

Jednak problemu nie można sprowadzić do liczby przepracowanych godzin. Niższa produktywność w Polsce ma źródła także w strukturze

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ffe8783b81

gospodarki. Wciąż duży jest w niej udział takich sektorów jak rolnictwo czy budownictwo, czyli mniej zautomatyzowanych, słabiej nasyconych nowoczesnymi technologiami i z natury wymagających długiego czasu pracy. Chodzi zatem nie tylko o to, ile pracujemy, ale też w jakich warunkach i przy użyciu jakich narzędzi.

Na tle Europy różnice w podejściu do pracy widać szczególnie wyraźnie. Jak wynika z danych Eurostatu, najkrócej pracują Holendrzy, średnio zaledwie ok. 32 godzin tygodniowo. Niewiele dłuższy tydzień pracy mają Austriacy i Niemcy, którzy również nie przekraczają 34 godzin. To, owszem, efekt wysokiej produktywności, ale i kultury pracy opartej na elastyczności oraz realnym szacunku dla równowagi między życiem zawodowym a prywatnym (work-life balance).

Nad Wisłą są zawody, w których pracuje się zdecydowanie więcej niż 40 godzin tygodniowo, a na forum publicznym wykonującym je osobom jeszcze się obrywa. Media rozpisują się np. o mitycznych 100 tys. zł miesięcznie, które mają zarabiać polscy lekarze. Nikt jednak nie pisze, że te zarobki wynikają nie z samej stawki godzinowej, ale też z ekstremalnego wręcz czasu pracy. W Polsce czas pracy lekarza na etacie wynosi ustawowo 37 godzin i 55 minut na tydzień. W rzeczywistości lekarze pracują średnio od 60 do nawet 80 godzin tygodniowo. Tak duże różnice wynikają z powszechnego zjawiska wielozatrudnienia (pracy w kilku placówkach) oraz pełnienia dodatkowych dyżurów.

Teoria mówi więc swoje, a praktyka swoje. Średni rzeczywisty czas pracy (z uwzględnieniem wszystkich miejsc pracy i dyżurów) może wynosić w niektórych specjalizacjach 240 godzin miesięcznie. Są jednak sytuacje, że lekarze pracują nawet 360 godzin w miesiącu, np. z powodu braków kadrowych.

Przy tym medycy to szybko starzejąca się grupa zawodowa. Średni wiek lekarza w Polsce – 48 lat. Ubiegłoroczny raport GUS o zawodach medycznych pokazuje, że wśród mężczyzn najliczniejszą czynną zawodowo grupą (21,5%) były osoby w wieku 50-59 lat, natomiast wśród kobiet te w wieku 30-39 lat (24,6%), a następnie 50-59 lat (18,2%). Zauważmy, że według prezesa Naczelnej Izby Lekarskiej średnie zarobki lekarzy na kontrakcie z sześcioletnią praktyką to 20-30 tys. zł brutto. A „Gazeta Wyborcza" podnieca się marginesem, zestawiając najwyższe znalezione oferty – na które często miał wpływ brak przedstawicieli danych specjalizacji – i nie dając czytelnikom odpowiedniego kontekstu.

Nauczyciele, choć ich sytuacja jest inna, również są oceniani z przyganą. Pedagogom obrywa się jako „nierobom", którzy mają długie wakacje i pracują 18 godzin tygodniowo. To kolejna wygodna manipulacja, argument wyciągany w odpowiedzi na żądania podwyżek. Mowa tu bowiem o pensum, czyli tygodniowej, obowiązkowej liczbie godzin zajęć dydaktycznych, wychowawczych lub opiekuńczych bezpośrednio z uczniami. To jednak tylko część 40-godzinnego etatu. Dane Instytutu Badań Edukacyjnych pokazują, że tydzień pracy nauczyciela to średnio 47 godzin.

Warto dodać, że Związek Nauczycielstwa Polskiego wskazuje, że z powodu braków kadrowych w polskiej oświacie na więcej niż jeden etat pracuje niemal 60 tys. nauczycieli. Zjawisko obejmuje zarówno łączenie pracy w kilku placówkach, jak i branie dużej liczby godzin ponadwymiarowych (np. półtora etatu) w ramach jednego miejsca zatrudnienia. Jeśli weźmiemy pod uwagę, ile nauczyciele realnie pracują, przy półtora etatu daje to nawet 70,5 godziny tygodniowo. Zauważmy, że wynagrodzenie zasadnicze nauczyciela z tytułem zawodowym magistra oraz przygotowaniem pedagogicznym wynosi między 5308 zł brutto (dla nauczyciela początkującego) a 6397 zł brutto (dla nauczyciela dyplomowanego).

Oczywiście takich grup zawodowych jest znacznie więcej. Najniższa krajowa to obecnie 4806 zł brutto. Trudno się dziwić, że Polacy, słysząc o skracaniu tygodnia pracy do czterech dni, boją się pomniejszenia zarobków. Nic też dziwnego, że część respondentów pytana o dodatkowy wolny dzień twierdzi, że wykorzysta go, aby dorobić do pensji. Z badania Manpower wynika, że mimo ogólnego poparcia dla koncepcji czterodniowego dnia pracy co trzeci badany nie wierzy, że w ogóle uda się ją wdrożyć.

Stoimy w miejscu

W efekcie powstaje paradoks: pracujemy coraz więcej, ale nie widzimy proporcjonalnych rezultatów ani w wydajności, ani w jakości życia. Zamiast dyskutować o organizacji pracy, inwestycjach w technologię czy zmianie modelu zarządzania grzęźniemy w uproszczeniach i antagonizowaniu grup zawodowych. Łatwiej wskazać „winnych" – lekarza, nauczyciela czy przedsiębiorcę – niż przyznać, że problem ma charakter systemowy i wymaga długofalowych decyzji, a nie medialnych narracji.

Kraje wyznaczające standardy gospodarcze doszły do tego dzięki lepszej organizacji pracy, a nie nadgodzinom.

Prawdziwą miarą rozwoju zaś nie jest liczba przepracowanych godzin, lecz efekty: produktywność, innowacyjność i dobrostan społeczeństwa. Kraje, które dziś wyznaczają standardy gospodarcze, doszły do tego nie dzięki nadgodzinom, lecz dzięki lepszej organizacji pracy, inwestycjom w kompetencje i technologię oraz większemu zaufaniu do pracowników. Dopóki w Polsce czas spędzony w pracy będzie traktowany jako wartość sama w sobie, dopóty będziemy tkwić w modelu, który premiuje wysiłek, ale nie efektywność. Może najwyższy czas zadać sobie niewygodne pytanie: czy naprawdę chcemy stanowić czołówkę najwięcej pracujących w Europie, czy raczej żyć na poziomie tych, którzy potrafią pracować mądrzej? Bo jeśli nie zmienimy sposobu myślenia, będziemy pracować coraz więcej, tylko po to, by wciąż stać w miejscu.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ffe8783b81

Marek Czarkowski



WIELKI AMUNICYJNY SZWINDEL

Zapasy amunicji zgromadzone w magazynach Wojska Polskiego wystarczą na pięć dni

„Czy prawdą jest, że zapasy amunicji Wojska Polskiego wystarczą na pięć dni wojny?", zapytano 25 marca 2025 r. w programie „Gość Wydarzeń" w Polsat News gen. Dariusza Łukowskiego, szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Człowieka, który miał dostęp do tajnych informacji o stanie polskiej armii. „Jest to możliwe w wielu obszarach, typach amunicji... Pięć dni. Może tydzień, może dwa. Potem – jak pomoc sojuszników nadejdzie w porę – być może zdarzy się jakiś cud", odpowiedział generał.

Zapytany o to samo minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz z lekką irytacją odparł, że „sytuacja wygląda inaczej", i doprecyzował, że chodzi konkretnie o amunicję artyleryjską kal. 155 mm. Przyznał, że tej amunicji mamy mało i „nadrabiamy stracony przez wiele ostatnich lat czas".

Skala problemu szokuje, jeśli zestawimy ją z informacjami płynącymi z frontu ukraińskiego. Ukraińcy zużywają dziennie – w zależności od intensywności walk – 4-9 tys. pocisków kal. 155 mm. Szacuje się, że w latach 2022-2023 polski przemysł obronny produkował ok. 6 tys. takich pocisków rocznie! Coś z tym trzeba było zrobić.

W sierpniu 2025 r. w trakcie wizyty w Zakładach Chemicznych Nitro-Chem w Bydgoszczy premier Tusk zapowiedział zwiększenie ich produkcji. „W tym roku osiągniemy blisko 30 tys., a zamiarem ambitnym i bardzo realistycznym jest też to, że w perspektywie kolejnych dwóch lat osiągniemy pułap blisko 200 tys. rocznie".

Nieżyjący już gen. Waldemar Skrzypczak, były dowódca Wojsk Lądowych, oceniał potrzeby polskiej armii na ok. 3 mln sztuk pocisków kal. 155 mm. „Tyle powinno być w magazynach, żeby było z czym wojnę rozpoczynać", mówił. Przy rocznej produkcji 6 tys. pocisków kal. 155 mm osiągnęlibyśmy ten poziom po... 500 latach. Przy zapowiadanych przez premiera Donalda Tuska 200 tys. rocznie – wystarczy 15 lat. Ale to nie jest rachunek. To jest wyrok.

Wojna w Ukrainie dowiodła, że artyleria nadal jest „bogiem wojny", a pozbawione amunicji armatohaubice Krab produkowane w Stalowej Woli czy kupione z wielką pompą koreańskie działa K9 szybko zmienią się w bezużyteczną kupę złomu. Poza tym, jeśli przed wojną jeden taki pocisk kosztował ok. 2 tys. dol., to po roku wojny jego cena wzrosła do 8 tys., by obecnie ustabilizować się na poziomie ok. 4 tys. dol.

Dla największego w Europie producenta tej amunicji, niemieckiego koncernu Rheinmetall, wytwarzającego ok. 700 tys. sztuk rocznie, to doskonała wiadomość. Dla polskich firm także, pod warunkiem że zaczną ją produkować na dużą skalę.

Zmarnowane miliardy

29 marca 2023 r., rok po rozpoczęciu przez Rosję wojny w Ukrainie, rząd Mateusza Morawieckiego przyjął uchwałę o ustanowieniu programu Narodowa Rezerwa Amunicyjna (NRA). Był to plan zakupu 1 mln pocisków artyleryjskich kal. 155 mm oraz zwiększenia mocy produkcyjnych polskiej zbrojeniówki do 200 tys. takich pocisków rocznie. Program opatrzono klauzulą „tajne". Po czym… nic się nie zmieniło.

Później media podały, że minister obrony Mariusz Błaszczak i minister aktywów państwowych Jacek Sasin połączyli siły, by program zablokować, bo jego pomysłodawcą był przyboczny Morawieckiego, obecny

FOT. PAP/TYTUS ŻMIJEWSKI

eprasa.pl ffe8783b81

Produkcja amunicji kal. 155 mm w Zakładach Chemicznych Nitro-Chem w Bydgoszczy. 9 kwietnia 2025 r.

eurodeputowany Michał Dworczyk. Udało się. W roku 2023 z Narodowej Rezerwy Amunicyjnej nie wydano ani złotówki.

Za to Agencja Rozwoju Przemysłu ogłosiła w ramach NRA konkurs ofert. Jedyną propozycją, która spełniała rygorystyczne wymagania, okazała się oferta konsorcjum tworzącego spółkę Polska Amunicja. W jej skład wchodziły: Grupa WB – największy w tej części Europy producent dronów bojowych i amunicji krążącej Warmate, spółka Ponar Wadowice – kluczowy dostawca komponentów dla armatohaubic Krab, oraz TDM Electronics. Skarb państwa miał dysponować w konsorcjum, poprzez spółkę Aranda należącą do Agencji Rozwoju Przemysłu, 51% udziałów.

W grudniu 2023 r., tuż przed dymisją z funkcji premiera, Morawiecki podpisał tajną uchwałę nakazującą zakup pocisków kal. 155 mm dla Wojska Polskiego od spółki Polska Amunicja za kwotę 12-14 mld zł. Instytucjami finansującymi tę transakcję miały być Polski Fundusz Rozwoju, Agencja Rozwoju Przemysłu i Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych, obsadzone wówczas przez ludzi bliskich premierowi. Wyszło też na jaw, że dzięki zapisom w umowie faktyczne władztwo nad Polską Amunicją miał udziałowiec mniejszościowy – prywatna spółka WPT Holding tworzona m.in. przez Grupę WB, choć formalnie pakiet większościowy należał do skarbu państwa. Marszałek Szymon Hołownia skomentował to: „Amunicja i sprzęt wojskowy są dziś bardzo potrzebne, wszystko tu musi być w 200% transparentne – to nie jest rzecz do robienia sobie jakichś wałów". Posłanka KO Bożena Lisowska stwierdziła zaś: „Kolejna afera i kolejne 14 mld zł do puli zmarnowanych pieniędzy przez rząd Morawieckiego".

Departament Kontroli MON wnioskował o pilne wstrzymanie realizacji programu, ponowną ocenę konsorcjum Polska Amunicja i skierowanie zawiadomienia do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa przez ówczesnego prezesa Polskiego Funduszu Rozwoju Pawła Borysa. Osobiście miał on rekomendować komitetowi sterującemu wybór Polskiej Amunicji, mimo że nie dysponowała ona doświadczeniem ani zdolnościami produkcyjnymi w tym zakresie.

Z dostępnych informacji wynika, że prokuratorzy jak dotąd nie postawili nikomu zarzutów.

Wielkie plany i złe doświadczenia

W ostatnich dniach maja br. Ministerstwo Obrony Narodowej poinformowało o podpisaniu umowy na dostawę kilkuset tysięcy sztuk amunicji artyleryjskiej kal. 155 mm. Wartość kontraktu, finansowanego ze środków SAFE, przekracza 13,5 mld zł netto. „Jestem z tego bardzo dumny, że w Dezamecie podpisujemy gigantyczną umowę na realizację Narodowej Rezerwy Amunicyjnej, uchwały podjętej przez poprzedni rząd, który z tą uchwałą nic nie zrobił, nie kupił żadnej amunicji dla polskiego wojska", cieszył się wicepremier i minister obrony Kosiniak-Kamysz.

Ponieważ Polska Amunicja jako kojarzona z PiS wypadła z gry, pociski kal. 155 mm ma teraz dostarczyć konsorcjum PGZ-AMUNICJA, w którego skład wchodzą państwowe firmy:

- Polska Grupa Zbrojeniowa (lider konsorcjum),
- Zakłady Metalowe Dezamet,
- Mesko,
- Zakłady Chemiczne Nitro-Chem,
- Zakład Produkcji Specjalnej Gamrat,
- Bydgoskie Zakłady Elektromechaniczne Belma.

Wspomniane 13,5 mld zł to nie pierwszy taki wydatek na realizację Narodowej Rezerwy Amunicyjnej. Minister Kosiniak-Kamysz powinien pamiętać, jak w lipcu 2025 r. ogłosił przekazanie Polskiej Grupie Zbrojeniowej 2,4 mld zł z Funduszu Inwestycji Kapitałowych na budowę trzech fabryk amunicji. Środki rozdzielono między cztery spółki: Dezamet (1,3 mld zł na rozbudowę potencjału produkcji amunicji 155 mm), Mesko (887-890 mln zł na korpusy pocisków – zakłady w Kraśniku), Nitro-Chem (113 mln zł na linię do elaboracji pocisków) i Gamrat (66 mln zł na gazogeneratory).

Plan jest następujący: począwszy od roku 2027-2028, trzy fabryki mają wytwarzać rocznie 150-180 tys. sztuk amunicji kal. 155 mm. Brzmi świetnie, lecz czy tak będzie?

Dotychczasowe doświadczenia są złe. Realizacja przez zbrojeniówkę jakichkolwiek planów zawsze była obarczona wielkim ryzykiem, przy czym dotrzymanie terminów okazywało się najmniejszym zmartwieniem. Przypomnieć wypada program rozbudowy linii produkcyjnej amunicji małokalibrowej w zakładach Mesko – opóźnienie wyniosło trzy lata. Budowa korwety patrolowej ORP Ślązak trwała zaś 18 lat!

Program/Działanie	Kwota	Status
Narodowa Rezerwa Amunicyjna (marzec 2023)	**12-14 mld zł**	Ogłoszony, lecz niezrealizowany przez rząd PiS
Kontrakt MON-Polska Grupa Zbrojeniowa (koniec 2023)	**10 mld zł / 270 tys. szt. amunicji**	Podpisany, realizacja do 2029 r.
Ustawa o zdolnościach produkcyjnych (2024)	**3 mld zł** do Funduszu Inwestycji Kapitałowych	Uchwalona, środki zostały przekazane
Dofinansowanie z Funduszu Inwestycji Kapitałowych dla Polskiej Grupy Zbrojeniowej (lipiec 2025)	**2,4 mld zł** (4 spółki)	Środki przyznane, inwestycje trwają
SAFE (2025-2026)	**13,5 mld zł**	Umowa z PGZ-AMUNICJA podpisana

eprasa.pl ffe8783b81

Prochu nie ma i nie będzie

Cokolwiek byśmy zaplanowali i obiecali, wszystko sprowadza się do jednego pytania: czym napełnić łuskę pocisku? Bez prochu nawet najlepsza stalowa skorupa jest bezużyteczna. Polska od dziesięcioleci nie produkuje zaś własnej nitrocelulozy – podstawowego składnika nowoczesnych prochów. Zakłady w Pionkach (będące częścią Mesko, spółki należącej do Polskiej Grupy Zbrojeniowej) przymierzają się do produkcji prochu, lecz surowiec do jego wytwarzania przyjdzie im importować.

Nowoczesny proch bezdymny produkowano w Pionkach od 1923 r., na zakupionej we Francji linii pamiętającej czasy bitwy pod Verdun. Po roku 1989, w ramach transformacji ustrojowej, produkcję nitrocelulozy uznano za nieopłacalną i zaprzestano jej. Problem ten był świetnie znany wojskowym.

Jesienią 2015 r., gdy do Ministerstwa Obrony Narodowej wkroczył Antoni Macierewicz, w raporcie o stanie armii (audyt MON z 2016 r.) brak możliwości produkcji nowoczesnego prochu opisano jako „przykład wyjątkowego absurdu", z którym trzeba coś zrobić. Pikanterii sprawie dodawał fakt, że już w roku 2011 spółka Bumar Amunicja (obecnie Mesko) zapowiadała budowę fabryki prochu wspólnie z należącą do grupy Rheinmetall szwajcarską firmą Nitrochemie. Oczywiście nic z tego nie wyszło.

W 2018 r. premier Mateusz Morawiecki w trakcie gospodarskiej wizyty w zakładach w Pionkach ogłosił plany budowy nowoczesnej linii do produkcji nitrocelulozy. Wojciech Skurkiewicz, ówczesny wiceminister w resorcie obrony, szacował koszt inwestycji na 400 mln zł, a czas realizacji na trzy-pięć lat. Był też akcent polityczny. Fabryka w Pionkach znajduje się w okręgu wyborczym posła PiS Zbigniewa Kuźmiuka, który winą za upadek zakładu obarczał rządy SLD z lat 90. Pierwotnie zakładano, że produkcja ruszy w roku 2022 – rok przed wyborami. Nie ruszyła. Termin przesunięto na rok 2024. Ten także nie został dotrzymany. Za to wyszły na jaw zaniedbania i nieprawidłowości. Na przykład kupiono linię technologiczną do produkcji nitrocelulozy, lecz nie wybudowano hali i urządzenia przez lata stały w magazynach, aż straciły gwarancję producenta. Sprawą zajęła się prokuratura, z wiadomym skutkiem. Ostatecznie produkcja nowoczesnego prochu w Pionkach ma ruszyć w tym roku, gdyż hale w końcu wybudowano i było gdzie postawić maszyny.

Trafiłem na informację, że w 2018 r. Wojskowa Akademia Techniczna ogłosiła opracowanie technologii produkcji nowoczesnych prochów kompozytowych, które zawierały niewielką ilość nitrocelulozy i ponad 80% heksogenu, wytwarzanego w zakładach Nitro-Chem w Bydgoszczy. Gdyby wykorzystano tę technologię, zbrojeniówka mogłaby szybciej zwiększyć produkcję pocisków kal. 155 mm. Lecz tak się nie stało. Dziś dyskusja o braku odpowiedniej jakości prochu sprowadza się do tradycyjnego pytania: kto zawinił? A nie – jak z tego wybrnąć?

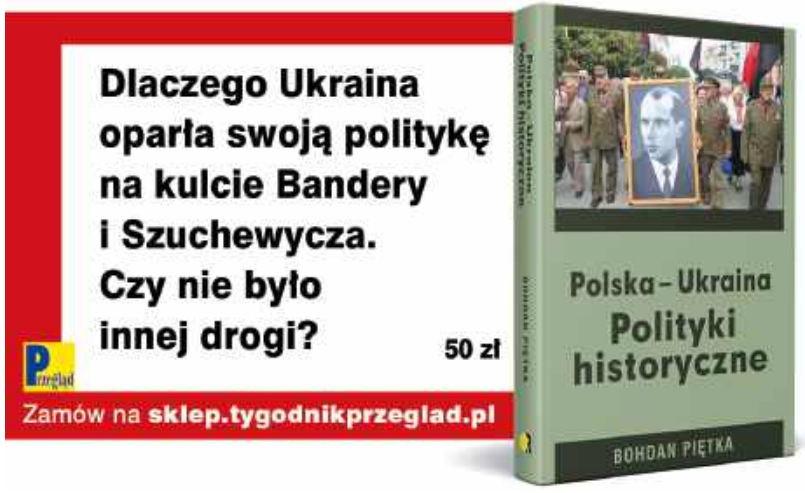
Istnieje pewna koncepcja, o której wspominają wojskowi. Żadnych polskich pocisków kal. 155 mm nie będzie. Będzie amunicja składana z zagranicznych komponentów. Na przykład korpusy pocisków kupimy od Słowaków, ładunki miotające sprowadzimy z francuskiego Eurenco, a zapalniki od kolejnego zagranicznego dostawcy. Taka będzie „polska suwerenność amunicyjna". Ale, co ważne, Polska Grupa Zbrojeniowa nigdy nie zaprzeczała, że te pociski będą produkowane z importowanych komponentów.

Żadnych polskich pocisków kal. 155 mm nie będzie. Będzie amunicja składana z zagranicznych komponentów.

Jest jeszcze sektor prywatny. Grupa Niewiadów dzięki partnerstwu joint venture z funduszem Forum 119 (Grupa Fidera) otrzymała na produkcję amunicji finansowanie w wysokości 310 mln zł. Kwota 250 mln zł jest przeznaczona na budowę zrobotyzowanej fabryki amunicji 155 mm, co pozwoli na osiągnięcie mocy produkcyjnych na poziomie do 180 tys. sztuk rocznie. Z tego 100 mln zł pochodzi z emisji akcji, a kwota prawie 60 mln zł została przeznaczona na uruchomienie produkcji amunicji kal. 40 mm w Polsce oraz współpracę technologiczną z partnerami ze Słowacji.

Wielomiliardowe kontrakty na dostawy amunicji to jednak nie to samo, co inwestycje w krajowe zdolności produkcyjne. Na rozbudowę fabryk skierowano dotąd 2,4 mld zł z Funduszu Inwestycji Kapitałowych. Reszta to umowy zakupowe. Może się okazać, że większość pocisków będzie składana ze sprowadzanych komponentów. Dlatego warto podsumować publiczne deklaracje i porównać je z tym, co jest w magazynach Wojska Polskiego. Świecących pustkami.

Marek Czarkowski



eprasa.pl ffe8783b81



Z Galicji

Jan Widacki

Baczność! Równaj w prawo!

Spokojna, wyważona wypowiedź wiceministra nauki i szkolnictwa wyższego, prof. Andrzeja Szeptyckiego, w której porównał żołnierzy UPA do naszych „żołnierzy wyklętych”, wywołała burzę. Szeptycki nie powiedział nic złego, w szczególności nieprawdziwego. Powiedział, mówiąc w skrócie, że tak jak jedni i drudzy walczyli z Sowietami, za co w swoich narodach zdobyli uznanie, jedni i drudzy robili też rzeczy niegodne, które ich narody im wybaczają, na które przymykają oko.

Można dyskutować, czy zestawienie było trafne. Czy skala zasług obydwu formacji i skala popełnianych przez nie zbrodni była porównywalna. Czy ci pierwsi byli ludobójcami na dużo większą skalę niż „Łupaszka”, „Ogień” i „Bury”, którzy wprawdzie również byli ludobójcami, ale przecież na skalę dużo mniejszą. Czy sytuacja społeczeństw dokonujących tych ocen jest porównywalna? Wszak Ukraińcy jednak odpierają najazd rosyjski, codziennie grzebią swoich zabitych i tracą domy. Czy w tej sytuacji, gdy Ukraińcy potrzebują tak znanego u nas z czasów wojny i niewoli „pokrzepienia serc”, można akurat teraz domagać się od nich rozliczania z niechlubną przeszłością? Z niechlubną przeszłością, z którą my w czasach pokoju i spokoju także nie bardzo potrafimy się rozliczyć?

Najpierw w Polsacie Dorota Gawryluk zadała publicznie pytanie, jak to możliwe, że człowiek pochodzenia ukraińskiego (znaczy się Andrzej Szeptycki), reprezentujący ukraińskie interesy, jest wiceministrem w polskim rządzie. „W polskim rządzie powinni być polscy ministrowie, którzy reprezentują polską rację stanu!”. Można by zadać symetryczne pytanie: jak to możliwe, że osoba o takim poziomie intelektualnym i moralnym może być czołową dziennikarką dużej stacji telewizyjnej? Można by też, zniżając się do jej poziomu, wyjaśnić, że nazwisko Gawryluk wygląda raczej na ukraińskie niż polskie, w przeciwieństwie do nazwiska Szeptycki.

To ostatnie jest nazwiskiem polskiej rodziny arystokratycznej, posiadającej dziedziczny tytuł hrabiowski. Hrabia Jan Kanty Szeptycki ożenił się z hrabianką Aleksandrą Fredrówną, córką Aleksandra Fredry. Spośród dzieci Szeptyckich, wnuków Aleksandra Fredry, Andrzej ochrzczony w obrządku łacińskim zmienił jako dorosły człowiek obrządek (nie wyznanie, jak piszą niektórzy) na greckokatolicki, został później arcybiskupem tego obrządku we Lwowie i uchodził za duchowego przywódcę zachodnich Ukraińców. Stanisław był generałem austriackim, a później polskim, walczył w 1920 r. z bolszewikami, w 1922 r. na czele wojsk polskich wkraczał do Katowic. Trzeci brat, o. Klemens, podobnie jak Andrzej wybrał obrządek greckokatolicki, wstąpił do zakonu studytów, zamęczony przez bolszewików w łagrze, jest Sprawiedliwym wśród Narodów Świata. Czwarty z braci, uważający się za Polaka Leon, został w 1939 r. zamordowany wraz z żoną przez NKWD. Syn Leona, Andrzej, jako oficer rezerwy trafił do sowieckiej niewoli i został zamordowany w Katyniu. Kolejnego z braci, Aleksandra, gestapo zamordowało w 1940 r. w Zamościu.

Potomkiem tej rodziny jest prof. Andrzej Szeptycki, zdaniem pani Gawryluk „człowiek pochodzenia ukraińskiego”, „niepolski minister w polskim rządzie”.

Poseł Kowalski zapowiedział, że w ramach „kontroli poselskiej” będzie sprawdzał w ministerstwach, czy pracują tam „prawdziwi Polacy”.

A jako że głupota jest zaraźliwa, od pani Gawryluk zaraziło się wielu polskich polityków prawicy, która, jak wiadomo, na głupotę ma szczególnie niską odporność. Braunowcy zaczęli kompletować listy osób ukraińskiego pochodzenia zajmujących wysokie stanowiska w Polsce. W tym duchu zdążył już wypowiedzieć się pisowski kandydat na premiera, poseł Czarnek. Poseł Kowalski zapowiedział już, że w ramach „kontroli poselskiej” będzie sprawdzał w ministerstwach, czy pracują tam „prawdziwi Polacy”.

Ostatnio podobną akcję robiono w Polsce po marcu 1968 r., szukając osób żydowskiego pochodzenia i wywalając je z roboty. Pogratulować wzorców. Krok po kroku nasza scena polityczna przesuwa się coraz bardziej niebezpiecznie na prawo. Brunatniejemy, albo też braunie-jemy. Budzą się demony, które, jak się okazuje, były tylko uśpione. Kiedy prawe skrzydło jest coraz bardziej radykalne, również środek sceny politycznej przesuwa się na prawo. Czy naszym politykom jakiś szatański kapral wydał komendę: „równaj w prawo!” – a oni posłusznie diabelski rozkaz wykonują? Ostatnie przemówienie premiera Tuska w Sejmie było tyleż dramatyczne, co spóźnione. Równamy w prawo?

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ffe8783b81

Adwokat pilnie poszukiwany

Skazany za oszustwa były olsztyński mecenas prawdopodobnie uciekł do Dominikany

Marek Książek



O tej sprawie pisaliśmy kilkakrotnie. To na naszych łamach już w 2017 r. został nazwany „czarną owcą palestry", a podsumowaniem tego cyklu stał się tekst „Krótka kariera mecenasa oszusta" („Przegląd" nr 49/2021). Wtedy były adwokat został skazany na cztery lata pozbawienia wolności, 80 tys. zł grzywny i zakaz wykonywania zawodu prawnika przez 10 lat. Sąd w Ostrołęce skazał też jego rodziców, którzy pomagali w naciąganiu ludzi przez przedstawiciela zawodu zaufania społecznego. Krzysztof K. miał wtedy 41 lat. Trzy lata później Sąd Apelacyjny w Białymstoku zatwierdził wyrok, ale po połączeniu spraw, które rozpatrywały jeszcze inne sądy, K. miał do odsiadki aż osiem lat. A że wcześniej zaliczył już dłuższy areszt, pozostało mu do odsiedzenia około sześciu lat. I wtedy zniknął bez śladu.

Karierę prawniczą zaczynał z rozmachem. Kręcił się w świecie lokalnego show-biznesu, zasiadając np. w jury konkursu Miss Warmii i Mazur. Jednak już wcześniej dał się poznać jako adwokat, którego stać na wszystko. Jeszcze jako aplikant zajmował się sprawą spadkową 50-letniej Agnieszki Sz. z okolic Olsztyna, którą omamił do tego stopnia, że przeniosła prawa majątkowe do trzech działek (w sumie 6 ha) na jego rodziców! Na szczęście krewni kobiety dowiedzieli się o tym w porę i szemraną transakcję udało się unieważnić.

Po jakimś czasie miarka się przebrała, sprawa trafiła do prokuratury, a ta postawiła adwokatowi zarzuty. Krzysztof K. znalazł się w areszcie. Dodatkowo został wyrzucony z olsztyńskiej palestry. Na procesie zeznawało 70 świadków, akta sprawy zaś liczyły 70 tomów.

My mieliśmy z nim osobną przygodę. W 2019 r. Krzysztof K. czuł się na tyle pewny, że zażądał od redakcji „Przeglądu" 250 tys. zł odszkodowania za rzekome ujawnienie jego wizerunku i danych osobowych. Chociaż w naszych publikacjach jego nazwisko było skrócone do inicjału, a twarz rozmazana. Oczywiście redakcja odrzuciła te absurdalne żądania.

I gdy już jego sprawki poszły w zapomnienie, w ostatnim cza-

Na procesie Krzysztofa K. zeznawało 70 świadków, akta sprawy zaś liczyły 70 tomów.

Podobnie nie doszło do przejęcia przez Krzysztofa K. mieszkania starszego małżeństwa, które zalegało z czynszem za lokal w centrum Olsztyna. Adwokat zaproponował im wyjście z trudnej sytuacji: udzielenie kredytu w zamian za przeniesienie na niego prawa własności do mieszkania, gdyby tej pożyczki nie spłacili. Na dodatek zamiast 30 tys. zł dał im w gotówce tylko 10 tys. Innych klientów, w tym lekarza wojskowego i męża olsztyńskiej radnej, naciągał według podobnego schematu.

sie mecenas Lech Obara z Olsztyna, jako pełnomocnik kilkorga poszkodowanych, niespodziewanie poinformował, że skazany prawomocnym wyrokiem Krzysztof K. zamiast w więzieniu siedzi w ciepłych krajach. Według władz sądowych – konkretnie w Dominikanie. „To test skuteczności państwa", mówi mecenas Obara, komentując próby ściągnięcia K. do Polski. Można jeszcze dodać, że w przypadku innego prawnika, przebywającego w USA Zbigniewa Z., nasze państwo też na razie sobie nie radzi. ■

eprasa.pl ffe8783b81

Prezydent to nie udzielny monarcha

Andrzej Wilk

Arogancka, arbitralna i nieprzewidywalna polityka Donalda Trumpa spowodowała, że w wielu miastach Ameryki obywatele wyszli na ulice z transparentami „No Kings".

Minneapolis, spokojne miasto, które pamiętam z okresu studiów na University of Minnesota, stało się widownią ostrych protestów wywołanych brutalnością agentów ICE (Immigration and Customs Enforcement). Opór społeczny budzi też skrajnie prawicowa ofensywa ideologiczna. Składają się na nią m.in.: odrzucanie tzw. poprawności politycznej w imię „wolności słowa", ograniczanie wiedzy o niewolnictwie (poprzez cenzurowanie ekspozycji muzealnych oraz programów uczelnianych), segregacji rasowej i postępowych organizacjach społecznych działających przeciw tym plagom. Treści te Trump uważa za „niepatriotyczne". Badanie zmian klimatu i rozwój odnawialnych źródeł energii są zbywane inwektywami. Uczelnie, które nie chcą się poddać takiej narracji, karane są cofaniem dotacji federalnych. Uniwersytet Harvarda stracił 2,2 mld dol., Columbia – 400 mln (bezpośrednim powodem był brak reakcji uczelni na protesty i nękanie żydowskich studentów na terenie kampusu – przyp. red.).

Niedawno prezydent Trump zainicjował akcję przeciwko obecności w USA studentów zagranicznych, zwłaszcza chińskich. Tymczasem pieniądze pochodzące z czesnego chińskich studentów od lat były ważną pozycją w budżetach wielu amerykańskich uniwersytetów. W roku 2016 byłem profesorem wizytującym na University of Central Missouri, na którym studiowały osoby z 56 krajów. Rektor Charles Ambrose i dziekan Joseph Lewandowski mówili o licznych zabiegach w celu pozyskania studentów chińskich. Ci jednak wybierali czołowe uniwersytety, należące do Ivy League (Ligi Bluszczowej – przyp. red.). Uniwersytety stanowe ich nie interesowały. W czasie majowej wizyty Trumpa w Pekinie uzgodnione zostało z prezydentem Xi Jinpingiem poparcie dla wzrostu liczby studentów amerykańskich w Chinach oraz chińskich w USA. Jak będzie realizowane to uzgodnienie w praktyce – zobaczymy.

Arbitralnie podnoszone taryfy celne oraz wojna z Iranem spowodowały wzrost cen oraz poważne problemy w funkcjonowaniu małych i średnich przedsiębiorstw. Wzrost niezadowolenia można zauważyć nawet wśród gorliwych wyznawców trumpizmu. Na przykład Tucker Carlson, który wniósł znaczny wkład w kampanię wyborczą Trumpa, stał się obecnie jego radykalnym krytykiem. Zanny Minton Beddoes, redaktorka „The Economist", podczas rozmowy przeprowadzonej 19 marca br. zapytała go, czy wojna Trumpa z Iranem oznacza zdradę hasła „America First", które towarzyszyło kampanii wyborczej. Carlson odpowiedział: „To nie tylko niezgodne z »America First«, ale jest zaprzeczeniem tego wezwania. Zmiana ta nastąpiła na skutek żądań Izraela i jego wpływowych zwolenników. Nie można pozwolić na to, aby państwo dziewięciomilionowe podejmowało decyzje o krytycznym znaczeniu dla państwa 350-milionowego. To sprzeczne z interesem Ameryki".

3 czerwca br. Izba Reprezentantów przyjęła rezolucję wzywającą do zakończenia wojny z Iranem. Jej ewentualne przedłużenie powinno być uzależnione od zgody Kongresu. Za przyjęciem rezolucji głosowali demokraci, a także kilku republikanów.

Sondaż opinii publicznej przeprowadzony przed amerykańskim atakiem na Wenezuelę wykazał, że 56-63% respondentów było przeciwnych użyciu siły, a poparcie wobec jej użycia wyraziło tylko 15-16% (w zależności od ośrodka badawczego – przyp. red.). W komunikatach o porwaniu prezydenta Madura i jego żony mowa była o tym, że Amerykanie nie ponieśli strat. Wiele mediów pominęło jednak fakt, że ochrona Madura nie miała rozkazu użycia broni. Napastnicy zastrzelili zaś 47 żołnierzy wenezuelskich, 32 kubańskich oraz dwóch cywilów.

Być może rozczarowanie Trumpem spowoduje po wyborach połówkowych w listopadzie br. istotne zmiany w składzie Senatu. Gdyby nastąpiły – prawdopodobne byłoby wszczęcie wobec prezydenta Trumpa procedury impeachmentu. W Konstytucji Stanów Zjednoczonych (art. II sekcja 4) czytamy: „Prezydent, wiceprezydent i wszyscy funkcjonariusze służby cywilnej Stanów Zjednoczonych będą usunięci ze stanowisk w wyniku postawienia w stan oskarżenia i skazania za zdradę, korupcję oraz poważne zbrodnie i przestępstwa". Procedurę postawienia w stan oskarżenia (impeachmentu) zastosowano wobec Andrew Jacksona, Billa Clintona i Donalda Trumpa. W żadnym przypadku nie nastąpiło usunięcie ze stanowiska. Prezydent Trump w czasie pierwszej kadencji był poddawany tej procedurze dwukrotnie.

Obecnie występuje wyjątkowe nagromadzenie przyczyn, zarówno politycznych, jak i osobistych, które mogą być wykorzystane przeciw Trumpowi.

Obecnie występuje wyjątkowe nagromadzenie przyczyn, zarówno politycznych, jak i osobistych, które mogą być wykorzystane przeciw Trumpowi. Historia wieloletniej, bliskiej znajomości Trumpa z Jeffreyem Epsteinem zawiera zbyt wiele faktów kompromitujących prezydenta, lub tylko żenujących, aby mogli o nich zapomnieć jego polityczni przeciwnicy.

Dr Andrzej Wilk jest nauczycielem akademickim i publicystą zajmującym się stosunkami międzynarodowymi, zarządzaniem oraz historią myśli politycznej

eprasa.pl ffe8783b81

Perspektywy Women in Tech Summit 2026

Kobiety zmieniają oblicze światowej technologii

Maciej Belowski

Konferencja Perspektywy Women in Tech Summit 2026, dwudniowe wydarzenie, które odbyło się 10 i 11 czerwca w halach warszawskiego centrum EXPO XXI, jest największym w tej części Europy świętem liderek z branży technologicznej i innowacji. Pokazuje ich ogromny wpływ na globalną naukę.

Za całe to potężne przedsięwzięcie odpowiada Fundacja Edukacyjna „Perspektywy", a hasłem spotkania było w tym roku dynamiczne „Unleash New Energy" (Uwolnij nową energię). I choć na tego typu imprezach naukowych spodziewać się można raczej garniturów i sztywnej atmosfery, wydarzenie z nudą nie miało nic wspólnego – całkowicie odbiegało od akademickiej sztampy.

W programie konferencji były panele, prezentacje naukowe i wystawy gigantów technologicznych oraz znanych firm – od Netfliksa, przez Polskie Elektrownie Jądrowe, aż po Google'a. Tętniło też życie targowe, z interaktywnymi punktami doświadczalnymi oraz humanoidalnymi robotami AI.

Różnorodność i wspieranie kobiet nie ograniczały się do marketingowych sloganów – organizatorzy realnie ułatwili życie uczestniczkom, przygotowując bezpieczną strefę z pełną opieką dla dzieci i udowadniając, że macierzyństwo nie musi wykluczać rozwoju zawodowego. W gotowości czekały strefa relaksu oraz food trucki, także z opcjami wege.

Hale na potrzeby konferencji podzielono na sektory: Główny, Nauk Ścisłych i Inżynierii oraz Technologii – łącznie pięć scen i dziewięć stref. Ponad 400 prelegentów z całego świata – z czego większość stanowiły kobiety – świadczy o skali imprezy.

– W tej edycji mogło wziąć udział nawet 14 tys. osób, więc utrzymujemy nasz wysoki poziom – mówiły organizatorki. Tłumy uczestników kusiła bogata agenda: 500 indywidualnych sesji mentoringowych, ponad 80 warsztatów oraz obecność przeszło 100 firm partnerskich i licznych uczelni.

Tygiel talentów od Tanzanii po Indie

Wydarzenie przyciągnęło uczestników z całego globu, stając się międzynarodową platformą wymiany myśli i doświadczeń. W EXPO XXI można było usłyszeć dziesiątki języków – ta międzynarodowa perspektywa nie po raz pierwszy nadała imprezie wyjątkowy charakter.

Agenda była bogata: 500 indywidualnych sesji mentoringowych, ponad 80 warsztatów oraz obecność przeszło 100 firm partnerskich i licznych uczelni.

Gloria James Meela, pochodząca z Tanzanii studentka anglojęzycznego kierunku MSc in Agri-Food, Economics and Trade na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu była pod dużym wrażeniem konferencji. – To mój pierwszy raz tutaj. Bardzo chcę czerpać wiedzę z paneli dotyczących cyberbezpieczeństwa oraz analityki danych, a także posłuchać inspirujących wystąpień kobiet związanych z NASA – przyznała. – To niesamowite miejsce, by poznać nowych ludzi i budować globalną sieć kontaktów.

Z kolei studentka inżynierii komputerowej na Akademii Finansów i Biznesu Vistula specjalizująca się w sztucznej inteligencji, Nigeryjka Winnie Okechukwu, która zaangażowała się jako wolontariuszka w zespole medialnym, wskazywała: – W obszarach technologicznych kobiety są wciąż zbyt rzadko dostrzegane i traktowane jako kluczowe postacie. Organizowanie takich wydarzeń specjalnie dla nas ma ogromne znaczenie, ponieważ daje nam przestrzeń do budowania widoczności i realnego wsparcia. Chcę wykorzystać ten czas na szukanie stażu w jednej z obecnych tu firm.

Silne przedstawicielstwo miały uczestniczki z Azji Południowej. Pochodząca z Indii Neeharika Gundreddi, z przeszło 15-letnim doświadczeniem w branży technologicznej, na co dzień pracująca w Polsce, podkreślała psychologiczny aspekt wydarzenia. – Dla kobiety wyjście z domu, studia, praca w obcym kraju i dojście do tego etapu to długa droga – tłumaczyła. – Summit gromadzi tak wiele inteligentnych kobiet w jednym miejscu, że daje nam to potężny impuls do dalszej samomotywacji, by zrobić kolejny krok w karierze. Mnie szczególnie interesuje to, jak świat i obecne tu firmy radzą sobie z rewolucją sztucznej inteligencji.

Organizatorzy niezwykle kreatywnie starali się przyciągać uwagę odwiedzających. Polskie Sieci

eprasa.pl ffe8783b81

Elektroenergetyczne czy Google na swoich stoiskach zachęcały kandydatów do pracy za pomocą angażujących gier i loterii, a eksperci na bieżąco analizowali i oceniali przyniesione CV, podpowiadając, co warto poprawić na ścieżce zawodowej.

Uczelnie z kolei umożliwiły studentom kierunków ścisłych (STEM) oraz kadrom akademickim aplikowanie o darmowe bilety. Amelia, studentka informatyki na Politechnice Gdańskiej, przyjechała tu z jasno określonym celem. Jej słowa pokazują, z czym mierzy się dzisiejsza młodzież. – Jestem tutaj, bo chcę poszukać ofert pracy i staży. Szukam również możliwości rozwoju kariery, chcę zobaczyć, kogo potrzebują na rynku pracy, jak to wygląda w IT. No bo wiadomo, dzisiaj jednak się straszy, że nie będzie dla nas pracy, chciałam więc przede wszystkim zorientować się, jak to wygląda.

Amelia przyjechała z kolegą z roku. Choć mogłoby się wydawać, że to impreza tylko dla dziewczyn, w halach spotkać można było wielu chłopaków. Towarzysz Amelii nie ukrywał zaskoczenia męską frekwencją. – Baliśmy się, że w ogóle nie będzie tu facetów. Tymczasem sytuacja wydaje się całkiem zbalansowana – przyznał z uśmiechem, przytakując Amelii, która mówiła, że oboje spodziewali się znacznie bardziej hermetycznego środowiska.



Dr Bianka Siwińska, prezeska Fundacji Edukacyjnej „Perspektywy", podczas ceremonii otwarcia Women in Tech Summit 2026. Warszawa, 10 czerwca 2026 r.

Dziewczyny rządzą światem i kosmosem

Wydarzenie otworzyła dr Bianka Siwińska, prezeska Fundacji Edukacyjnej „Perspektywy", która do tłumu uczestników skierowała mocny manifest. – Ta wielka energia jest w nas dzisiaj. Jesteśmy masą krytyczną potrzebną do wywołania reakcji łańcuchowej. I o tym właśnie jest ten summit. O uwalnianiu energii w najpotężniejszy, najbardziej konstruktywny i kreatywny sposób, który porusza ludzi, idee, firmy, kariery, a nawet cały świat do przodu – deklarowała ze sceny. – Żyjemy obecnie w świecie, który nie jest łatwy ani zbyt przyjazny. Jest wiele spraw, które trzeba naprawić. Ale kiedy patrzę na tę salę, wiem, że jest nadzieja. Nasza energia może naprawić świat. Jesteśmy masą krytyczną i nic tego nie zatrzyma.

Prawdziwą petardą okazał się jednak finał Grand Opening. Po mocnym wystąpieniu Sandry Wiktorko, dyrektorki ds. partnerstw biznesowych w Perspektywy Women in Tech, przed publicznością stanęła pianistka Zuzanna Całka. Z głośników popłynął zremiksowany utwór „Run the World (Girls)" Beyoncé i padło hasło: „Who run the world? GIRLS!" (Kto rządzi światem? Dziewczyny!), co autentycznie poruszyło zgromadzonych na sali i idealnie domknęło ten widowiskowy start.

Całe wydarzenie zgrabnie łączyło świat profesjonalistów z formatem nieco przypominającym nowoczesny festiwal, kierujący uwagę uczestników na najważniejsze przyszłościowe tematy: energię jądrową, lotnictwo, kosmos czy zaawansowaną informatykę. Przechadzając się po halach, można było się natknąć na spektakularne instalacje techniczne, takie jak makieta amerykańskiego silnika lotniczego CFM56-7B napędzającego Boeingi 737.

Fani eksploracji pozaziemskich kierowali się prosto do strefy nazwanej Kosmiczna Akademia, gdzie główną atrakcją było w pełni funkcjonalne mobilne planetarium. Uczestnicy mieli wyjątkową okazję założyć kombinezony NASA i poczuć emocje prawdziwych astronautów.

Z kolei dla tych, którzy tęsknili za cyfrowymi korzeniami, przygotowano Zone Bajtek Generation. Ta przestrzeń retrogamingu przyciągała możliwością zagrania w klasyki z czasów 8- i 16-bitowych komputerów, takie jak Mario vs. Donkey Kong czy Sonic.

O tym, dlaczego pojawiły się te inżynieryjne sektory, opowiadała Sandra Wiktorko: – Na takich kierunkach jak automatyka, robotyka, mechatronika czy budowa maszyn zdarza się, że jest jedna, maksymalnie trzy dziewczyny na roku. Są wydziały na uniwersytetach lub politechnikach, na których nie ma w ogóle kobiet. Dlatego, zapraszając te młodsze dziewczyny czy studentki, zapraszamy też firmy inżynierskie, żeby pokazać, że tam również jest dla nich miejsce i można robić super rzeczy.

Ideę zaawansowanej energetyki jądrowej oraz rolę kobiet w tym sektorze kapitalnie podsumowała Emilia Janisz, ekspertka ds. energii atomowej i prezeska Women in Nuclear Polska, która na stoisku organizacji i podczas paneli dzieliła się opisami twardych realiów branżowych. – Czujemy teraz ten renesans jądrowy, to jest moment, kiedy powinnyśmy rozmawiać o budowaniu kadr równościowych. Chcemy edukować, mówić o tym, że sektor jądrowy to różne profile

eprasa.pl ffe8783b81



Unitree G1 – robot Wydziału Mechanicznego Politechniki Krakowskiej.

i potrzebujemy kobiet z różnymi specjalizacjami. Tak naprawdę przez następne lata w tej branży będzie potrzebnych ok. 40 tys. specjalistów. W instytutach badawczych w Polsce mamy ok. 40% kobiet, ale globalnie w tym sektorze to zaledwie 20%, a na najwyższych stanowiskach – tylko 8%. Chcemy inspirować młode dziewczyny do wejścia w ten świat i przebijania szklanych sufitów. Na stoisku pokazujemy cztery makiety reaktorów, od małych po duże, gdzie można zobaczyć, jak to działa od środka, a nawet samemu spróbować przełożyć pręty paliwowe.

Winnie Okechukwu: W obszarach technologicznych kobiety są wciąż zbyt rzadko dostrzegane i traktowane jako kluczowe postacie.

Technologie przyszłości i nuklearne metafory

Podczas Grand Opening Pamela Krzypkowska, dyrektorka Wydziału Badań i Innowacji w Ministerstwie Cyfryzacji, Estera Kot, dyrektorka ds. technologii w Clouds On Mars, i Joanna Maraszek-Darul, współzałożycielka Plan Be Eco, poprowadziły interaktywny quiz. Połączyły w nim naukę z wizją jutra, przekładając fizykę reaktorów na język ludzkich relacji. Pamela Krzypkowska podzieliła się ze sceny obrazowym porównaniem: – W prawdziwym reaktorze jądrowym rozszczepienie generuje kolejne rozszczepienie. Jeden neutron dotyka drugiego, one wręcz odbijają się od siebie i tworzą energię dla fuzji jądrowej. Dokładnie to samo dzieje się z wami tutaj: z każdą rozmową, z każdym zadanym pytaniem tak naprawdę budujecie i wyzwalacie energię tego summitu.

Wątek ten podchwyciła Estera Kot, podkreślając realną siłę dyskusji: – Dużo rozmawiamy o sztucznej inteligencji. Każda konferencja, każda prelekcja będzie o używaniu technologii do budowania AI, do budowania produktów AI. Ale pomyślcie, czego potrzebujemy do AI? Potrzebujemy energii – jak ją stworzyć. Już niedługo będziemy mieć pierwszą elektrownię jądrową w Polsce. Ta wspólna gra na telefonach to właśnie ćwiczenie, aby uwolnić energię płynącą od was do budowania produktów AI. Potrzebujemy waszego wkładu, więc proszę, wnoście go!

Joanna Maraszek-Darul dodała zaś: – Summit polega właśnie na wkładzie, polega na dzieleniu się energią. Mamy nadzieję, że to doświadczenie było dla was tak inspirujące, że będziecie mogli zacząć własną reakcję łańcuchową później w swoim życiu.

– Jak ją zacząć? Po prostu zacznijcie rozmawiać. My znamy parę osób, znamy się nawzajem od ostatnich 10 lat, wciąż razem pracujemy i to Fundacja „Perspektywy” połączyła nas, wszystkie te programy. Ale jak to się zaczęło? Od rozmów z nieznajomymi. Dlatego naprawdę zachęcam was, żebyście zaczęli rozmawiać – podsumowała Estera Kot.

Tegoroczna konferencja udowodniła, że o najtrudniejszych wyzwaniach jutra można rozmawiać bez zadęcia, w energetycznej, festiwalowej atmosferze, w ludzki, w pełni włączający sposób. Rzucając wyzwanie starym porządkom, warszawskie spotkanie pokazało, że kobiecy wkład w technologię to nie dopiero przyszłość, ale potężna rzeczywistość.

Maciej Belowski

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl ffe8783b81

Jak uzależnić dzieci od cukru

Polska polityką podatkową wspiera picie napojów słodzonych

Beata Igielska

Obecnie z nadwagą mierzy się aż 50% populacji Polski, a wśród osób w wieku senioralnym – nawet 75%. W 2022 r. cukrzycę rozpoznano u 3,1 mln osób. A co robi w tej sprawie państwo? Otóż na czystą butelkowaną wodę ustala 23-procentowy VAT, a na napoje udające wody, słodzone zagęszczonymi sokami – stawkę 5%. Polski system podatkowy nie wspiera zatem rozwiązań prozdrowotnych, choć mogłoby się wydawać, że powinien. Uwagę na to zwraca dr hab. nauk prawnych Robert Gwiazdowski, adwokat i doradca podatkowy: – Woda butelkowa jest obłożona 23% VAT, ale jak do niej wlejemy co najmniej 20% zagęszczonego soku owocowo-warzywnego, napój jest obłożony 5% VAT.

Przeciętny Polak nie zarabia milionów. Na początku czerwca br. GUS opublikował dane dotyczące mediany wynagrodzeń w grudniu 2025 r. Wyniosła ona 7907 zł brutto. Oznacza to, że połowie zatrudnionych Polaków zostało wypłacone wynagrodzenie niewyższe niż ta kwota, a druga połowa otrzymała wynagrodzenie nieniższe (czyli równe lub wyższe). Przeciętny Kowalski dostaje więc na rękę niecałe 5720 zł. I chce kupować jak najtaniej. A skoro tak, to producenci też produkują jak najtaniej. Im więcej świństw w żywności, tym tańsza jej produkcja. Państwo zaś swoją polityką podatkową wspiera picie byle czego.

W dużych sklepach obok wody stoją napoje nazywające się „water" albo „aqua", które w rzeczywistości są wodą słodzoną. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów takim praktykom powinien powiedzieć: stop, nie oszukujcie ludzi – to nie jest woda!

Na polskim rynku tylko dwie firmy produkują jedynie butelkowaną wodę mineralną. Pozostali producenci wód oferują również wody smakowe. I je promują. Podobnie jest z piwem – bezalkoholowe z dodatkiem minimum 20% soku korzysta z preferencyjnej stawki 5% VAT.

W dodatku rozporządzenie UE1169/2011 wskazuje, że napój alkoholowy, który ma powyżej 1,2% zawartości alkoholu (czyli de facto każdy napój alkoholowy), jest zwolniony z obowiązku podawania wykazu składników i wartości odżywczych. Producent w składzie może umieścić wszystko, a na etykiecie musi tylko napisać, że jest to napój alkoholowy. Jeśli ktoś kupuje słodką wódkę, nalewkę – nie wie, kto ją wyprodukował ani z czego.

Państwo nie wspiera rozwiązań prozdrowotnych. Woda butelkowa jest obłożona 23% VAT, ale jak do niej wlejemy zagęszczony sok, stawka VAT wyniesie 5%.

Jan Karsznicki, ekspert prawny Instytutu Rozwoju Spraw Społecznych, ubolewa, że podobnie nieszczelne rozwiązania prawne dotyczą sklepików szkolnych: – Kiedy w 2016 r. wprowadzano rozporządzenie sklepikowe w obecnym brzmieniu, jego idea była słuszna – ograniczyć katalog produktów, żeby nie można było kupić Coca-Coli, chipsów czy niezdrowych żelków, słodyczy, batonów. Niestety, system nadal jest nieszczelny, jeśli chodzi o napoje słodkie.

Rozporządzenie sklepikowe zostało wydane na podstawie Ustawy o bezpieczeństwie żywności i żywienia. Zgodnie z art. 52c w szkołach można sprzedawać tylko produkty, które są wymienione w rozporządzeniu ministra zdrowia – czyli soki, musy, przeciery, koktajle mleczne, wodę źródlaną i butelkowaną wodę mineralną. Ale jest też problematyczna kategoria napojów bez dodatku cukru i substancji słodzących.

– Obecnie do sklepików szkolnych czy do automatów bez problemu można więc wstawić napoje typu „water", „aqua", słodzone lemoniady, herbaty, produkty typu ice tea, które zawierają 20-30% zagęszczonego soku owocowego, najczęściej najtańszego, jabłkowego. Mają w składzie 5-6 g cukru na 100 ml, czyli szalenie dużo, ponad połowę tego co Coca-Cola. Cukier jest wprowadzany w postaci soków i przecierów, w związku z tym ta żywność może być oznakowana jako „bez dodatku cukru". Na opakowaniu musi być napisane, że produkt zawiera naturalne substancje słodzące. Producenci dają więc napis wielkimi literami: „Bez dodatku cukru", a mniejszymi: „Zawiera naturalne substancje słodzące" – wyjaśnia mecenas Karsznicki.

Nowe rozporządzenie sklepikowe zacznie obowiązywać od 1 września br. Ministerstwo Zdrowia ogłosiło wielki sukces, gdy tymczasem problem napojów słodzonych sokami owocowymi pozostał. – Jest to tym bardziej niezrozumiałe, że w rozporządzeniu sklepikowym mamy jeszcze napoje, które są robione na miejscu, w szkołach, czyli musy, lemoniady. I one już muszą zawierać maksymalnie 5 g cukrów na 250 ml napoju. To bardzo restrykcyjny warunek. Za to duże koncerny, które produkują nibywody, lemoniady, nie muszą liczyć węglowodanów – podsumowuje mecenas. ■

eprasa.pl ffe8783b81

WINNY JESTEM LOSOWI WDZIĘCZNOŚĆ

Nagroda krytyków teatralnych dla Mirosława Baki

Alina Kietrys

Marka artystyczna Mirosława Baki jest stała i podkreślana przy okazji niemal każdego nowego spektaklu teatralnego. Aktor prawie 40 lat udowadnia, że jego wymagający zawód może być najwyższej próby, a rzemiosło w tym zawodzie w jego wykonaniu to klasa sama w sobie.

Hamlet wiele wytrzyma

Dojście do takiego poziomu, jaki dzisiaj prezentuje Baka, to lata różnych doświadczeń, wyrzeczeń, upadków w sensie dosłownym i przenośnym, ale przede wszystkim wielu znaczących sukcesów. Od tych ostatnich mogło zawirować w głowie, ale nie zawirowało, choć artysta dość odważnie przyznaje, że bywa próżny. Wielką radość sprawił mu album wydany z okazji 50-lecia festiwalu w Cannes, gdzie jest jego zdjęcie z pokazywanego tam w maju 1988 r. słynnego „Krótkiego filmu o zabijaniu" w reżyserii Krzysztofa Kieślowskiego. Jednak owej okolicznościowej „próżności" nie zauważyłam na scenie. A mam to szczęście, że mogę obserwować od początku teatralne zmagania Mirosława Baki, a i filmowe i telewizyjne nie są mi obce.

Kiedy się spotkaliśmy? W Teatrze Wybrzeże w Gdańsku, w pierwszym sezonie Mirka Baki w tym zespole, a więc był to rok 1988. Oczywiście nie od razu zauważyłam jego wielkie możliwości sceniczne. Szczupły (do dzisiaj), wysoki blondyn, o chłopięcej aparycji, skupiony i uśmiechający się z pewną nieśmiałością, nie brylował w zespole, w którym prym wiodły gwiazdy. Ale usłyszałam już wtedy tembr głosu, który łatwo było mi zapamiętać. Dusza radiowca jest we mnie do dzisiaj.

Kiedy polska sekcja Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych (AICT) działająca przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy RP jednogłośnie, bez jakichkolwiek wątpliwości uznała – choć krytycy teatralni, jak wiadomo, miewają różne zdania – że Nagroda im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego za wybitne osiągnięcia aktorskie w dziedzinie sztuki teatralnej powinna trafić właśnie teraz do Mirosława Baki, z radością przyjęłam propozycję wygłoszenia laudacji. Było to uhonorowanie artystycznego dorobku niezapomnianego gdańskiego Hamleta, który zapewne jako jedyny artysta sceniczny doświadczył 200 ekstremalnych prób w ciągu dziewięciu miesięcy, nim w 1996 r. w Teatrze Wybrzeże doszło do premiery spektaklu w reżyserii Krzysztofa Nazara. Przygotowania okazały się prawdziwym sprawdzianem wytrzymałości fizycznej i artystycznej. Po kilku latach (2000) doszła jeszcze tytułowa rola w „Ryszardzie III", również w reżyserii Nazara. Przedstawienie to określano jako „oddziałujące na wszystkie zmysły widzów", choć nie dyskutowano o nim tak zażarcie jak o „Hamlecie".

O tych dwóch realizacjach Mirek Baka napisał pracę magisterską (nieco spóźnioną, bo powstała ona 25 lat po zakończeniu studiów we wrocławskiej PWST), którą zadedykował reżyserowi.

Mirosław Baka jest aktorem magnetycznym. Potrafi hipnotyzować widzów, szczególnie gdy mówi wprost do nich.

Krótkie CV Bakersa

Mirosław Baka ma 62 lata. Urodził się w Ostrowcu Świętokrzyskim, a miasto dumne z dokonań byłego mieszkańca uczyniło go w ubiegłym roku honorowym obywatelem. Rodzinnie nie miał kontaktów teatralnych. Mama pracowała w kiosku, tata i dziadek w hucie, a on chętnie spędzał swój młodzieńczy czas z dziadkami i pradziadkami. W Ostrowcu pobierał pierwsze ważne nauki. Był aktywnym harcerzem, doszedł do stopnia podharcmistrza, ale również demonstrował indywidualność kontestatora i zdarzało mu się obrywać za brak pokory. Przywiązanie do własnych zasad i „bycia sobą" stanowiło jego kredo nie tylko w tamtych latach.

Przez jakiś czas trenował w Ostrowcu w drużynie piłki wodnej. Był także gorącym kibicem kobiecej drużyny siatkówki w swoim liceum. Pisał wiersze dla wybranych koleżanek… i doświadczał młodzieńczej fascynacji teatrem. W podstawówce recytował wiersze na apelach i w konkursach, w liceum rozśmieszał w szkolnym kabarecie. Po maturze do szkoły teatralnej w Warszawie (dzisiejszej Akademii Teatralnej) dostał się bez problemów, ale po pierwszym roku

eprasa.pl ffe8783b81



wyrzucił go rektor Andrzej Łapicki, ponoć za namową pani Mai Komorowskiej, bo uznali, że nie jest odpowiednim „materiałem" na aktora. Łapicki określił to po latach jako swój „błąd pedagogiczny", a Baka uważał, też po latach, że ten zimny prysznic porażki był ważny. Zaczął więc naukę w różnych szkołach policealnych w Ostrowcu: m.in. elektrycznej, wychowania przedszkolnego, był też ratownikiem w pogotowiu. To doświadczenie uważa za nader cenne, bo na jednym dyżurze mogła się zdarzyć kondensacja wielu emocji, które są tak ważne w zawodowym doświadczeniu aktora.

Drugie podejście do aktorstwa to wydział zamiejscowy krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu. Tę uczelnię skończył bez problemu. Na pierwszym roku oficjalnie zadebiutował w filmie Mirosława Borka „Daleki dystans" (1985), na drugim zagrał w serialu „Ballada o Januszku", a na trzecim jako Jacek Łazar stworzył pierwszą kreację u Krzysztofa Kieślowskiego, w znakomitym „Krótkim filmie o zabijaniu". Ta rola określiła jego rangę na długie lata, choć wcale nie posypały się natychmiast następne aktorskie oferty filmowe.

Na kolejne propozycje musiał chwilę poczekać, aż pojawił się czas pracy m.in. z Jackiem Skalskim, Andrzejem Barańskim, Andrzejem Wajdą, Władysławem Pasikowskim, Borysem Lankoszem, Mariuszem Grzegorzkiem, Filipem Zylberem czy Waldemarem Krzystkiem. Ról filmowych i serialowych Mirosław Baka zagrał ponad 130, ale niektórych filmów ze swoim udziałem, tych niemieckich i węgierskich, nawet nie oglądał. Natomiast na pewno zna wszystkie spektakle teatralne, w których grał, a jest tych ról niemało, bo ponad 90. W Teatrze Telewizji zagrał w 22 spektaklach.

Teatr najważniejszy

Wielokrotnie mówił, że najważniejszy był i jest dla niego teatr.

Po studiach jeden sezon zatrzymał go w Teatrze im. Cypriana Kamila Norwida w Jeleniej Górze. Debiutował „Balem w operze" Juliana Tuwima w sezonie 1987/1988. Po czym zdecydował – być może uwzględniając sugestie żony, związanej z Pomorzem aktorki Joanny Kreft-Baki (poznali się na egzaminach wstępnych we Wrocławiu) – że wybiera Gdańsk i Teatr Wybrzeże. Tej scenie jest wierny od 1988 r. do dzisiaj, choć chwilami grywał w innych teatrach: w warszawskich Syrenie, Komedii i Polonii czy w spektaklach teatrów w Bydgoszczy i Kaliszu. Aktualnie poza Gdańskiem można go oglądać w Teatrze 6. piętro w Warszawie w tragikomedii Willy'ego Russella „Edukując Ritę" w reżyserii Eugeniusza Korina.

Teatrem Wybrzeże, gdy trafił do niego Mirosław Baka, rządził Stanisław Michalski, kierownikiem literackim był Władysław Zawistowski. Królowali scenografowie Marian Kołodziej, Jan Banucha czy Anna Maria Rachel, w zespole aktorskim prym wiodła Halina Winiarska, a byli w nim m.in. Joanna Bogacka, Ewa Kasprzyk, Henryk Bista, Jerzy Łapiński, Jacek Mikołajczak i Krzysztof Matuszewski, z którym Baka przez lata będzie dzielił garderobę.

Była również Dorota Kolak, jedna z ważnych scenicznych partnerek Mirosława Baki, z którą zagrał w 20 różnych przedstawieniach, także w swoim debiucie w Teatrze Wybrzeże, w sztuce Władysława Zawistowskiego „Stąd do Ameryki". To był spektakl ważny politycznie w sierpniu 1988 r. W drugim spektaklu w gdańskim teatrze (październik

eprasa.pl ffe8783b81

1988), „Wolność dla Barabasza" Krzysztofa Wójcickiego w reżyserii Andrzeja Markowicza, Baka zagrał już rolę tytułową, o której pisano: „Baka jest Barabaszem… Barabaszem rozstrzygającym skomplikowane problemy moralne. Dalekim od łatwych wyborów".

Mirosław Baka bardzo szybko udowodnił, że jest jednym z najważniejszych aktorów w zespole Teatru Wybrzeże. Kiedy zagrał Enobarbusa w „Antoniuszu i Kleopatrze" w reżyserii Krzysztofa Babickiego, Biffa w „Śmierć komiwojażera" w reżyserii Feliksa Falka, Iwana Szatowa w „Biesach" w reżyserii Babickiego, Pinneberga w „I cóż dalej, szary człowieku?" w reżyserii Marcela Kochańczyka, a szczególnie po roli Chłopca w „Godzinie kota" Pera Olova Enquista w reżyserii Krzysztofa Babickiego, posypały się nagrody. To był rok 1993. Aktor uhonorowany został najważniejszą w dziedzinie kultury Nagrodą Miasta Gdańska „Splendor Gedanensis" za dokonania na scenie Teatru Wybrzeże. Rok później przyznano mu statuetkę Pegaza za rolę Chłopca w „Godzinie kota" w Teatrze Wybrzeże i nagrodę na XXIX Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów Małych Form w Szczecinie.

Kariera teatralna Baki nabierała tempa. Pracował bardzo intensywnie. Łączył życie sceniczne z filmowym. W 1998 r. otrzymał Nagrodę im. Leona Schillera, prestiżowe wyróżnienie Związku Artystów Scen Polskich, za wybitną kreację aktorską w „Hamlecie".

Duet uwodzi i bawi

Coraz popularniejsze stają się sceniczne kreacje Doroty Kolak i Mirosława Baki. Ten duet wręcz uwodzi widzów. Dobre recenzje i opinie czytaliśmy po przedstawieniu „Na początku był dom" według prozy Doris Lessing w reżyserii Anny Augustynowicz (2011). A potem był głośny i nagradzany spektakl „Kto się boi Virginii Woolf?" Edwarda Albeego w reżyserii Grzegorza Wiśniewskiego z 2015 r., w którym Mirosław Baka jako George stworzył genialny duet z Dorotą Kolak w roli Marty. Za te role obojgu wręczono prestiżową Nagrodę im. Aleksandra Zelwerowicza za najlepsze kreacje sezonu. Baka grał uniwersyteckiego historyka uwikłanego w toksyczną małżeńską grę pełną intelektualnych pretensji. To obraz całkowitego wypalenia, depresji i emocjonalnego schyłku, a George w wykonaniu Baki pod maską cynizmu i ciętego dowcipu skrywa głęboką, przejmującą samotność.

Kolejny raz zachwycił Baka w „Śmierci komiwojażera" Arthura Millera w reżyserii Radka Stępnia, tym razem w roli Willy'ego. W rolę jego żony Lindy wcieliła się świetnie partnerująca Anna Kociarz. Słusznie podkreślano, że nie byłoby legendy tego przedstawienia, gdyby nie Mirosław Baka w roli tytułowej. Obecny praktycznie cały czas na scenie Willy analizuje swoją przeszłość i mierzy się z gorzką, upokarzającą teraźniejszością. Boleśnie zraniony z trudem opanowuje bezradność i rozpacz. Nie kryje też irytacji i zdumienia. To jedna z największych ról w dojrzałej karierze Baki, uhonorowana m.in. Grand Prix na Festiwalu Sztuki Aktorskiej w Kaliszu (2020) oraz Pomorską Nagrodą Artystyczną. Kreacją tą stworzył głębokie studium psychologiczne człowieka słabego, tchórzliwego, który przez lata karmił siebie i bliskich iluzją sukcesu. Słusznie zauważono: „Na naszych oczach dokonuje się genialne studium upupienia i upokorzenia. Aktor fizycznie »liniał« i kurczył się w sobie". Taki fizyczny obraz załamania poruszał do głębi.

Mirosław Baka bawił też publiczność teatralną w komediach. Z Dorotą Kolak koncertowo objawili się w dwóch obleganych spektaklach „dla opornych" – „Seks dla opornych" i „Raj dla opornych". „Seks…" (premiera w Gdańsku w 2012 r. w reżyserii Krystyny Jandy) wystawiono niemal 500 razy w Gdańsku i w Teatrze Polonia. Aktorzy żartowali, że czują się jak stare, dobre małżeństwo, prawie jak bohaterowie tej zabawno-ironicznej opowieści Michele Riml.

Baka jest aktorem magnetycznym. Potrafi hipnotyzować widzów, szczególnie gdy mówi wprost do nich. Taki jest nawet w wyciszonym niczym studium psychologiczno-filozoficzne „Fauście" Goethego w Teatrze Wybrzeże w reżyserii Radka Stępnia, a jeszcze bardziej w spektaklu „Ciemności kryją ziemię" Jerzego Andrzejewskiego w reżyserii Tomasza Fryzla. Jego interpretacja roli Wielkiego Inkwizytora, bezwzględnego fanatyka, który w imię wiary buduje totalitarny system i poraża terrorem, powoduje, że Baka wiedzie nas do apogeum strachu. A w granym aktualnie w reżyserii Adama Orzechowskiego „Punkcie zero", kameralnym dramacie Radosława Paczochy, jego bohater z czasów polskiej transformacji ustrojowej jest powściągliwy i przegrany. I nawet gdy stoi nieruchomo, nie odpuszcza widzom, trzyma ich w szachu i niepewności. Odważny, bo stoi bez maski.

Mirosław Baka potrafi rzucić wyzwania reżyserom i… kolegom aktorom. Kiedyś o jego starszej koleżance w Teatrze Wybrzeże mówiono, że zagra wszystko, nawet książkę telefoniczną. Odnoszę wrażenie, że Mirosław Baka też mógłby zgrać wszystko, gdyby tylko chciał. Zapewne słusznie nie chce. Bo jego konwencją jest „autentyczność własna" wychodząca czasami z ascezy użytych środków, a czasami z „rozbuchanej namiętności" w kreowaniu postaci. W komediach bywa śmiesznym facetem, choć trzeba przyznać, że to nie dzieje się często. Śpiewa – piosenkę aktorską i poetycką. Sięga po twórczość Edwarda Stachury, Jacka Kaczmarskiego, Włodzimierza Wysockiego czy Jana Wołka.

I jest jeszcze w nim i w jego scenicznych działaniach ta wieczna tajemnica, tajemnica Mirka Baki, zachmurzenie i zanurzenie w sobie, a może nawet wycofanie. Obdarza tym widzów.

Niepotrzebne są mu celebryckie fajerwerki czy kokieteria ani

> Baka swoim talentem zmusza do nieustannych rewizji ugruntowanych już osądów.

eprasa.pl ffe8783b81



Mirosław Baka w sztuce „Punkt zero" w reżyserii Adama Orzechowskiego, Teatr Wybrzeże, sezon 2022/23.

pozorne wsparcie mocodawców. Przed laty jeden z gdańskich deweloperów proponował mu, że zbuduje dla niego teatr, żeby miał taki jak jego koledzy w Warszawie. Własny. Odmówił. I dobrze, że tak się stało, bo ważniejszy jest jego talent sceniczny niż ewentualne sukcesy organizacyjno-menedżerskie.

Niedawno usłyszałam zdanie: „Talent i miłość nie mają definicji". Baka swoim talentem zmusza do nieustannych rewizji ugruntowanych już osądów. Potrafi wyjść z cienia niespodziewanie albo zawładnąć sceną od pierwszych słów, albo z powolnego gestu wywieść ukrytą siłę. Ma on dzisiaj w swoim macierzystym teatrze, i nie tylko w nim, niekwestionowaną pozycję lidera i myślę, że dobrze o tym wie, ale nie jest rozkapryszonym „teatralnym manem".

Ile jest ról ważnych w dorobku Mirosława Baki? Wiele. Jego niekwestionowaną pozycję na pewno ugruntowały kreacje szekspirowskie. Oczywiście „Hamlet", „Ryszard III". Jego Hamlet był mroczny, silny, rozdarty między rolą „szlachetnego mściciela" a „łotra mordercy". Grę Baki określano mianem aktorskiej symfonii na jednego wykonawcę. Spektakl trwał pięć godzin i porwał młodą widownię, która kupiła tarantinowską koncepcję okrucieństwa, złachania, upokorzenia i ekspresję przemocy. I jak mówił Baka w jednym z wywiadów, to był jedyny spektakl, po którym, bijąc brawo, piszczały zachwycone Hamletem młode widzki. Był też Baka rzymskim wodzem w inscenizacji Moniki Pęcikiewicz w „Tytusie Andronikusie" (2006). Ten spektakl na II Ogólnopolskim Konkursie na Teatralną Inscenizację Dawnych Dzieł Literatury Europejskiej obsypano nagrodami, w tym dwiema aktorskimi, dla Mirosława Baki za rolę tytułową i Doroty Kolak za rolę Tamory. Kreację Baki została uznana za jedno z najciekawszych wydarzeń artystycznych.

Refleksje, nie kombatanctwo

W roku 2000 z inicjatywy nieżyjącego już prof. Jerzego Limona w londyńskim Teatrze Globe odbył się wieczór promujący ideę budowy Teatru Szekspirowskiego w Gdańsku. W obecności m.in. księcia Karola – obecnego monarchy – zagrano „Hamleta" z Markiem Rylance'em w roli tytułowej. Po spektaklu na scenie pojawili się dwaj Hamleci – angielski i polski. W swoich scenicznych kostiumach Rylance i Mirosław Baka przedstawili londyńskiej widowni jeden z monologów Hamleta. Rylance (późniejszy laureat Oscara) w języku Szekspira, Mirosław Baka po polsku. Po raz pierwszy polski język zabrzmiał wtedy ze sceny jednego z najbardziej znanych teatrów świata.

W 2012 r. uczestniczył zaś Baka w pierwszym zjeździe Hamletów w Gdańsku, który inscenizował Andrzej Wajda. Wtedy tę rolę zagrało 31 artystów i artystek.

Boy-Żeleński, patron nagrody krytyków teatralnych wręczonej Mirosławowi Bace w maju w Warszawie, nie znosił fałszu i obłudy. Wiem, że Baka nie toleruje tych cech ani w życiu, ani w pracy zawodowej. Budzi ze sceny uśpionych, inspiruje, wzrusza, a czasami mrozi. Kunszt i profesjonalizm, stałość uczuć i serce do ludzi to jego domena.

Przy okazji wręczenia tej nagrody Mirosław Baka mówił: „Kiedy już niemal 40 lat temu zaczynałem swoją pracę, na scenę wchodziło się prawie zawsze z kulisy, dobra dykcja i nośny głos były koniecznością, ingerencja tekstowa w wystawiany dramat polegała co najwyżej na zrobieniu skrótów, kostiumy niemal zawsze adekwatne do akcji dramatu, akcja na scenie, widownia na widowni, kurtyna… Wystawienie dziś w ten sposób sztuki teatralnej zaszokowałoby pewnie bardzo pokolenie nasto- i dwudziestoparolatków i wydałoby się im niesłychanie awangardowe.

To nie są żale aktorskiego kombatanta, to tylko refleksje o mijającym w naszym teatralnym życiu czasie. Myślę raczej, że winien jestem losowi wdzięczność, że dane mi było (i wciąż jest) doświadczać tych ogromnych przeobrażeń teatru naszych czasów. Zobaczyć je, odczuć, a co najważniejsze, mieć w nich swój aktorski twórczy udział.

Technika audiowizualna pod rękę z multimediami wkroczyła radośnie witana przez twórców teatru i zadomowiła się w nim na dobre. Jej ogromny, doskonały i wciąż rosnący potencjał pozwala wyobraźni twórców współczesnego teatru szybować w przestrzeniach (…).

I teraz należałoby jeszcze wspomnieć o sztucznej inteligencji… Ale powiem tylko, że wciąż wierzę i mam nadzieję, że AI nie znajdzie miejsca dla siebie w teatrze. A jeśli już, to tylko jako jedno z narzędzi pomocnych twórcom. Twórcom, których nigdy nie powinna zastąpić".

Alina Kietrys

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, NATALIA KABANOW/TEATR WYBRZEŻE

eprasa.pl ffe8783b81



Tajemnice „Japonki” Pankiewicza

Czekamy na sukces rynku sztuki

Bronisław Tumiłowicz

Nic tak nie podnosi ciśnienia jak kwota z sześcioma zerami, a tu jest możliwość dołączenia nawet siódmego. Na stronie domu aukcyjnego DESA Unicum pojawiła się informacja: Józef Pankiewicz (1866 Lublin – 1940 La Ciotat, Francja). „Japonka”, 1906-08, olej/płótno, 199 x 93 cm, sygnowany p.d.: Pankiewicz, inne historyczne tytuły: „Japonka z wachlarzem”. Estymacja: 12 000 000 – 20 000 000 zł. Numer obiektu na aukcji – 8.

Komentarz DESY: To oznacza, że „Japonka” ma szansę stać się jednym z najdrożej sprzedanych obrazów w historii polskiego rynku sztuki.

Warszawa, Piękna 1A

Każdy może sobie bezpłatnie obejrzeć dzieło Pankiewicza do 18 czerwca, kiedy o godz. 19 odbędzie się aukcja. W siedzibie DESA Unicum przy ul. Pięknej 1A w Warszawie, obok kilkudziesięciu mniejszych płócien słynnych polskich malarzy (Boznańska, Hofman, Makowski, Mehoffer i inni), które szykowane są na aukcję sztuki dawnej pod hasłem: XIX w., modernizm, międzywojnie. W oddzielnym boksie znajduje się ONA, kobieta w japońskim kimonie obrócona do nas tyłem, trzymająca w ręku okrągłe lusterko, stojąca na tle parawanu w kwiaty.

Dzieło jest niezmiernie atrakcyjne kolorystycznie, a po zabiegach konserwatorskich błyszczy, pokryte szklistym werniksem. Ma prawie 2 m wysokości. Postać kobiety naturalnej wielkości jest zgodnie z ówczesną modą modernistyczną nieco wyszczuplona, bo można porównać zdjęcie modelki, a konkretnie żony malarza Wandy z Lublińskich, primo voto Waydel. Legenda mówi, że Wanda patrzy na siebie w lusterku w momencie decyzji o porzuceniu pierwszego męża.

Nie wszystko jest tutaj idealne, rama obrazu w nienajlepszym guście, kwiaty na parawanie wydają się zbyt mocne, zagłuszają postać kobiety. W stosunku do innej

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ffe8783b81

wersji „Japonki", którą można oglądać w Muzeum Narodowym w Krakowie, są różnice: brakuje charakterystycznego japońskiego obuwia, jest tylko niewielka szafka, a właściwie stolik z laki i stojący na nim wazon.

Te wszystkie rekwizyty, jak też japoński ubiór kobiety, pochodzą z prywatnej kolekcji przyjaciela artysty, Feliksa „Mangghi" Jasieńskiego. Jest to zatem inscenizacja tylko na pokaz. Tak samo jak oryginalna fryzura, bo Wanda uczesana została w misterny kok wzorowany na fryzurach z drzeworytów japońskich. Chodzi tu jednak nie o fotograficzną dokładność wystroju i postaci, ale o nastrój i charakter chwili uchwycony przez artystę. Ten początkowo był zafascynowany francuskim impresjonizmem, później związał się z młodszym o rok słynnym francuskim kolorystą Pierre'em Bonnardem, twórcą grupy artystycznej nabistów, którzy uważali, że w sztuce rzeczywistość ulega podwójnej deformacji – subiektywnej i obiektywnej. W kwestii oceny „Japonki" ścierają się więc napięcia między prywatnością a teatralnością.

Dlaczego tak drogo?

Przed obrazem stoją dwa fotele, można wygodnie zasiąść, by kontemplować żywe piękno, zanim zniknie w prywatnych apartamentach nowego właściciela. Poprzednio tę wersję „Japonki" pokazywano publicznie w 2006 r., ale wtedy nie była wystawiona na sprzedaż.

Pytamy Tomasza Dziewickiego, dyrektora Departamentu Sztuki Dawnej DESA Unicum, co sprawia, że „Japonka" otrzymała tak wysoką wycenę. Okazuje się, że jest to związane z kilkoma czynnikami: rozmiarem dzieła, japońską tematyką, kolorystyką, wreszcie historią powstania obrazu i postacią żony malarza, która stała się jego muzą. Obraz od lat 60. jest w kolekcji polskiego malarstwa, a obecnie jego unikatowość nabiera znaczenia, nawet aktualności.

Jedna z pracownic galerii zapytana, czy obraz będzie można wywieźć z Polski, odpowiada, że „raczej nie, bo to skomplikowane. Musiałby wydać zgodę urząd konserwatorski". Wystawienie „Japonki" na aukcję jest zatem nacelowane na polski rynek sztuki.

Szukamy odpowiedzi u badacza tego rynku, który z początku z pewną nonszalancją wyraża się o Józefie Pankiewiczu i obrazie, który ponoć przyjechał z Wiednia. Ekspert mówi, że to malarz na nasz rynek lokalny, bo zagranica szuka dzieł „markowych", np. Bonnarda, a Pankiewicz taki nie jest. Raczej nikt nie kupi „Japonki" za cenę przekraczającą 10 mln zł. „Podzielmy to przez cztery i otrzymamy kwotę w dolarach", radzi badacz.

Ciekawe, że nasz rozmówca już następnego dnia wycofuje swoje słowa i tłumaczy to nieporozumieniem. Chodziło podobno o inny obraz.

Ja nie kupię

Drążymy problem. Odpowiada Ryszard Varisella, w przeszłości wymieniany na liście 100 najbogatszych Polaków, biznesmen, ale także galerzysta, marszand i kolekcjoner. Na aukcjach DESA Unicum często oferowane są dzieła sztuki pochodzące z prywatnej kolekcji Variselli. Biznesmen od razu oświadcza, że nie będzie chciał kupić tego obrazu. Wie, że zapowiadana jest rekordowa transakcja, jednak jako kolekcjoner dokonał pewnej analizy, przeglądał statystyki różnych transakcji i nie zauważył, by prace Józefa Pankiewicza szczególnie wyróżniały się cenami. „Życzę Desie Unicum sukcesu – dodaje – bo nieraz współpracowaliśmy z korzyścią. Choć częściej nawiązuję współpracę z innym domem aukcyjnym, Polswiss Art, ale ze współpracy z Desą byłem i jestem zadowolony".

W sprawie „Japonki" Pankiewicza ścierają się więc różne tendencje. Z jednej strony, stoi jeden z najważniejszych domów aukcyjnych, DESA Unicum, bardzo wpływowa polska firma i niekwestionowany lider rynku sztuki w Europie Środkowo-Wschodniej. Organizuje niemal 250 aukcji rocznie, odpowiadając za lwią część obrotów na rodzimym rynku i plasując Polskę w ścisłej światowej czołówce pod względem wolumenu sprzedaży sztuki współczesnej. Z drugiej strony, wiadomo, że bardziej poszukiwane przez kolekcjonerów są prace „modne", których autorzy dawno zmarli, a przecież u nas jest zakorzeniony kult międzywojnia i tamtejsze style. To dlatego wyodrębniono w Desie Departament Sztuki Dawnej, choć w klasyfikacji akademickiej sztuka dawna obejmuje czasy o wiele wcześniejsze niż XX w. i okres międzywojnia.

„Japonka" może być jednym z najdrożej sprzedanych obrazów w historii polskiego rynku sztuki.

W tej sprawie wypowiada się dyrektor Instytutu Sztuki Uniwersytetu Warszawskiego, dr Mariusz Smoliński, który właśnie specjalizuje się w sztuce dawnej, a nie w Pankiewiczu. Zaliczenie tego malarza do „dawnych twórców" tłumaczy strategią komercyjną domu aukcyjnego. Właśnie względy komercyjne mogą skłaniać do innych ustaleń, co jest sztuką dawną, a co współczesną.

Zapewne dla wielu miłośników sztuki czasy minione, a zwłaszcza okres rodzącej się po zaborach Rzeczypospolitej, wydają się godne zainteresowania, co wiąże się z wyobrażeniem emocjonalnej swobody, a także wzmagającego się erotyzmu, który w ówczesnej sztuce zajął poważne miejsce, np. w literaturze – tu warte uwagi są „Motory" Emila Zegadłowicza – czy w sztukach pięknych. Weźmy „Szał uniesień" Władysława Podkowińskiego, notabene rówieśnika Pankiewicza, który razem z nim wyjechał do Paryża. Legenda związana z obrazem przedstawiającym nagą kobietę na spienionym koniu przebiła jak dotąd wszystkie opowieści z dziedziny wystawiennictwa. Mówiono, że malarz odtrącony przez ukochaną namalował ją w takiej nieprzyzwoitej sytuacji, a ona rozpoznała siebie na płótnie. Wybuchł skandal, Podkowiński oszalał i pociął swój obraz. Było o czym mówić.

Legenda „Japonki", która legalnie rozwiodła się z mężem, adwokatem, a jej córka z pierwszego małżeństwa napisała książkę o swoim ojczymie, nie może się równać z historią „Szału uniesień". Jednak obraz znajdujący się w krakowskich Sukiennicach nie jest na sprzedaż. ■

eprasa.pl ffe8783b81





GRAND PRESS PHOTO

Szymon Muszański, freelancer, „Stado"

Marta Głowiak wiedzie zupełnie inne życie niż to, o jakim marzą współcześnie młodzi ludzie. Bez prostych udogodnień, stałego dostępu do elektryczności, internetu. Marta żyje zgodnie z rytmem, jaki wyznacza natura. I choć to życie nie zawsze jest proste, wypełniają je współczucie, otwartość, wrażliwość oraz cierpliwość dla zwierząt, natury i drugiego człowieka.





eprasa.pl ffe8783b81





2026







eprasa.pl ffe8783b81

MARSZ PO WŁADZĘ

Alternatywa dla Niemiec

Krzysztof Pilawski, Holger Politt

Nacjonalistyczna prawica rośnie w siłę, bo trafnie odczytuje frustracje i lęki wyborców, którzy przestali ufać „starym" partiom.

5 czerwca oficjalny profil FB Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU) opublikował rolkę „AfD – pod całkowitą kontrolą Putina", wymierzoną w Markusa Frohnmaiera, rzecznika ds. polityki zagranicznej klubu parlamentarnego Alternatywy dla Niemiec. Frohnmaier – podobnie jak deputowany Bundestagu Steffen Kotré, deputowany Parlamentu Europejskiego Petr Bystron oraz przewodniczący AfD w Saksonii Jörg Urban – wziął udział w zorganizowanym przez Kreml tzw. rosyjskim Davos, Międzynarodowym Forum Ekonomicznym w Petersburgu. Zignorował przestrogę Ministerstwa Spraw Zagranicznych, że wyjazd na to zgromadzenie będzie niezgodny z polityką zagraniczną i polityką bezpieczeństwa rządu Friedricha Merza.

Władimir Putin komplementuje AfD – partię, w której można znaleźć spadkobierców III Rzeszy.

Rosja kusi

Autor zamieszczonej na Facebooku rolki zarzucił Frohnmaierowi wysługiwanie się Moskwie i brak patriotyzmu. W podobnym duchu wypowiadali się politycy reprezentujący partie czarno-czerwonej koalicji oraz pozostających poza nią Zielonych. Prześcigali się w potępianiu AfD, ich wypowiedzi nagłaśniały największe media – zarówno publiczne, jak i prywatne. Wyłaniał się z nich obraz Alternatywy jako partii, która ogłosiła kapitulację polityczną i klęczy przed Putinem, dąży do przekształcenia Niemiec w bastion Kremla. Sugerowano nawet, że niemieccy politycy w Petersburgu przekażą Rosjanom informacje stanowiące tajemnicę państwową.

Frohnmaier nie przejął się krytyką i oskarżeniami. 6 czerwca na swoim profilu na FB szydził z rolki chadeków: „Droga CDU, to jest właśnie przyczyna, dla której każdego tygodnia tracicie w sondażach. Jesteście tak jednostronnie przykuci do Ukrainy, że już nie dostrzegacie, że Niemcy są zainteresowane tańszą energią z Rosji". Tej treści wpisy można było przeczytać także pod rolką CDU. „AfD prowadzi rozmowy, ale wy potraficie tylko podżegać do nienawiści wobec innych. Zamiast spojrzeć na siebie i zastanowić się, dlaczego ludzie się od was odwracają. Ten stek bzdur staje się żenujący", napisał autor jednego z komentarzy.

Ataki na AfD ze strony obozu rządzącego i tzw. starych partii odnoszą ten sam skutek co krytyka Karola Nawrockiego w czasie wyścigu do Pałacu Prezydenckiego w Polsce.

W ubiegłorocznych wyborach do Bundestagu zwycięska CDU zdobyła 28,5% głosów, AfD niespełna 21%. Obecnie w sondażach partie zamieniły się miejscami, Alternatywa może liczyć na 27-29% głosów, chadecy zaś na 22-25%.

W Petersburgu Frohnmaier kreował się na pragmatycznego rzecznika niemieckich interesów gospodarczych. Powagi dodawała mu obecność na forum – po raz pierwszy od agresji Rosji na Ukrainę – przedsiębiorców z Niemiec. Szef Izby Handlu Zagranicznego Matthias Schepp tłumaczył ją potrzebą ochrony aktywów niemieckich w Rosji, przygotowaniem do wznowienia współpracy po zawarciu rozejmu, niedopuszczeniem do trwałego oddania rosyjskiego rynku i dostępu do rosyjskich surowców państwom azjatyckim (chodzi głównie o Chiny i Indie). W czasie forum Władimir Putin rozmawiał na Kremlu w cztery oczy z byłym przewodniczącym SPD i kanclerzem Niemiec Gerhardem Schröderem, w niedalekiej przeszłości szefem konsorcjum budującego gazociąg pod Bałtykiem.

Frohnmaier mógł się pochwalić rozmową w Petersburgu z głową Gazpromu Aleksiejem Millerem. Podkreślał, że jedną z głównych przyczyn spadku konkurencyjności niemieckiej gospodarki i zwijania się przemysłu są wysokie ceny nośników energii. To trzeba zmienić. „Rosja przez długi czas była podstawowym dostawcą gazu i ropy. Naszym zadaniem jest konsekwentne i bezkompromisowe stawianie na pierwszym miejscu interesów narodowych Niemiec", cytowała polityka Alternatywy służba prasowa Gazpromu. Tematem rozmowy miały być m.in. perspektywy ponownego uruchomienia gazociągu Nord Stream. Po powrocie do Niemiec Frohnmaier ujawnił: „Miller obiecał mi, że jeśli będziemy chcieli, gaz z Rosji może być ponownie dostarczany rurociągiem w ciągu trzech miesięcy".

Trump tak, Ameryka niekoniecznie

Obecny na forum w Petersburgu Steffen Kotré, rzecznik ds. polityki energetycznej klubu parlamentarnego AfD, w maju prowadził w Berlinie międzynarodową debatę poświęconą zniszczeniu we wrześniu 2022 r. trzech z czterech nitek gazociągu Nord Stream 1

eprasa.pl ffe8783b81



Ulrich Siegmund podczas prezentacji kampanii wyborczej AfD w Saksonii-Anhalt, 4 czerwca 2026 r.

i Nord Stream 2. Organizatorzy dyskusji pisali, że „tło tego ataku pozostaje niejasne. Zamiast transparentności dominują powściągliwość i polityczne unikanie tematu. Liczne pytania pozostają bez odpowiedzi. Kto dysponował potencjałem technicznym i wiedzą wojskową? Kto odniósł korzyści polityczne i ekonomiczne ze zniszczenia gazociągów? (…) Chociaż niemiecki rząd i media głównego nurtu unikają ujawnienia osób rzekomo odpowiedzialnych, różne doniesienia i analizy sugerują możliwy udział ukraińskich aktorów – w tym z kręgów rządowych – a także domniemaną zgodę ze strony USA".

Władimir Putin, który – jak sam twierdzi – przeprowadza denazyfikację Ukrainy, komplementuje AfD – partię, w której można znaleźć spadkobierców III Rzeszy. Skazany za użycie nazistowskiego sloganu „Alles für Deutschland!" (Wszystko dla Niemiec!) Björn Höcke od lat przewodzi Alternatywie w Turyngii – w wyborach do Landtagu, parlamentu kraju związkowego, w 2024 r. poparł ją co trzeci głosujący. Maximilian Krah – autor wypowiedzi, że nie każdy członek SS był przestępcą – zasiada w Bundestagu.

Choć Alternatywa jest wspierana przez administrację prezydenta Donalda Trumpa i podobnie jak ruch MAGA reprezentuje nurt narodowego egoizmu – Niemcy są najważniejsze, uczyńmy je znowu wielkimi – nie do końca można ją nazwać partią proamerykańską. Domagając się ponownego uruchomienia gazociągu pod Bałtykiem, AfD nie ukrywa, że chce zastąpić drogi i ponoć brudny gaz amerykański czystym i tanim surowcem z Rosji.

W opublikowanym w czerwcu podcaście szwajcarskiego tygodnika „Weltwoche" Björn Höcke zarzucił rządowi w Berlinie zależność od Waszyngtonu, mieszkańców zachodnich Niemiec oskarżył zaś o uleganie amerykańskiej kulturze – pod jej wpływem mieli się stać mówiącymi po niemiecku Amerykanami. Prawdziwi Niemcy są zdaniem Höckego na wschodzie, czyli na obszarze dawnej NRD. Autor tych słów urodził się i spędził większość życia w zachodniej części kraju.

Domagając się uruchomienia gazociągu pod Bałtykiem, AfD nie ukrywa, że chce zastąpić gaz amerykański czystym i tanim surowcem z Rosji.

Słowiański spór domowy

Zdania na temat obecności w Niemczech wojsk amerykańskich są w AfD podzielone. Wspólne za to jest przekonanie, że bezpieczeństwo Niemiec zagwarantują nie obce wojska, lecz silna, samodzielna narodowa armia. Tylko ona może obronić kraj w sytuacji bezpośredniego zagrożenia. Jednak do wojny nie dojdzie, gdyż zapobiegnie jej AfD, partia pokoju. Politycy Alternatywy powtarzają, że nie popierają agresji Rosji na Ukrainę i nie opowiadają się po żadnej z walczących stron. Dlatego są przeciwni dostarczaniu Kijowowi broni. To działania obecnego rządu wciągają kraj do wojny z Rosją, której Niemcy nie chcą i której się boją.

Ten strach rzeczywiście czuć w niemieckim społeczeństwie. Bliska sporej jego części jest postawa Alternatywy wobec konfliktu rosyjsko-ukraińskiego: nie powinniśmy się do niego wtrącać, my niewiele z niego rozumiemy, to jest spór wewnętrzny, połowa Ukraińców mówi po rosyjsku. Mimo woli nasuwają się słowa z wiersza Puszkina z okresu powstania listopadowego: „Czemuż ludowi mówcy, czemu / klnie Rosję wasz namiętny chór? / Co was wzburzyło? Litwy wrzenie? / Zostawcie! To słowiański spór, domowe, stare poważnienie / (…) Kto z nas zwycięży w tym nierównym sporze / czy hardy Lach, czy wierny Ross? / Rzeki słowiańskie wpadną w ruskie morze, / czy ono wyschnie – to rozsądzi los. / Zostawcie nas. Wszak wy nie znacie / tych krwią ociekających stron". Podobne apele, choć prozą, wielokrotnie kierował w stronę Zachodu Władimir Putin.

Rosja w świadomości Niemców jest obecna od wieków, Ukraina jako odrębne państwo tak naprawdę

eprasa.pl ffe8783b81

zaistniała w niej dopiero po aneksji Krymu.

Euroidioci z Brukseli

Hasło populistycznej prawicy: „Nie chcemy ratować całego świata" odnosi się nie tylko do polityki klimatycznej, ale do wszelkiej polityki wspólnotowej. Donald Trump i Władimir Putin szczególnie cenią AfD za chęć rozsadzenia Unii Europejskiej, wszak byłoby im łatwiej skłonić do ustępstw suwerenne z nazwy państwa.

W Polsce populistyczna prawica utożsamia Brukselę z Berlinem: Unia realizuje niemieckie interesy, dlatego Polska pod rządami Tuska znajduje się pod niemieckim butem. AfD z kolei jest przekonana, że interesy Berlina są sprzeczne z interesami Brukseli. Zgodnie z jej przekazem Unia Europejska to źródło wielkiego niemieckiego cierpienia. Polityka klimatyczna w połączeniu z sankcjami nałożonymi na Rosję krępuje przedsiębiorczość, zabija gospodarkę, zwłaszcza wielką dumę Niemiec – przemysł motoryzacyjny, likwiduje dobre miejsca pracy, skłania przedsiębiorców do przenoszenia biznesów do innych krajów, a wykwalifikowanych fachowców do opuszczenia Niemiec. UE dyktuje Niemcom, jakimi samochodami mają jeździć, a nawet z jakich butelek pić – sprawa nakrętek przytwierdzonych do plastikowych butelek okazała się niebłahym tematem pełnej emocji debaty publicznej, dostarczyła AfD argumentów o siedzących w Brukseli zidiociałych eurobiurokratach.



Nacjonalistyczna prawica rośnie w siłę, bo trafnie odczytuje frustracje wyborców.

Na podatny grunt trafia pogląd Alternatywy, że Niemcy są największym sponsorem Unii, finansują rozwój innych państw, ale w zamian nie dostają nic. Dalsze rozszerzenie UE jeszcze bardziej obciążyłoby niemiecki budżet, dlatego partia jest przeciwna przyjmowaniu nowych członków. Taki pogląd podzielają nie tylko zwolennicy AfD.

Obecny rząd, podobnie jak poprzednie, traktuje Niemcy jako państwo zespolone z Unią Europejską. AfD takiego związku nie widzi: z jednej strony są Niemcy, z drugiej zaś cały świat zewnętrzny. W tej wizji nie ma miejsca dla UE. Alternatywa, choć nie używa hasła dexitu, nie wiąże przyszłości Niemiec z Unią.

Markus Frohnmaier: „Miller obiecał mi, że jeśli będziemy chcieli, gaz z Rosji może być ponownie dostarczany rurociągiem w ciągu trzech miesięcy".

Eurosceptycyzm jest główną nicią łączącą dawną Alternatywę z obecną. Partia powstała w 2013 r. Najważniejszym postulatem twórców AfD – wywodzili się oni z liberalnych zachodnioniemieckich kręgów akademickich i eksperckich – było wyjście Niemiec ze strefy euro i przywrócenie marki jako waluty narodowej. Ten postulat pozostaje aktualny.

Paliwo migracyjne

AfD urosła na kolejnym kryzysie migracyjnym, który nastąpił po kryzysie strefy euro. Przeciwstawiła się tzw. polityce powitalnej Angeli Merkel, nie uwierzyła w jej zapewnienie „Wir schaffen das" (Poradzimy sobie). Stało się inaczej – następcy pani kanclerz wprowadzili utrzymywaną do tej pory kontrolę granic. Od początku domagała się jej AfD, która wielką wędrówkę migrantów wpisała w podszytą antysemityzmem teorię tzw. wielkiej podmiany. Zgodnie z nią migracja jest dziełem wrogich sił dążących do zastąpienia białych europejskich chrześcijan obcymi – głównie muzułmanami z Afryki i Bliskiego Wschodu. O wymianie ludności w Niemczech mówił jeden z byłych szefów partii Alexander Gauland, pisał o niej jako formie ludobójstwa Björn Höcke.

Pandemia COVID-19 sprzyjała rozpowszechnieniu wiary w teorie spiskowe. AfD okazała się jej największym beneficjentem politycznym.

Jak pokazują sondaże, migranci – główny temat debaty w czasie ubiegłorocznej kampanii wyborczej – pozostają jedną z najważniejszych kwestii dla Niemców. AfD, idąc za nastrojami wyborców, podsyca emocje. W czerwcu facebookowy profil Alternatywy – a ma ona przeszło dwa i pół razy więcej obserwujących niż chadecy – alarmował: „Gangi migrantów atakują niemieckie dziewczęta! W dużych niemieckich miastach, takich jak Berlin i Hamburg, przemoc seksualna wobec kobiet i dziewcząt stosowana

FOT. DPA/AFP/EAST NEWS, REUTERS/FORUM

eprasa.pl ffe8783b81

przez gangi migrantów od dawna jest smutną rzeczywistością. (…) Te incydenty po raz kolejny pokazują ogromną rozbieżność między wielkimi obietnicami rządu Merza dotyczącymi »zwrotu w polityce migracyjnej« a rzeczywistością na ulicach i placach Niemiec".

Obecny na forum w Petersburgu Markus Frohnmaier kierował w przeszłości rozwiązaną m.in. z powodu głoszenia haseł rasistowskich młodzieżówką AfD, Młodą Alternatywą dla Niemiec. On sam nie jest Aryjczykiem, nie ma „dziadka z Wehrmachtu". Urodził się w 1991 r. w Rumunii, biologiczni rodzice oddali go do miejscowego domu dziecka. Adoptowany przez niemiecką parę trafił do RFN, tu zdobył wykształcenie i mocno zaangażował się w działalność polityczną. W życiu osobistym zignorował kwestie rasowe. W kwietniu 2015 r. uczestniczył w zorganizowanym przez Kreml forum ekonomicznym na zaanektowanym Krymie, poznał tu piszącą dla „Izwiestii" studentkę dziennikarstwa z Moskwy Darię Coj, obywatelkę Rosji, w której żyłach płynie krew koreańska, czyli azjatycka. Pobrali się, mają dwójkę dzieci. Te fakty nie zaszkodziły jego partyjnej karierze.

Obecnie jest nie tylko rzecznikiem klubu parlamentarnego AfD ds. polityki zagranicznej, ale i jego wiceprzewodniczącym. Od 2022 r. przewodniczy AfD w przeszło 11-milionowej Badenii-Wirtembergii. W marcowych wyborach do Landtagu jego partia ustąpiła co prawda wyraźnie Zielonym i CDU, za to wyprzedziła SPD i FDP, z którymi przegrała w 2021 r., i poprawiła wynik z poprzednich wyborów o ponad 9%. Żadna inna partia nie mogła się pochwalić takim postępem.

Sieg jak zwycięstwo

6 września ma szansę przejść do historii Niemiec. Tego dnia w Saksonii-Anhalt odbędą się wybory do Landtagu, po których po raz pierwszy władzę w kraju związkowym może przejąć AfD. Kandydatem Alternatywy na premiera jest 35-letni Ulrich Siegmund. Przy jego nazwisku słowo zwycięstwo samo ciśnie się na usta: Sieg po niemiecku oznacza zwycięstwo, Mund – usta.

Okrzyk „Sieg!" wciąż kojarzy się z brunatną przeszłością. Stąd poruszenie wywołane sytuacją na wiecach AfD, gdy moderator przedstawiał kandydata, wołając: „Sieg!", zgromadzeni zaś odpowiadali: „Mund!". Poproszony o komentarz polityk zapytał zdziwiony: „Czy coś jest nie tak z moim nazwiskiem?".

Przewodniczącego Centralnej Rady Żydów w Niemczech Josefa Schustera niepokoi zarówno forma powitania Siegmunda, jak i fakt zdystansowania się w wywiadzie, którego kandydat AfD udzielił portalowi Politico, od opinii, że epoka nazistowska była najgorszą rzeczą w historii ludzkości. Zdaniem Schustera ten szczupły, młody polityk o sympatycznym wyglądzie i miłym uśmiechu, świetnie prezentujący się w mediach społecznościowych – 650 tys. obserwujących na TikToku – nie jest alternatywą, lecz zagrożeniem dla otwartego społeczeństwa i demokracji. Obawę budzi jego zamiar wywrócenia Niemiec „do góry nogami", wygnania migrantów, „powrotu do starych, dobrych czasów", ograniczenia finansowania „lewicowych ekstremistów" oraz wycieczek do miejsc pamięci ofiar nazizmu.

Na podatny grunt trafia pogląd AfD, że Niemcy są największym sponsorem UE, ale w zamian nie dostają nic.

AfD w Saksonii-Anhalt ma ponad 40% poparcia. Celem Siegmunda jest zdobycie większości mandatów w Landtagu. Nie myśli o koalicji, bo „stare" partie są podobne: skompromitowane rządzeniem, niewiarygodne, niezdolne do dokonania zmiany w interesie Niemiec. Może to zrobić jedynie AfD. „Od Saksonii-Anhalt krok po kroku zmieniamy mapę polityczną Niemiec", zapowiada Siegmund. Marsz AfD po władzę ma się zakończyć najpóźniej w 2029 r. Wtedy upływa obecna kadencja Bundestagu.

Krzysztof Pilawski, Holger Politt



eprasa.pl ffe8783b81

NIEZNOŚNY CIEŃ SĄSIADA

Meksyk walczy z Donaldem Trumpem



Prezydent Claudia Sheinbaum zapowiada wypuszczenie na rynek w 2027 r. Olinii, wyprodukowanego całkowicie w Meksyku miejskiego samochodu elektrycznego.

Mateusz Mazzini

13 miesięcy temu prezydent Claudia Sheinbaum była na ustach przynajmniej połowy światowego ruchu progresywnego, gdy publicznie sprzeciwiła się neoimperialnej polityce amerykańskiej administracji wobec Ameryki Łacińskiej. Kiedy Trump wracał do Białego Domu, zarówno jego deklaracje w mediach społecznościowych, jak i nominacje na najważniejsze stanowiska w rządzie jasno wskazywały na zmianę priorytetów w polityce zagranicznej. Oko Wuja Sama po wielu dekadach ponownie zwracało się na południe, w kierunku latynoskich sąsiadów. Potem dopisano do tego formalną ideologię, skodyfikowaną w pełnej sprzeczności strategii bezpieczeństwa narodowego. Jednak już powołanie na szefa amerykańskiej dyplomacji potomka kubańskich emigrantów, a na jego zastępcę byłego ambasadora w Meksyku, lubującego się w robieniu zdjęć na tle figur Matki Boskiej, pokazywało, że ta kadencja będzie inna.

Trump miał ambicje i życzenia wobec Ameryki Łacińskiej. Dzisiaj wiemy, że nie zawaha się też użyć zasobów finansowych, militarnych i politycznych, żeby je zrealizować.

Jak się dogadać

Prezydent Meksyku, jedna z ostatnich przedstawicielek lewicowego populizmu na kontynencie, szybko na to zareagowała. Wsławiła się stwierdzeniem, że jeśli Trump chce wznieść mur wzdłuż liczącej 3145 km granicy z Meksykiem, może to zrobić. Tyle że po jednej stronie muru będzie miał 340 mln ludzi, a po drugiej 7,5 mld, w większości nastawionych do niego nieprzychylnie. Sheinbaum ostro negocjowała z nim w sprawie ceł i ewentualnej współpracy – a przynajmniej niewchodzenia sobie w drogę – przy neutralizowaniu karteli narkotykowych. Do tego stopnia, że sam amerykański przywódca nazwał ją „twardą". I chociaż ponad rok później ta retoryka utrzymuje się w Mexico City, nierzadko przechodząc w działania prawne, Claudia Sheinbaum wie, że przynajmniej w niektórych dziedzinach będzie musiała z Amerykanami się dogadać.

Prezydentce na pewno nie można odmówić kreatywności, werwy legislacyjnej ani odwagi. Jednym z bardziej brawurowych kroków na całym kontynencie była niedawna zapowiedź wypuszczenia na rynek w 2027 r. Olinii, kosztującego docelowo zaledwie 10 tys. dol. i wyprodukowanego całkowicie w Meksyku miejskiego samochodu elektrycznego. Olinia ma powstawać od pierwszej do ostatniej części w kraju i być

FOT. EYEPIX/NURPHOTO/NURPHOTO/AFP/ EAST NEWS

eprasa.pl ffe8783b81

przeznaczona przede wszystkim dla kierowców z dużych miast, z klasy średniej i niższych części społeczeństwa – słowem tych, którzy najbardziej tracą na gigantycznych korkach w meksykańskich metropoliach. Czy linię produkcyjną uda się uruchomić na tyle szybko, by auto pojawiło się na drogach już za rok, czas pokaże, portale gospodarcze, z Bloombergiem na czele, są sceptyczne.

Jednocześnie Jeremy Dicker z portalu dyplomatycznego International Intrigue jest zdania, że to niegłupia operacja polityczna, dzięki której pani prezydent może wiele zyskać. Co? Przyśpieszenie zielonej transformacji energetycznej, zwiększenie niezależności przemysłowej od producentów z innych krajów, no i zbicie kapitału na dumie narodowej z faktu, że Meksyk, kraj ogromny i ludny, będzie miał swój masowy produkt konsumencki w XXI w.

Na niwie prawnej Sheinbaum też nie zwalnia, korzystając z silnego mandatu w scentralizowanym systemie prezydenckim. Jej partia, Morena, ma większość w parlamencie, co ułatwia rządzenie, a nawet zmiany ustrojowe. Niedawno zresztą prezydentka, rękami partyjnych współpracowników, przeforsowała poprawkę do konstytucji zezwalającą na unieważnienie wyborów na dowolnym szczeblu państwa – a więc również głosowania federalnego czy wyboru prezydenta – z powodu stwierdzonego „obcego zaangażowania", ingerencji państw trzecich w proces wyborczy.

Polityczka swoich czasów

To oczywisty cios wymierzony w Stany Zjednoczone, ale w dużym stopniu zrozumiały, bo Amerykanie bardzo chcieliby meblować meksykańską rzeczywistość polityczną. „The Guardian" pisze nawet, że zmiana ustawy zasadniczej to odpowiedź na decyzję amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości z 30 kwietnia. Waszyngton zdecydował się wówczas postawić zarzuty handlu narkotykami i przemytu ludzi gubernatorowi stanu Sinaloa i dziewięciu innym urzędnikom lokalnej administracji. Wszyscy mają mandat demokratyczny, zostali wyłonieni w wyborach powszechnych. Claudia Sheinbaum uznała zarzuty za chęć pozbycia się ich przez stronę amerykańską. Upiera się też, że administracja Trumpa używa walki z narkotykami jako pretekstu do wtrącania się w meksykańską politykę. Dlatego ta poprawka do konstytucji to polisa ubezpieczeniowa – dla niej samej, ludzi z jej partii lub kogokolwiek, kto w Meksyku zdecyduje się uprawiać politykę niekoniecznie zgodną z linią ideologiczną aktualnego lokatora Białego Domu.

Rzut oka na sytuację sondażową każe wnioskować, że taki popis suwerenności pani prezydent Meksykanom się podoba. W trzech dużych badaniach opinii publicznej przeprowadzonych w maju odsetek wyborców pozytywnie oceniających jej pracę wahał się od 52% do aż 69%.

Przez ostatnią dekadę kartele urosły w siłę i zaczęły współpracować z organizacjami terrorystycznymi.

W każdym przypadku jednak przekraczał psychologiczną granicę połowy respondentów, co jest wynikiem, o jakim zdecydowana większość prezydentów innych dużych krajów na świecie mogłaby pomarzyć. Natomiast jeśli przyjrzeć się dokładnie rozkładowi jej poparcia, widać, że jest ono nierówne.

Jak wynika z analizy Council of the Americas, niezależnej organizacji zajmującej się badaniem latynoamerykańskiej polityki, najlepiej o Sheinbaum wypowiadają się ci, którzy są beneficjentami jej polityki gospodarczej i redystrybucyjnej. Im wyższe wykształcenie i zarobki, tym opinia o prezydentce staje się gorsza. Do tego stopnia, że w grupie wyborców z wyższym wykształceniem dobrze ocenia ją ledwie jedna piąta respondentów. Ci z wykształceniem podstawowym chwalą ją prawie w czterech przypadkach na pięć.

Co ciekawe, głębiej w meksykańskim społeczeństwie zachodzą zmiany typowe dla współczesnego momentu demokratycznego. Wysokie uznanie dla działań Sheinbaum nie przekłada się bowiem na poparcie dla partii Morena, z której polityczka się wywodzi. Wprawdzie – znów zaglądając do badań sondażowych przygotowanych przez Council of the Americas – można stwierdzić, że Morena radzi sobie najlepiej ze wszystkich ugrupowań na scenie politycznej, ale nie oznacza to, że Meksykanie chcieliby utrzymać ją przy władzy. Z jednej strony, konkurencja niemal nie istnieje: partię rządzącą popiera 39%, co przy wynikach pozostałych formacji (5% dla lewicowo-nacjonalistycznej PRI oraz 4% dla konserwatywnego PAN) daje druzgocącą przewagę. Z drugiej – więcej, bo aż 41% respondentów, chciałoby oddania kraju w ręce kandydatów niezależnych.

Trudno więc oprzeć się wrażeniu, że Claudia Sheinbaum jest polityczką typową dla swoich czasów. Urząd przyszło jej sprawować w momencie, gdy geopolityka stała się silnie spersonalizowana, a relacje międzypaństwowe zależne od osobistych kontaktów przywódców. Ktoś taki jak ona, charyzmatyczny, odważny i dobrze komunikujący się w erze rzeczywistości algorytmicznej, na sprawnej polityce zagranicznej korzysta. Ale dyplomacją wyborów się nie wygrywa, kiedy przychodzi do spraw krajowych, popularna pani prezydent może liczyć wyłącznie na elektorat osobisty. Dla niej na razie to korzystne, bo umacnia się w roli głowy państwa. Problem w tym, że ewidentnie robi to kosztem własnego ugrupowania, którego przecież potrzebuje, żeby skutecznie rządzić krajem. Dlatego Claudia Sheinbaum zaczyna własnym sukcesem zabijać szanse na przetrwanie formacji, która ten sukces w dużej mierze jej zapewniła.

We wszystkim, co robi, nie brakuje wyczucia, ale też odrobiny gwiazdorstwa. Przy każdej okazji stara się zagrać na nosie Amerykanom. Najlepiej w taki sposób, żeby Trump tego

eprasa.pl ffe8783b81

nie zauważył, a poważniejsi członkowie jego administracji nie uznali ruchów Meksykanki za wymagające odwetu. Tak było w ostatnich tygodniach z głośnym, ale w gruncie rzeczy niepotrzebnym oświadczeniem na temat piłkarskiej reprezentacji Iranu.

Meksyk wspólnie z USA i Kanadą gości drużyny uczestniczące w największym w historii (rozszerzonym do 64 drużyn) mundialu. Iran, jedna z tradycyjnie najsilniejszych ekip piłkarskich w Azji, na turniej się zakwalifikował, ale w obliczu trwającej wojny w Zatoce Perskiej nie było wiadomo, czy tamtejsza federacja zdecyduje się w ogóle wysłać drużynę za ocean. Ostatecznie Iran na turnieju występuje, ale w ostatniej chwili przeniósł bazę treningową właśnie do meksykańskiej Tijuany. Meksyk nie jest w stanie wojny z Islamską Republiką, nigdy Teheranowi nie groził, sprawa nie musiała więc stać się polityczna. Sheinbaum jednak poczuła się zobligowana powiedzieć publicznie, że „nie ma żadnych problemów" z goszczeniem irańskich piłkarzy. To klasyczny przykład polityki w erze algorytmów. Nikt nie pytał, ale skoro można się wypowiedzieć na temat nośny w sieci, szkoda marnować szansę.

Kartele kwitną

Nic z wymienionych rzeczy nie przykrywa jednak kwestii najważniejszej dla całej meksykańskiej polityki i być może egzystencjalnej dla państwa, czyli przestępczości zorganizowanej. Sheinbaum szła bowiem po władzę w 2024 r. z postulatem reformy służb mundurowych i wymiaru sprawiedliwości, a także radykalnego zmniejszenia liczby femicidios – aktów przemocy wobec kobiet, prawdziwej epidemii tamtejszego społeczeństwa.

To ostatnie zjawisko rzeczywiście zostało ograniczone, choć nie przestało być dużym problemem. Według danych badaczy z Universidad de Navarra w 2025 r., czyli w pierwszym pełnym 12-miesięcznym cyklu z Sheinbaum jako głową państwa, w Meksyku notowano średnio 54 zabójstwa kobiet w miesiącu (mowa o morderstwach, w których płeć ofiary wskazywano jako główny motyw). To znacznie mniej niż statystyki z czasów jej poprzednika i politycznego mentora Andrésa Manuela Lópeza Obradora. Za jego sześcioletniej kadencji przemoc wobec kobiet eksplodowała. Z rąk gangsterów, mężów, kochanków czy członków rodzin ginęło nawet po 120 kobiet w miesiącu.

Kiedyś trzeba będzie wybrać: czy się z Trumpem współpracuje, czy go atakuje.

Meksyk jednak zna i pamięta lepsze czasy, bo zanim władzę przejęli politycy Moreny, krajem rządzili ludzie o bardziej konserwatywnym światopoglądzie, co przekładało się na większą militaryzację przestrzeni publicznej i ostrzejsze podejście do gangów – kobiet wówczas ginęło o połowę mniej niż pod rządami obecnej prezydent.

Przez ostatnią dekadę kartele urosły w siłę. Zdywersyfikowały źródła przychodu, zaczęły współpracować z organizacjami terrorystycznymi, takimi jak ISIS, Al-Kaida czy Hezbollah, sprofesjonalizowały się do tego stopnia, że działają jak technokratyczne globalne korporacje. Nie wiadomo w ogóle, czy da się je jeszcze pokonać albo oddzielić od funkcjonowania państwa. Faktem jest, że to z Meksyku trafia do USA najwięcej narkotyków syntetycznych, opioidów powodujących dziesiątki tysięcy zgonów rocznie. Trump najchętniej rozwiązałby ten problem siłą, i to własną. Już w pierwszej kadencji miał podobno pytać doradców, czy strzelanie rakietami Patriot w kierunku meksykańskich laboratoriów produkujących fentanyl polepszyłoby sytuację.

Teraz wiadomo, że prowadzi działania ofensywne. Już w marcu zeszłego roku Natasha Bertrand z CNN poinformowała, że CIA znacznie zwiększyła częstotliwość lotów patrolowych dronami nad meksykańskimi miastami wzdłuż granicy z USA. Potem, już w 2026 r., doszło do serii brawurowych aresztowań liderów karteli, głównie Jalisco Nueva Generación i Sinaloa. Wielu z nich następnie odesłano do Stanów Zjednoczonych. Niejednokrotnie aresztowania te wywoływały zamieszki i brutalne kontry ze strony kryminalistów, ale Claudia Sheinbaum wychodziła z tego obronną ręką.

Problem w tym, że szczegóły tych operacji, ich zakres, zdolność śledzenia podejrzanych również przy użyciu sztucznej inteligencji i nowych technologii wskazują jednoznacznie na współudział strony amerykańskiej. Pani prezydent konsekwentnie temu zaprzecza, bo zadałoby to kłam jej konfrontacyjnej wobec Trumpa postawie. Pytanie, jak długo może piec dwie pieczenie na jednym ogniu, pozostaje otwarte. W nieskończoność nie da się tak funkcjonować. Kiedyś trzeba będzie wybrać: czy się z Trumpem współpracuje, czy go atakuje. I to ten moment będzie decydujący dla oceny jej prezydentury.

Mateusz Mazzini

Sprostowanie

Felieton Tomasza Jastruna „Czy zostaje tylko przemoc?" opublikowany w tygodniku „Przegląd" nr 20 z 11 V 2026 r. zawiera nieprawdziwą informację, że decyzja o niewydaniu przez Państwowy Instytut Wydawniczy jego tomu poetyckiego była spowodowana poglądami politycznymi autora.

Tymczasem powodem decyzji były słowa Jastruna: „Z autorami »Gazety Polskiej«, podobnie jak z jej czytelnikami, już nie można dyskutować, nie ma płaszczyzny do polemiki, zostaje tylko mordobicie lub mord po prostu" nawołujące do przemocy wobec osób o odmiennym światopoglądzie, a więc sprzeczne z misją państwowej instytucji kultury.

W imieniu Państwowego Instytutu Wydawniczego
dyrektor dr Łukasz Michalski

Odpowiedź Tomasza Jastruna w następnym numerze.

eprasa.pl ffe8783b81



Oko w oko Tomasz Jastrun

Nieznośna lekkość uogólniania

Przepisuję swoje dzienniki, pod datą 31 stycznia 1978 r. zanotowałem: „Dzisiaj Daniel ukończył trzy lata. Przyszły znajome dzieci. Daniel dzielnie zdmuchnął trzy świeczki wetknięte w tort. Kilka dni temu oddałem korektę tomiku wierszy »Bez usprawiedliwienia«. Dzisiaj byłem w PiW-ie w sprawie cenzury. Jak na razie usunięto jeden wiersz »Dłużnicy«, zaczynający się od słów: »O tylu rzeczach zabroniono pisać«". A teraz proszę, PIW kierowany przez Łukasza Michalskiego stosuje bardziej drastyczne formy cenzury.

•

Cała ta bardzo niefortunna, bardzo nieszczęśliwa decyzja Zełenskiego, by pozwolić nazwać jednostkę ukraińską imieniem UPA, nie była jego inicjatywą, tylko żołnierzy. Ale to on zrobił głupstwo, że na to pozwolił. W ukraińskim parlamencie nie ma jednak chyba partii nacjonalistycznej, prezydent ma żydowskie pochodzenie, więc u nas nie mógłby piastować tej funkcji, a u nich może. Ukraińcy mają inną pamięć historyczną niż my, czego my nie rozumiemy, oni też tego nie rozumieją. Pamięć mają krótszą, nie mniej dramatyczną, teraz niesioną na fali wojennych emocji. 3 mln Ukraińców Stalin zagłodził na śmierć. Miliony zginęły na frontach. Dla nich Bandera to ten, co walczył z Sowietami, dla nas to zbrodniarz. Ale mamy przecież „dzisiaj" i dzisiaj żołnierze tej jednostki giną i będą ginąć także za nas.

Im więcej zła i nienawiści w Polsce, im głupiej, tym dla prawicy lepiej.

Sprawa Bandery napędza polski nacjonalizm, budowany pracowicie przez PiS, Konfederację i Nawrockiego. Tak, Ukraińcy powinni się „wycofać z Bandery", ale pomysł Nawrockiego, by odebrać Order Orła Białego Zełenskiemu, to podła głupota. Inna sprawa, że jeśli ten order dostał Wildstein czy świr Macierewicz, gdy rządziła prawica, to nie ma on większego znaczenia. Cała sprawa jest karmieniem tego, co w Polakach złe i głupie.

Awantura „ukraińska" w Sejmie. Sugestie, by sprawdzić w rządzie, kto ma ukraińskie pochodzenie. „Jesteście pasożytami, jesteście zdrajcami narodu polskiego!", woła do rządzących z mównicy sejmowej prawicowy kandydat na premiera Przemysław Czarnek. W 2026 r. zaśmierdziało nagle w polskim Sejmie faszyzmem. Konfederacja już oficjalnie głosi, że nie powinniśmy pomagać Ukrainie. Chcą, by nasza granica z Rosją miała 800 km. Straszenie, budzenie złych emocji i nienawiści to taktyka naszej prawicy, to ma być paliwo na wybory parlamentarne. Im więcej zła i nienawiści w Polsce, im głupiej, tym dla nich lepiej.

•

Z coraz większym niepokojem patrzę na to, co robi Tusk i czego nie robi. To wygląda równie niepokojąco jak rok przed pierwszą przegraną z PiS. Jakiś czas temu Tusk mianował nowego rzecznika prasowego, zapowiadał, że to zawodnik wagi ciężkiej. Rzecznikiem został Adam Szłapka, jak z żurnala, kulturalny, dosyć sprawny, ale waga średnia. Tusk powołał „dziesiątkę na wybory". Mają przygotować kampanię wyborczą. Znalazło się tam wielu już zgranych polityków KO. Można się obawiać, że będzie to grono równie skuteczne jak to, które odpowiadało za kampanię prezydencką Rafała Trzaskowskiego. Tu zresztą był błąd u samego zarania, to nie Trzaskowski powinien być kandydatem strony liberalnej w wyborach prezydenckich. Trzaskowski, którego pamiętam jako siedmiolatka, którego lubię i cenię, był zbyt inteligencki, zbyt gładki, za szybko i za monotonnie mówił. Nie doszkolono go. Bo nie postawiono diagnozy, co mu dolega. I ciągle ten sam problem, brakuje wizji przyszłości, baśni, opowieści, są jakieś próby, ale brakuje w KO zdolnego baśniopisarza. Sytuacja jest teraz tak poważna, tak trudna, że nie ma miejsca na błędy, na jako tako, może być i jakoś to będzie. To nie wystarczy.

•

Na przykładzie swoich synków – młodszy Franek ma 15 lat – obserwuję, jak działa mechanizm zatruwania umysłów młodych przez media społecznościowe. Płynie tam ściek, tysiące urywkowych, emocjonalnych przekazów. Jakieś głupstwo nagle upowszechnia się i w ramach reakcji łańcuchowej nabiera wielkiej wagi, powielane setki tysięcy razy. Oto jakiś Ukrainiec złowił w gocławskim jeziorku w Warszawie olbrzymiego suma, 170 cm, okaz był miejscową legendą. Wędkarz nie bez trudu wpakował go do bagażnika i powiózł. Media krzyczą. Franek gromi teraz za to Ukraińców, wszystkich Ukraińców. Ten sum, i tak niezwykle duży, urósł zaś do gigantycznych rozmiarów. Ukraińcy mordują polskie zabytkowe sumy. Ukraińca za karę od razu deportowano. W Londynie Hindus zabił studenta polskiego pochodzenia. Do tego zachował się perfidnie, okłamał policję, że to on był ofiarą rasistowskiego ataku. Więc wszyscy kolorowi imigranci to mordercy i podli kłamcy. Kwitnie nieznośna lekkość uogólniania. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ffe8783b81

Polska w czasie Wielkiego Kryzysu

Często pierwsi do zwolnienia byli ludzie najbardziej kosztowni dla pracodawców

Rozmawia Paweł Dybicz

Czy doświadczenie Wielkiego Kryzysu z początku lat 30. odcisnęło się, obok traumy czasów okupacji, na postawach Polaków po wojnie, przyczyniając się do akceptacji zmiany ustrojowej?

– Na pewno. I da się to wyczytać choćby z pamiętników wysyłanych na konkursy organizowane niedługo po wojnie. Szczególnie ze wspomnień pisanych przez chłopów. Nawet jeżeli Wielki Kryzys nie jest przywoływany wprost, to stanowi tło, punkt odniesienia dla zmian zachodzących po wojnie, np. w dziedzinie usług społecznych. Doświadczenia lat kryzysu miały istotny wpływ na wybory polityczne znacznej części społeczeństwa. Pamiętając o tym, można w głębszy sposób zrozumieć dylematy tamtych czasów i tym samym wykroczyć poza czarno-biały, komiksowy obraz pierwszych lat powojennych.

Trzeba też dodać, że wiele wprowadzanych wówczas zmian szło w kierunku tego, co głoszono w programach i deklaracjach partii politycznych skupionych w obozie londyńskim. Odrzucenie paradygmatu wolnorynkowego i idea jakiegoś rodzaju gospodarki planowej były wówczas powszechne, a źródła miało to właśnie w latach Wielkiego Kryzysu.

Jak nasz kryzys jawi się w porównaniu ze światowym?

– Kryzys był globalny i poszczególne państwa przechodziły go na różne sposoby. Gdyby jednak popatrzeć na wskaźniki ekonomiczne, to wydaje się, że Polska była jednym z tych państw, które najsilniej go doświadczały, w skali porównywalnej z wielkimi państwami przemysłowymi, takimi jak Niemcy czy USA. Polska, mimo że była krajem w dużej mierze rolniczym, doświadczała zarówno potężnego kryzysu agrarnego, spowodowanego spadkiem cen żywności, jak i kryzysu przemysłowego o intensywności porównywalnej z państwami wysoko uprzemysłowionymi.



Dr KAMIL PISKAŁA
– adiunkt w Katedrze Historii Polski Najnowszej na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego, autor książki „Zredukowani. O społecznych skutkach Wielkiego Kryzysu".

Kogo Wielki Kryzys bardziej zepchnął z drabiny społecznej? Mieszkańców miast czy biedotę wiejską?

– Wyjątkowość Wielkiego Kryzysu w Polsce polegała na tym, że w przeciwieństwie do wcześniejszych kryzysów gospodarczych nie ma żadnej grupy, która w jakimś sensie byłaby jego beneficjentem. Poprzednie kryzysy selektywnie uderzały w różne gałęzie gospodarki, ale były grupy społeczne, które prosperowały, wręcz dorabiały się na nich. Wielki Kryzys dosięgnął wszystkie grupy, może z wyjątkiem tych, które dysponowały stałą pracą i pensją, jak pracownicy administracji i zakładów zbrojeniowych. Kryzys uderzył zarówno w miasta, ludzi żyjących w nich z pracy najemnej, jak i w polską wieś – bardzo mocno. I dlatego trudno byłoby powiedzieć, który z tych światów – miasto czy wieś – został bardziej doświadczony.

A jaka była skala bezrobocia?

– Nie jesteśmy w stanie wyliczyć go tak, jak liczymy dzisiaj, bo nie możemy ustalić liczby osób aktywnych zawodowo, z tego względu, że poza osobami zatrudnionymi w zakładach przemysłowych mamy takie sektory jak chałupnictwo, rzemiosło, gdzie pracują członkowie rodziny – i one w ogóle nie podlegają żadnym statystykom. Natomiast ówczesne szacunki w odniesieniu do grup, które były objęte statystykami – pracowników średnich i dużych zakładów – wskazują, że w przemyśle i usługach bezrobocie mogło sięgać nawet 30% zatrudnionych, w niektórych miejscowościach niemal 50%.

eprasa.pl ffe8783b81

Czy bezrobocie w pierwszej kolejności dosięgnęło robotników niewykwalifikowanych?

– Rzecz była bardziej złożona. Często pierwsi do zwolnienia byli niekoniecznie ci, którzy mieli najniższe kwalifikacje, raczej ci, którzy dla pracodawców byli najbardziej kosztowni. Kobiety czy młodociani pracujący na podobnych stanowiskach zarabiali zwykle kilkadziesiąt procent mniej niż mężczyźni, choć wykonywali podobną pracę z porównywalną efektywnością. Dlatego przedsiębiorcom bardziej opłacało się zwolnić np. mężczyznę niż kobietę. Z drugiej strony ci, którzy mieli najmniejsze kwalifikacje, mieli dużo większe problemy ze znalezieniem nowej pracy.

Gdyby spojrzeć na bezrobocie od strony branż, które z nich najbardziej ucierpiały?

– W pierwszej kolejności wymieniłbym górnictwo i przemysł metalurgiczny, a także budownictwo, które drastycznie się załamało. No i włókiennictwo, gdzie doszło do znacznej redukcji zatrudnienia, ale jednocześnie rozpowszechniło się zjawisko półbezrobocia, czyli osób pracujących w niepełnym wymiarze pracy. W tej branży w taki sposób zatrudniona była niemal połowa wszystkich pracowników. Udawało się utrzymać posadę, ale pracowano przez dwa, trzy, cztery dni w tygodniu, co oczywiście wiązało się ze znacznie zmniejszonymi zarobkami.

Czy Wielki Kryzys rozłożył się proporcjonalnie na obszarze II Rzeczypospolitej?

– Były takie miejsca, gdzie kryzys był bardziej widoczny z perspektywy władzy i społeczeństwa. To głównie duże ośrodki przemysłowe, np. Łódź z dominującym przemysłem włókienniczym czy Śląsk i Zagłębie Dąbrowskie z dominującym górnictwem i przemysłem metalowym. W tych ośrodkach rzesze bezrobotnych były po prostu widoczne na ulicach. Jeśli pozostać przy samych liczbach, to okaże się, że wzrost bezrobocia w niedużych miastach na wschód od Wisły był rozproszony, co nie oznacza, że na tych terenach nie poznano dobrze kryzysowej biedy.

Czyli mniejszy był tam odsetek zredukowanych, ale bieda – większa.

– Jeśli za zredukowanych uznalibyśmy, w sensie dosłownym, tych, którzy utracili pracę, to można wyciągnąć taki wniosek.

Jak pan ocenia działania władz państwowych, samorządowych, organizacji społecznych i kościelnych kierujących pomoc właśnie do ludzi niepotrzebnych?

– Nie brakowało wówczas głosów, że środki przeznaczone na wypłatę zasiłków nie są wyłącznie wydatkiem, że to także pewna inwestycja. Bo wrócą do gospodarki pod postacią wydatków konsumpcyjnych. Jednak władze za priorytet uznały równowagę budżetową, więc myślano raczej o redukcji wydatków na pomoc społeczną. To odbijało się choćby na zasiłkach dla bezrobotnych. Ówczesny system ubezpieczenia od bezrobocia w założeniach był nowoczesny, lecz nie zaprojektowano go z myślą o długotrwałym kryzysie i tej skali bezrobocia. W rezultacie im dłużej trwał kryzys, tym mniejszy odsetek bezrobotnych mógł liczyć na zasiłek – w 1934 lub 1935 r. nie było to nawet 10%.

A reszta zredukowanych na co mogła liczyć?

– Była uzależniona od tzw. pomocy doraźnej, czyli niewielkich zapomóg oraz pomocy w naturze. Finansowano ją m.in. ze środków państwowych i samorządowych, które gromadzono np. ze specjalnych podatków nakładanych na różne dobra: poczynając od biletów na imprezy rozrywkowe, poprzez dopłaty do rachunków w lokalach gastronomicznych w godzinach wieczornych i nocnych, a skończywszy na opodatkowaniu… węgla z nielegalnych biedaszybów w jednej z gmin na Górnym Śląsku. Odwoływano się też do ofiarności społeczeństwa, ale ono ubożało, więc to źródło również szybko wyschło. Gdyby całościowo scharakteryzować system pomocy dla osób pozbawionych zarobku, to trzeba powiedzieć, że jakoś ułatwiał im przetrwanie, jednak był bardzo nieprzejrzysty, chaotyczny i mało wydolny, a przekazywana bezrobotnym żywność nieraz okazywała się kiepskiej jakości – np. nagminne były skargi na przegniłe ziemniaki.

Jakie były losy ofiar kryzysu, często jedynych żywicieli rodziny? Jak ci ludzie próbowali się ratować?

– Oczywiście każdy przypadek był jednostkowy, każda przywoływana przeze mnie historia jest inna, ale zwykle scenariusz był dość podobny. Po utracie pracy, stałego zarobku albo był zasiłek, albo go nie było. Jeżeli miało się prawo do

Wielki Kryzys dosięgnął wszystkie grupy, może z wyjątkiem tych, które dysponowały stałą pracą i pensją, jak pracownicy administracji i zakładów zbrojeniowych.



eprasa.pl ffe8783b81

zasiłku, to rodzina na kilkanaście tygodni miała zapewniony bardzo skromny byt. Równocześnie poszukiwano nowej pracy, ale o stałe zatrudnienie w latach kryzysu było trudno. Dlatego chwytano się najróżniejszych przygodnych zajęć, źródeł zarobku, mężczyźni przy prostych pracach fizycznych – np. coś trzeba było przenieść albo rozładować wóz – a kobiety przy sprzątaniu, praniu czy przeróbkach krawieckich. Do tego wyprzedaż majątku, na początku oczywiście rzeczy, bez których można się obejść na co dzień, czyli np. książki, biżuteria, aparat fotograficzny. Później zaczyna się sprzedaż innych przedmiotów, które już są znacznie bardziej potrzebne, jak meble albo ubrania. Do tego dochodzi rezygnacja z wydatków na rozrywkę i kulturę czy na używki, zwłaszcza alkohol. Zmienia się też jadłospis, czyli zamiast trzech-czterech posiłków przechodzi się na dwa, a później jeden. Stają się one coraz uboższe i składają się głównie z ziemniaków lub kasz. Na koniec zaczynało się niepłacenie czynszu, co skutkowało eksmisjami i przeprowadzką do baraków dla bezdomnych.

Musiała zarazem wzrastać przestępczość.

– Z reguły przyczyną przestępstw jest bieda i pierwsza połowa lat 30. dobrze pokazuje tę prawidłowość. Rosną wtedy wskaźniki przestępczości, szczególnie kradzieży. W książce opisałem takie przypadki, ale trzeba podkreślić, że zdecydowana większość zredukowanych nie wchodziła na drogę występku, łamania prawa. Natomiast ci, którzy decydowali się na to, zwykle dokonywali drobnych kradzieży, np. żywności na targowiskach czy w sklepach, drewna na opał z pańskiego lasu albo węgla z hałd kopalnianych.

Z tego, co wiem, sądy zachowywały się dość pobłażliwie w stosunku do tych, którzy dokonywali kradzieży w wyniku ogromu biedy, z chęci utrzymania rodziny.



Bezrobotni górnicy z kopalni węgla Hrabina Laura na ulicy Chorzowa, 1935 r.

– Tak było i miało to dwa powody. Z jednej strony, w grę wchodził czynnik, powiedzmy, humanitarny, ludzki odruch sędziów, z drugiej – była to kwestia bardziej systemowa. W międzywojniu w więzieniach panowało przeludnienie, a w latach kryzysu sytuacja zrobiła się wręcz dramatyczna. Toteż władze dosyć regularnie „opróżniały" więzienia, ogłaszając kolejne amnestie. Nie wynikały one ze szczególnej wspaniałomyślności sanacji, ale były koniecznością, bo osadzonych było zbyt dużo.

W międzywojniu w więzieniach panowało przeludnienie, a w latach kryzysu sytuacja zrobiła się wręcz dramatyczna.

Sposobem na wyjście z biedy, na znalezienie pracy była pewnie emigracja.

– W latach kryzysu ta droga się zamknęła, co pogarszało sytuację. Od XIX stulecia mamy liczną emigrację zarobkową, stałą lub sezonową. Kryzys pierwszej połowy lat 30. dlatego nazywamy wielkim, że jest ogólnoświatowy i poza Związkiem Radzieckim, odpiętym od gospodarki kapitalistycznej, wszystkie państwa mierzyły się z tym samym problemem – z bezrobociem. Reakcją na to było zamykanie własnych rynków pracy, czyli ograniczenie, a właściwie zatrzymanie napływu migrantów. Co więcej, spora grupa polskich robotników, którzy od lat pracowali we Francji, w Niemczech czy w Belgii, na początku lat 30. zaczyna wracać do kraju. W efekcie w latach kryzysu więcej ludzi wracało do Polski, niż z niej emigrowało.

Jak należy ocenić postawę polskiego społeczeństwa wobec zredukowanych?

– W ogromnej większości panowało zrozumienie i współczucie. Bo widmo zredukowania wisiało niemal nad każdym, a groźba bezrobocia „za chwilę może dotknąć i mnie". Jednak tym, co jest również charakterystyczne dla lat kryzysu i co wymaga chyba dalszych badań, jest rozpowszechnienie się społecznych resentymentów. W latach kryzysu swoją sytuację postrzegało się jako relatywnie gorszą niż kogoś innego, innych grup. Choćby na wsi zazdrości się bezrobotnym w miastach tego, że ktoś o nich myśli i mogą liczyć na jakąś pomoc, zasiłki. Z drugiej strony w mieście bezrobotni mówią o chłopach, że może i doświadczyli spadku cen, ale każdy z nich ma swój kawałek ziemi i przynajmniej głód mu nie grozi. Na to nakładały

FOT. NAC (2), MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ffe8783b81



Członkowie rodziny bezrobotnego przed stodołą służącą za mieszkanie. Rozgarty, powiat Chełmno, 1935 r.

się resentymenty do biurokracji państwowej – w końcu urzędnik mógł liczyć na stałą pensję, a to w latach kryzysu był swego rodzaju luksus. Dochodziły do tego resentymenty na tle narodowościowym, głównie o charakterze antysemickim.

Pamiętam z wykładu prof. Andrzeja Garlickiego, że w przedwojennym GUS badano poziom ubóstwa i z analiz wynikało, że odsetek ludzi ubogich, w trudnej sytuacji życiowej, wśród Żydów jest większy niż wśród Polaków.

– To pochodna tego, że zdecydowana większość obywateli pochodzenia żydowskiego pracowała w drobnym handlu i rzemiośle, a te branże zostały niezwykle mocno dotknięte kryzysem. Takie osoby miały status tzw. samodzielnych, bo prowadziły jakiś malutki warsztat rzemieślniczy bądź ubogi sklepik w sztetlu za Bugiem. I jako „samodzielni" znajdowali się poza systemem opieki społecznej. To oczywiście ignorowała nacjonalistyczna prawica, która budowała swój przekaz na antysemityzmie, starając się objaśnić kryzys w taki sposób, że Żydzi go wywołali i są jego beneficjentami, a ofiarami Polacy.

Czym tłumaczyć to, że współcześni Polacy tak mało wiedzą o Wielkim Kryzysie?

– Powodów jest kilka, najważniejszy to oczywiście trauma II wojny światowej, która przysłania wszystko, unieważniając poniekąd wcześniejsze zdarzenia, i do dzisiaj ciąży na naszej pamięci i wyobrażeniu przeszłości. Druga rzecz to niedźwiedzia przysługa, jaką w tej kwestii wyświadczyła propaganda powojenna. Propagandowy obraz przedwojennej Polski w znacznej mierze opierał się na uniwersalizacji doświadczenia kryzysowej biedy, która miała definiować cały ten okres. I naturalne jest, że gdy debata o przeszłości stała się bardziej pluralistyczna, już od lat 70., a później po 1989 r., ta wizja została uznana za fałszywą. Jako społeczeństwo skłonni jesteśmy myśleć o latach międzywojnia jako okresie nie tylko niepodległości i suwerenności politycznej, ale też jako paśmie gospodarczych sukcesów. Łatwiej nam pamiętać o porcie w Gdyni czy jej modernistycznym śródmieściu niż o tym, że tuż obok funkcjonowały osiedla biedadomków, w których mieszkały, a raczej gnieździły się, nie setki, lecz tysiące ludzi.

Niepamiętanie o biedzie jest swoistym wyparciem przeszłości własnych rodzin?

– Niestety tak. Tej naiwnej wizji międzywojennej Polski sprzyja też na pewno brak kanonicznych dzieł kultury, które jakoś uchwyciłyby doświadczenie Wielkiego Kryzysu i byłyby nośnikiem pamięci o tym okresie. Nie dochowaliśmy się dzieła porównywalnego z „Gronami gniewu" Johna Steinbecka, bo przecież trudno uznać za takie choćby powieść „Doktor Murek zredukowany" Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Na to nakłada się oficjalna polityka historyczna, skupiona na wielkiej polityce, mężach stanu, dowódcach i ich bitwach albo arystokracji, która jest jednak oderwana od doświadczeń czy historii rodzinnych. A bez nich przeszłość łatwo poddaje się mitologizacji, stając się krzepiącą opowieścią o wielkości i szlachetności Polaków. Warto kształtować samoświadomość historyczną społeczeństwa na pamięci o doświadczeniach różnych warstw społecznych. Nie tylko możnych tego świata, ale i tysięcy zredukowanych w latach kryzysu.

Paweł Dybicz

ZAPROSZENIE

Wydawnictwo Iskry zaprasza na spotkanie wokół książki Pawła Dybicza „Pożegnanie z Polską Ludową. Rozmowy o schyłku PRL i narodzinach III RP".

W spotkaniu oprócz autora zapowiadają swój udział jego rozmówcy.

Warszawskie spotkanie odbędzie się 16 czerwca o godz. 17 w Klubie Księgarza, Rynek Starego Miasta 22/24.



eprasa.pl ffe8783b81



NIE MA TABLETKI NA SAMOTNOŚĆ

Seniorów zostawia się na pastwę śmierci za życia, a nastolatki cierpią na stany lękowe

Beata Igielska

– Zostawcie mnie na jeszcze jedną noc. Boję się, że umrę i nikt o tym nie będzie wiedział – prosi starsza kobieta w jednym z warszawskich szpitali. Z córką nie ma relacji. Nawet do głowy jej nie przychodzi, żeby „dziecko" ściągać z innego miasta.

Do tego samego szpitala dzwoni córka pacjentki i prosi, żeby mamę na jeszcze jeden dzień zostawić na hospitalizacji. Szpital wyraża zgodę. Po czasie okazuje się, że córka następnego dnia wylatuje na zagraniczne wczasy. Dobrze wie, że nikt matki nie wypisze w próżnię, jeśli ona jej nie odbierze.

Niezauważani

Praga-Południe. Mocno starsza pani, taka z rodzaju: świadoma i wykształcona. Bezdzietna. Po śmierci męża została zupełnie sama.

– Rozmawiałam z nią wielokrotnie, bo regularnie dzwoniła na nasz numer kontaktowy – opowiada Magdalena Rutkiewicz, prezeska fundacji Projekt Starsi, przeciwdziałającej przemocy wobec seniorów. – Kiedyś powiedziała, że najbardziej się boi wcale nie śmierci, boli tylko, że człowiek znika jeszcze za życia i nikt tego nie zauważa. Chodziła do lekarza, listonosz przynosił jej od czasu do czasu listy. To były jej jedyne kontakty. Myślę, że tak samotnych starszych osób jest bardzo dużo. Według badań ok. 30% cierpi na depresję – w geriatrii mówi się, że najpoważniejszą przyczyną depresji jest to, że ludzie są niezauważani. Jeżeli umiera ich partner lub jedyna bliska osoba z rodziny, zostają kompletnie sami i świat się nimi nie interesuje. Wszyscy jesteśmy zabiegani, każdy ma swoje sprawy.

Najbardziej drastycznym przykładem zniknięcia w zapomnieniu jest starsza pani z Legionowa, której ciało znaleziono w domu pięć lat po śmierci. Coraz więcej ludzi starszych mieszka samotnie i umiera samotnie. Powstały firmy specjalizujące się w sprzątaniu takich mieszkań…

Kodokushi – tak nazywa się problem samotnej śmierci w słynącej z długowieczności mieszkańców Japonii. Tam z roku na rok coraz więcej starszych osób umiera w samotności, bywa, że ich ciała są znajdowane po wielu miesiącach. W tejże Japonii seniorzy wielokrotnie popełniają drobne kradzieże, by wreszcie trafić za kratki i umrzeć wśród ludzi. Starsze Japonki zaś dziergają czapeczki dla swoich robotycznych opiekunów.

Jasne, że samotność dotyka wszystkie grupy wiekowe i przedstawicieli wszystkich klas społecznych. Ale to właśnie samotność seniorów jest najbardziej przerażająca. Noreena Hertz w książce „Stulecie samotnych" podaje, że dla dwóch trzecich seniorów w Anglii jedynym towarzyszem jest telewizor. Zamykają się w sobie i cierpią. Zdaniem autorki coraz większa zależność od technologii, radykalne zmiany zachodzące w miejscach pracy oraz kilkadziesiąt lat polityki stawiającej własną korzyść ponad wspólne dobro doprowadziły do tego, że jesteśmy dziś bardziej wyobcowani niż kiedykolwiek w historii ludzkości. W Stanach Zjednoczonych „wynajmuje się przyjaciół" i płaci za przytulanie.

Polska to nie jest kraj dla starych ludzi

Żyjemy coraz dłużej, ale czy to jest dobre życie? Schorowani starsi ludzie żebrzący na bułkę albo na leki pod apteką to stała w pejzażu wielkomiejskim. Samotna babcia na

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ffe8783b81

wsi, w domu wymagającym remontu to też nie jest rzadkość. W tym kontekście niepokoić może brak wyraźnej strategii senioralnej państwa, które powinno wreszcie planować długofalowo. Bez tego daleko nie ujedziemy.

Owszem, do dyskursu publicznego zaczyna się przebijać fakt, że polskie społeczeństwo się starzeje, bo gdziekolwiek jesteśmy, widzimy głównie osoby starsze, za to prawie nie widzimy małych dzieci. Niemniej jednak działania ekip rządzących różnych barw politycznych mają charakter doraźny i nie wystarczą, aby sprostać potrzebom rosnącej populacji osób starszych. Opieka dla nich powinna być organizowana blisko miejsca zamieszkania, a szpital nie może pełnić, jak często się zdarza, funkcji długoterminowego wsparcia. Wciąż brakuje także myślenia o integracji systemów opieki zdrowotnej i socjalnej. Zresztą ta przeszkadzająca, niewspółpracująca dwutorowość opieki jest widoczna w każdej grupie wiekowej. To samo dotyczy dzieci.

Za podstawowy problem, jeśli chodzi o samotność seniorów, uważa prof. Bolesław Samoliński, kierownik Katedry Zdrowia Publicznego i Środowiskowego WUM, fakt, że mężczyźni umierają osiem lat wcześniej niż kobiety.

– W związku z tym po 70. roku życia na 100 mężczyzn przypada 177 kobiet, podczas gdy w dniu urodzin jest niewielka przewaga płci męskiej – mówi prof. Samoliński. – Od ok. 47. roku życia stopniowo sytuacja się zmienia. – Kolejny problem to coraz więcej rodzin czteropokoleniowych. Ale one nie mają więzi. Osoby w wieku najstarszym, pradziadkowie, prababcie, pozostają poza systemem wzajemnych relacji rodzinnych. Dziadkowie i babcie, nierzadko już schorowani, zajmują się wnukami, a starszymi osobami nie ma kto się zająć. A to właśnie pradziadkowie są jeszcze bardziej schorowani niż dziadkowie, zmagają się z wielochorobowością – dodaje ekspert.

Starszym osobom coraz trudniej coś zapamiętać, coraz łatwiej coś pomylić. Samotność w połączeniu z trudnością obracania się we współczesnym świecie, który jest zinformatyzowany, powoduje stres. Głównie to starsze kobiety nie chcą się przyznać, że nie nadążają za postępem, i zaczynają chować się w sobie, uciekają od kontaktów i komunikacji i nie dają sobie rady. To seniorzy chodzą na pocztę po odbiór korespondencji czy emerytury lub renty, bo nie potrafią posługiwać się internetem lub nie mają odpowiedniego sprzętu.

– Dzisiaj to samotność wydaje się największym dramatem osób starszych – nie mają z kim porozmawiać. Z naszych lekarskich obserwacji wynika, że w dodatku potrafią bardzo mylić rozkład leków, liczbę tabletek, czasami zażywają podwójną dawkę, czasami zapomną przyjąć dawkę. W domu nie dają sobie rady. Potrzebna jest im pomoc, ktoś, kto posprząta, ktoś, kto odezwie się do nich – podkreśla prof. Samoliński.

Wyrwa pokoleniowa a konieczność bezwarunkowej więzi

Dlatego tak ważne jest, żeby budować wzajemne relacje wewnątrz tego pokolenia i międzypokoleniowe.

– Mówiąc: wewnątrz pokolenia, mam na myśli dzienne pobyty w domach późnej starości, w których późni seniorzy mogą się spotkać.

Człowiek znika jeszcze za życia i nikt tego nie zauważa.

A w przypadku relacji międzypokoleniowych chodzi o to, żeby wnuki i prawnuki zaglądały do pradziadków, pytały, czy czegoś nie potrzeba, czy tabletek nie poukładać, czy wody nie przynieść, bo często przyczyną hospitalizacji jest odwodnienie. Organizm na starość nie wie, że trzeba pić, a trzeba. Nie możemy się skupiać tylko na własnym życiu. Owszem, prababcia, pradziadek narzekają i są dysfunkcyjni. Ale właśnie tym bardziej wymagają pomocy, nie chcą być marginalizowani, żyć w samotności – podsumowuje prof. Samoliński.

Zdaniem dr Halszki Witkowskiej, suicydologa, pomysłodawczyni i koordynatorki platformy edukacyjno-pomocowej „Życie warte jest rozmowy", ogromna samotność współczesnych nastolatków wiąże się z tym, że jesteśmy pogrążeni w międzypokoleniowej pustce językowej.

– Nie mamy wspólnego języka, a jak tracimy język, to nie możemy się do siebie zbliżyć i opowiedzieć o swoich problemach. Nawet jeżeli ci młodzi ludzie są otoczeni rodzicami, nauczycielami, nie mają jak się z nimi porozumieć. Współcześni rodzice i nauczyciele nie rozumieją bowiem, z czym nastolatki mierzą się na co dzień. A mierzą się z potworną samotnością wynikającą z ciągłego lęku przed przemocą. Również my, dorośli, w internecie jesteśmy samotni, 24 godziny na dobę tkwimy w swoich bańkach. To się pogłębiło, odkąd korzystamy ze smartfonów – tłumaczy dr Witkowska.

Jej zdaniem, ponieważ nie mamy wspólnego języka i jesteśmy również jako rodzice samotni, nie wiemy, czego nasz nastolatek słucha, jakiego youtubera lubi, kto jest jego idolem. Potem więc trudno rozmawiać wspólnie przy stole. Młodzi ludzie śledzą w dodatku patostreamy, oglądają negatywne treści.

– To powoduje przepaść, wyrwę międzypokoleniową. Jednocześnie przemoc, która kiedyś była tylko na boiskach, w szkołach, jest dziś hybrydowa, także 24 godziny na dobę: i w szkole, i pod poduszką we własnym pokoju. Przemoc używa narzędzi, których rodzice nie rozumieją. Czy dwa lata temu pomyślelibyśmy, że będzie aplikacja do rozbierania zdjęć? Raczej popukalibyśmy się w głowę. A w tej chwili to norma. Nigdy nie nadążymy za technologią, ona nie jest odpowiedzią na samotność ani na przemoc. Odpowiedzią są zdrowe kontakty międzyludzkie. Samotności nastolatków zaradzimy tylko i wyłącznie ludzkimi zachowaniami, bliskością, próbowaniem budowania wspólnego języka w tych nieludzkich czasach. Bo to nie są już ludzkie czasy – zaznacza dr Halszka Witkowska.

eprasa.pl ffe8783b81

Według Tomasza Bilickiego, interwenta kryzysowego, pedagoga, psychoterapeuty i psychotraumatologa, specjalizującego się we wsparciu nastolatek i nastolatków, samotność to podłoże lęku i niskiej samooceny w tej grupie wiekowej. Brzmi to paradoksalnie, bo młodzi żyją przecież w świecie tzw. mediów społecznościowych, które wcale społecznościowe nie są. Od urodzenia dzieci potrzebują bezwarunkowego połączenia z mózgiem osoby dorosłej. Wtedy wiedzą, że nie muszą walczyć o relację z tą osobą.

– Ale my, dorośli, nierzadko sami przecinamy to połączenie, w dobrych intencjach: chcemy szybko pocieszyć, bo naoglądaliśmy się materiałów rodzicielskich zwanych modnie parentingowymi. Unieważniamy więc problemy dziecka, kiedy mówimy: jakie można mieć problemy, jak się ma 10, 12, 15 lat, nie przesadzaj, inni mają prawdziwe problemy. W ten sposób sami przecinamy więzi – wyjaśnia Tomasz Bilicki. – Nierzadkie są też sytuacje, że dzieci są połączone z mózgiem lękowej osoby dorosłej, która sama ma rozmaite trudności i projektuje je na innych. Tymczasem gdy dziecko ma z dorosłym bezwarunkową więź, o którą nie musi walczyć, czyli nie jest samotne, to ani smutek, ani tęsknota, ani złość, ani lęk nic mu nie zrobią. Jeżeli te trudne emocje mają charakter incydentalny, wcale nie są niebezpieczne.

Samotność a zdrowie fizyczne

Bardzo wielu z nas wie, jakie ma ciśnienie tętnicze czy poziom cholesterolu, a nie bierzemy pod uwagę tego, że poczucie samotności czy izolacji społecznej może wpływać na nasze zdrowie fizyczne. Dr Łukasz Okruszek z Instytutu Psychologii PAN zbadał wpływ samotności na naszą fizjologię i okazało się, że może ona prowadzić do rozwoju konkretnych chorób, np. sercowo-naczyniowych (dlatego lekarze powinni pytać pacjenta o samopoczucie psychiczne). W warunkach laboratoryjnych dr Okruszek „wywołał sztuczną samotność" u 129 osób i sprawdził, jak zmieniają się parametry fizjologiczne człowieka, czego psychologia społeczna nie bada.

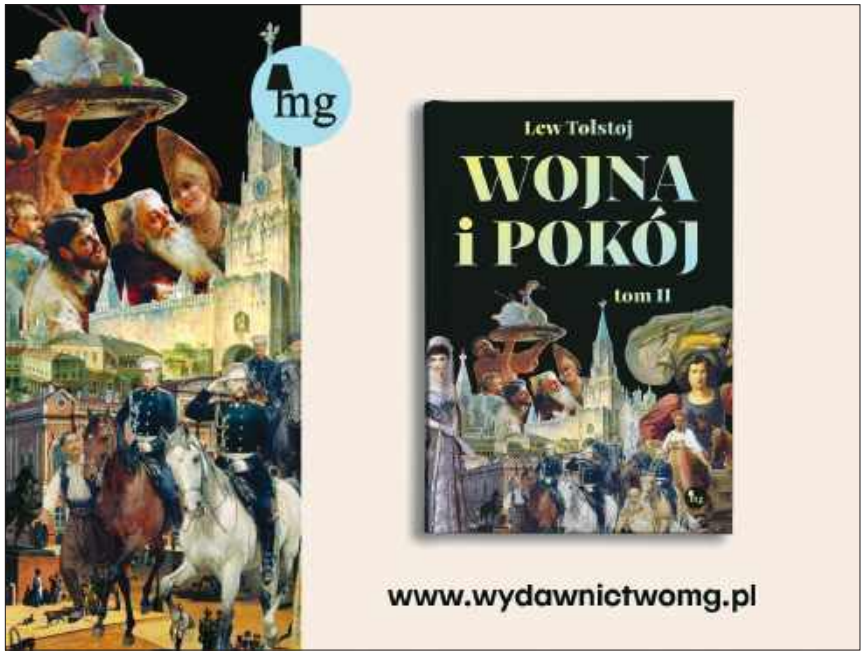
Samotnych starszych osób jest bardzo dużo, a ok. 30% cierpi na depresję.

Badani wypełnili kwestionariusze, po czym zasugerowano im, że na tej podstawie można wnioskować, że w przyszłości będą samotni. Sprawdzono, jak ta informacja wpływa na wskaźniki mierzone podczas EKG i na aktywność mózgu. Okazało się, że „w reakcji na bodziec – czyli myśl o czekającej nas w przyszłości samotności, zwiększa się aktywność układu odpornościowego i współczulnego – możemy więc powiedzieć, że nasz organizm znajduje się w stanie podwyższonej aktywacji i gotowości do »obrony«. Obniża się natomiast reakcja równoważącego ich pracę układu przywspółczulnego, który po czasie mobilizacji w zdrowo funkcjonującym organizmie pozwala nam odpocząć. U osób samotnych organizm jest ciągle pobudzony, a układ przywspółczulny nie wyrównuje tej reakcji. Obserwować można obniżoną zmienność rytmu serca, związaną z mniejszą odpowiedzią układu przywspółczulnego. Zaobserwowaliśmy to u osób, u których tylko na krótki czas wywołaliśmy poczucie samotności", tłumaczył dr Okruszek redakcji Polskiej Agencji Prasowej.

Ale to nie koniec rewelacji naukowych odnośnie do samotności, bo kolejne badania naukowe dowodzą, że przedłużające się poczucie osamotnienia może prowadzić do trudności z nawiązywaniem relacji. Mechanizm jest prosty: osoby samotne sygnały wysyłane przez innych odczytują często jako wrogie. Ktoś minął mnie bez słowa na ulicy – ma mi coś za złe i celowo mnie zignorował. A przecież mógł po prostu mnie nie zauważyć. W opinii dr. Okruszka takie zniekształcenia mogą się przekładać na zachowania, a to spycha osobę samotną w jeszcze głębszą izolację.

A ponieważ nie ma tabletki na samotność, jeśli ktoś subiektywnie ją odczuwa, powinien poszukać pomocy psychologicznej. Jeżeli jestem samotna, niekoniecznie muszę chorować na depresję, choć jest ona czynnikiem ryzyka tej choroby. Niemniej jednak samotność to brak relacji społecznych, a depresja to sposób myślenia o sobie, o innych i o świecie.

Beata Igielska



eprasa.pl ffe8783b81

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Domostwo wędrowne

Płytko, dno i metr mułu – owszem, to umysłowość parlamentarzystów prawicy uosabianej przez „zwykłego Kowalskiego" i innych harcowników tej strony sali sejmowej, ale to także charakterystyka Jeziora Nezyderskiego, nad którym z początkiem czerwca przyszło mi się znaleźć. Dzieciak mój najmłodszy grał turniej na Węgrzech, zrobiła się okazja, by to i owo sobie pozwiedzać w Mitteleuropie.

Przyjaciel kupił niedawno kampera i przeżywa fazę zauroczenia domem na kółkach, nie trzeba go szczególnie namawiać do wypraw. To taki luksusowy nomadyzm za ćwierć miliona – idealny dla mizantropa sybaryty, no chyba że trafi się w sezonie na jedno z popularnych, gigantycznych obozowisk, gdzie setki rodzin turystycznych sąsiadują ze sobą przyczepa w przyczepę. Szczęśliwie połowę czasu spędziliśmy na pustych, prowincjonalnych parkingach bez żywego ducha (brak recepcji, wszystko automatyczne, na kody) i napawaliśmy się tym przenośnym dachem nad głową, który jest zarazem salonem, sypialnią, łazienką, kuchnią – takim trochę kompaktowym, kapsułowym M-1.

Kumpel smakosz, to mu zaproponowałem trasę wedle enoturystycznego klucza – od Carnuntum, apelacji, która wywindowała szczep Blaufränkisch w minionych dekadach na szczyt możliwości (to także zasługa ocieplenia klimatu), po Neusiedler See, krainę szlachetnej pleśni, gdzie powstają „austriackie tokaje". Jezioro jesienią paruje wszechobecną mgłą, wilgoć powoduje pleśnienie winogron, z tych zrodzynkowanych robi się tutaj jedne z najlepszych słodkich win na świecie – Ruster Ausbruch. Rust to nadzwyczaj malownicze, zabytkowe miasteczko winiarzy i bocianów, które sobie założyły gniazda na szczytach kamienic, ale królowymi jeziornych szuwarów są dzikie gęsi – wszędzie wokół na drogach i ścieżkach rowerowych widnieją ostrzeżenia, by na nie uważać, a one paradują z potomstwem po trawnikach wzdłuż dróg między morzem trzcinowisk.

W Carnuntum Rzymianie dotarli do Dunaju i założyli warowną osadę w ramach limesu – ufortyfikowanej północnej granicy cesarstwa. Austriacy to spryciarze – wiedząc, że Pompejów ani Kartaginy nie przebiją, wpadli na pomysł, by zamiast jeszcze jednego stanowiska archeologicznego, gdzie znudzona dziatwa ogląda ruiny fundamentów, odbudować osadę w całości, z wszelkimi szczegółami, i ożywić. Są zatem termy z gorącymi basenami, wyposażone mieszkania patrycjuszy, warsztaty, targi – brakuje tylko Rzymian, ale zdaje się, jakby wyszli tylko na chwilę, zostawiając na stołach niedojedzone jabłka, tudzież niedopisane listy. Bardzo to efektowna makieta, turystycznie atrakcyjna.

W końcu trafiamy do Szombathely akurat w Boże Ciało. Świecka turystka robi zdjęcia dywanowi kwietnemu, usypanemu z płatków przez dziewczynki, po którym kroczy procesja z monstrancją, zachwyca się, że to taki symbol jedności z naturą, ktoś tłumaczy, że to raczej symbol uniżenia. Z muru kamienicy przy rynku pod numerem 41 wychodzi James Joyce i w połowie zastyga – tutaj urodził się w jego umyśle Rudolf Virág, ojciec Leopolda Blooma. Z tej przyczyny także tutaj obchodzi się Bloomsday – wynajęci artyści malują murale na każdą z ksiąg „Ulissesa", muszą zdążyć na 16 czerwca. Szombathely to także rzymska kolonia, uznawana za najstarsze miasto na Węgrzech, już w 107 r. naszej ery jako Savaria było stolicą prowincji Górna Panonia.

Dojeżdżamy na stadion – miejsce parkingowe wskazuje nam osobiście Gábor Király, legendarny bramkarz reprezentacji Węgier, którego długie szare gacie stały się talizmanem i kotylionem – teraz można je kupić w firmowym sklepiku na obiekcie KIRÁLY Sports complex,

Furda mundial, najważniejszy dla mnie jest teraz futbol U11.

gdzie Gábor założył akademię piłkarską. Patronuje turniejowi, w którym Antoś strzela wspaniałe gole i frustruje się, że tylko honorowe – jego drużyna spisuje się średnio, ale mnie i tak rozpiera ojcowska duma – furda mundial, najważniejszy dla mnie jest teraz futbol U11.

Dużo drużyn, to i wielu kibicujących rodziców, po turnieju zmierzamy do wyjścia w ciżbie, drobiąc małymi kroczkami, a mnie się przypomina, że w ten sposób wychodziłem w dzieciństwie z kościoła po niedzielnej mszy, na odchodnym maczając palce w wodzie święconej. Pamiętam też chłód kropli na czole, bo od niego zaczynało się przeżegnanie i to wyjście na światło dzienne. Dzisiaj lubię tylko puste kościoły, bo są chłodne i półmroczne jak jaskinie, które są dla mnie sacrum, wszak przywykliśmy do tego, że przestrzeń sakralna ma pogłos, oddech w niej niesie się echem i kroki, i szepty, jak w wielkich komorach podziemnych. Kościół i jaskinia to przestrzenie z innego, nieziemskiego lub podziemnego porządku. ■

eprasa.pl ffe8783b81

Na czym nie polega dialog i czego nie widzi Roman Kurkiewicz

Z dużym zdziwieniem przeczytałem felieton Romana Kurkiewicza „O co wolno zapytać Edelmana?" („Przegląd", nr 21/2026) dotyczący spotkania zatytułowanego „Marek Edelman a kwestia palestyńska", które odbyło się w Centrum Dialogu im. Marka Edelmana w Łodzi.

Autor pisze, że był obecny na spotkaniu, ale relacjonuje je tak, jakby w ogóle go nie widział. Z jego relacji wynika, że kuratorka festiwalu Łódź Wielu Kultur Agata Siwiak oraz panelistki w osobach Moniki Bobako, Hanki Grupińskiej i Anny Dzierzgowskiej zorganizowały wspaniałe wydarzenie poświęcone Edelmanowi. Zakłóciła je natomiast „bojówkarska reakcja grupy osób częściowo związanych z gminą wyznaniową w Łodzi, częściowo utożsamiających się z syjonizmem i ludobójczą polityką państwa izraelskiego". Autor wyraził podziw dla organizatorów, którzy opanowali sytuację, choć ze strony grupy „propagandystów proizraelskich" padły sformułowania „niegodne, hańbiące i rasistowskie". Mówiąc krótko, Kurkiewicz wiele rzeczy pominął, a jego historia bardzo mija się z faktami.

Jak mówi mi Dawid Gurfinkiel, jeden z członków łódzkiej gminy, który przyszedł na spotkanie, w czasie wydarzenia padały rasistowskie sformułowania, ale ich autorami nie byli członkowie gminy, tylko inni uczestnicy, nastawieni wyraźnie antysemicko. „Jeszcze przed spotkaniem jeden z przybyłych wyrażał ubolewanie, że przyszedł posłuchać o ludobójstwie, a nie żydowskiej propagandy", dodał. O tym, że wszystko, czego oczekuje, zostanie opowiedziane, zapewniła go osobiście jedna z panelistek.

W roli gościa honorowego, przedstawionego jako znajomy samego Edelmana, wystąpił Palestyńczyk z Krakowa Omar Faris, którego nazwisko nie pojawia się w relacji Kurkiewicza, a jest ważne dla


FELIETON

Lewanowskiej Roman Kurkiewicz

O co wolno zapytać Edelmana?

kontekstu sytuacji. Faris jest znany z komentowania działań organizacji terrorystycznej Hamas, którą nazywa „ruchem oporu", a zbrodnię z 7 października 2023 r. przedstawia jako bohaterską akcję wojskową wymierzoną w siły okupacyjne. Uważa, że straty cywilne to wina Izraelczyków. Zasiadał też do niedawna w radzie dyrektorów Europejskiej Rady Palestyńskiej ds. Relacji Politycznych (EUPAC). Organizacji zarzuca się działalność lobbingową na rzecz Hamasu. Jej prezes Majed al-Zeer jest ścigany od maja zeszłego roku przez Niemcy na mocy europejskiego nakazu aresztowania, a wiceprezes Mohammad Hannoun przebywa od grudnia w areszcie we Włoszech. Hannounowi grozi wyrok od 7 do 15 lat więzienia.

Innym aspektem wydarzenia w Łodzi, który Kurkiewicz przemilczał, było przeczytanie przez Dawida Gurfinkiela listu napisanego przez Alę Elczewską. Jest to mieszkająca w Danii psychoterapeutka i traumatolożka pracująca z uchodźcami, a prywatnie córka Haliny Elczewskiej, ocalałej z Holokaustu pomysłodawczyni łódzkiego Parku Ocalałych, na terenie którego mieści się Centrum Dialogu.

Elczewska napisała: „Tegoroczny festiwal nie do końca wpisuje mi się w założenia, które czytam poniżej. Marek Edelman w ciągu swojego życia wypowiadał się z troską o losy ludności palestyńskiej. Wykazywał troskę człowieka, dla którego życie było najważniejsze, człowieka, który stawiał opór Niemcom w getcie. Może warto wspomnieć o tym, co dzieliło Marka Edelmana od ideologii oraz wartości wyznawanych dzisiaj przez wielu Palestyńczyków i ich przywódców. Dla ich przywódców życie nie jest najważniejsze. Ich polityczna ideologia oraz religia wskazują na wartość życia pośmiertnego, na nagrodę, która czeka po śmierci. Rodziny, które poświęcają swoich synów i córki, otrzymują monetarne wynagrodzenie od organizacji, które prowadzą aktywną wojnę przeciwko państwu Izrael. Organizacji terrorystycznych. Ich celem jest likwidacja państwa żydowskiego. Przejęcie całego terytorium Izraela. Nie rozumiem motywów, które kierowały Dyrekcją Centrum w wyborze zarówno tematu, jak i uczestniczek panelu. Podpieranie się nazwiskiem Edelmana w tej sprawie jest sprzeczne z wszelkimi założeniami Centrum".

To właśnie w tym momencie według Gurfinkiela doszło do przekrzykiwania i oskarżenia autorki listu o rasizm. Co ciekawe, oskarżenie to postawiła jako pierwsza kuratorka festiwalu. Kurkiewicz nie pokusił się o przedstawienie tych faktów. Stworzył jednak ciekawą narrację na temat łódzkich Żydów, nie bacząc na polityczne konsekwencje nazywania ich „propagandystami" i zarzucania im „popierania ludobójstwa".

Paradoks tej sytuacji polega na tym, że instytucja powołana do dialogu i kultywowania pamięci ocalonych zaczęła traktować głos Żydów i ich samych jako przeszkodę, a nie element rozmowy. Czy Centrum uznało, że żywi są problemem, ponieważ mogą zabrać głos w swoim imieniu w przeciwieństwie do zmarłego przed laty Edelmana? Refleksji nad tymi zagadnieniami zabrakło mi w felietonie Romana Kurkiewicza.

Jakub Woroncow

eprasa.pl ffe8783b81



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Premierka Domi Lasota? Owszem i szkoda czasu

Tak z grubej rury? A kto to w ogóle? Wystarczy wydać broszurkę w Krytyce Politycznej, by pojawiły się bezkrytyczny zachwyt i nowa idolka, i daleko zakreślone oczekiwania?

A właściwie dlaczego nie? Jeśli taki Kaczyński, człowiek o realnym, przepotężnym wpływie na polską politykę ostatnich dekad, wysuwa na przyszłego premiera postać wuja knura Czarnka, to bez żadnego szacunku (bo niby skąd i dlaczego) dla tego „ruchu" wolę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że żyje w Polsce ktoś, kto politykuje i rokuje dużo lepiej, sensowniej i racjonalniej. To Dominika Lasota, dzisiaj 24-letnia, częściowo już rozpoznawalna postać aktywistycznej sceny klimatycznej.

Lasota opublikowała właśnie krótką książeczkę (broszurę – stękną dziadersi) „Odwagi! [o zaangażowaniu młodych]". Jest to zapis niespełna (a może aż) 10-letnich doświadczeń aktywistki klimatycznej, a równocześnie osoby bardzo świadomie i sprawnie poruszającej się w najlepiej rozumianej przestrzeni politycznej, gdzie zarówno intelektualnie, jak i w działaniu rozkłada akcenty, tworząc wartościowy obraz tego, czym polityka winna być. Ma Lasota, w przeciwieństwie do niemal większości klasy politycznej w Polsce, rozpoznane hierarchie wartości i celów politycznych, kluczowych zagrożeń i problemów, ma umysł pokoleniowo oczyszczony z niezdrowych fascynacji kapitalistycznym stanem rzeczy jako modelem niezmienialnym albo i wymarzonym. W to miejsce wprowadza dociekliwość, rozumienie istoty rzeczy i procesów, w tym w wymiarze globalnym. No i ma coś, czego nie da się „zagrać" – polityczną empatię i energię do działania.

Nie znajduję w przypadku większości polityków i polityczek pełniących w ostatnich prawie czterech dekadach funkcję premiera nikogo, kto z podobnym bagażem wchodziłby do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Być może też mit wieku jest jednym z tych najpotężniejszych, niewidocznych hamulców, konserwujących autokorupcyjny wymiar polityki „zawodowej", uprawianej w poczuciu dobrze udawanej sprawczości, pozbawionej zasad w imię „realności" i rozumienia reguł świata. Lasota przynajmniej rozumie, że żelazne reguły polityki są zasłoną dla bezwzględnej walki potężnych graczy we własnym interesie, czego najlepszym przykładem jest cywilizacja władzy płynącej z energii kopalnej.

Można zapewne postawić zarzut Dominice Lasocie, że nie ma doświadczenia, że jest naiwna, że ulica to nie gabinety europejskiej i światowej polityki. Nie podzielam takiego poglądu, bezprzykładny czas kryzysu klimatycznego wymaga przede wszystkim zrozumienia istoty i wagi kluczowych problemów świata, a do tego niezbędne jest wolne od dogmatów starej władzy spojrzenie. Tym zaś Lasota (i jestem przekonany, że również liczna grupa przedstawicielek tego pokolenia) dysponuje w sposób nieporównanie potężniejszy niż cały nasz establishment formalno-partyjny. Warto przyjąć do wiadomości, że być może zdolność rozpoznania centralnego problemu stojącego przed światem jest najlepszą rekomendacją do radykalnego otwarcia przestrzeni politycznej na współdecydowanie o przyszłości tych, których ona będzie dotyczyć. A nie są to, za przeproszeniem, Kaczyński, Tusk czy inna karierowiczowska kamaryla.

W końcu czas na przypomnienie, że polityka jest światem idei, a tej w polskiej polityce ze świecą dzisiaj szukać. Za wizją technokratycznego kapitalizmu dla bogatych i uprzywilejowanych skrada się udający ruch ludowy nacjonalistyczny, konserwatywny potwór i tuż obok faszyści. Ani Polski, ani Europy, ani świata nie stać na oddanie im możliwości decydowania nawet na jedną chwilę.

Świat politycznej wyobraźni Lasoty jest też oparty na fundamentach pokojowego i sprawiedliwego porządku budowanego po II wojnie światowej w myśl Powszechnej deklaracji praw człowieka. A ten horyzont polska klasa polityczna, w ślad za Trumpem i polityką czystej siły i przemocy, straciła z oczu. Bez powrotu do tych reguł nasz świat nie ma szans na przeżycie, a co dopiero na godne, sprawiedliwe, syte i dostatnie życie. Ale tak do nas dziś nikt nie mówi. Oprócz Dominiki Lasoty. Ona wokół takiej wizji przyszłości buduje koalicje, sojusze; rozmawia, pyta i żąda.

„W świecie tak ponurym to, że decydujemy się dbać o drugiego człowieka, przekuwać nasze wartości w działanie, jasno i otwarcie mówić: »Tak, tego właśnie żądam. I nie ustąpię, dopóki komuś jeszcze dzieje się krzywda«, to nasze największe osiągnięcie. Z każdym dniem, kiedy wstajemy i decydujemy się spróbować raz jeszcze, wygrywamy z systemem, który chciałby mieć do dyspozycji tylko zobojętnionych, biernych i pozbawionych energii ludzi. Zamiast marazmu i beznadziei wybieramy nasze człowieczeństwo, a to skazuje obecny system – wraz z całą jego świtą dziaderskich polityków i żenujących biznesmenów – na nieuchronny koniec".

„Socjalizm albo barbarzyństwo", pisała Róża Luksemburg. Wciąż mamy wybór. Dziękuję, Dominiko, i nie zatrzymuj się, nie stać nas na to. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ffe8783b81

REWOLUCJA AMBICJI
JAK ZMIENIA SIĘ POLSKA?

Jakub Dymek

(…) O ile wybory parlamentarne i prezydenckie w 2015 r. naprawdę wpisały się w spór o zakończenie transformacji i wejście w nową epokę, o tyle używanie tej samej optyki do oceny wyborów w 2025 r. wymazuje oczywisty fakt: Polska już się z transformacją rozliczyła i poszła dalej. Jak odnotował autor książki „Transnaród" Jacek Sokołowski, w ciągu dwóch kadencji PiS „wypalił się zasadniczy podział, wokół którego organizowała się polska polityka, czyli na beneficjentów i malkontentów transformacji. Ci drudzy zostali dowartościowani, zarówno symbolicznie (tym można tłumaczyć np. inwazję disco polo w telewizji Kurskiego), jak i materialnie. A kiedy się wzbogacili i kiedy się zorientowali, że nie są wcale gorsi niż ci w miastach, zaczęli zbliżać się do nich także w kwestii wzorców kulturowych". (…)

Kolejne wydarzenia po 2022 r. – pandemia, wojna, inflacja – pokazały z kolei bardzo realne zagrożenia dla nowo odkrytych rozkoszy konsumpcji i powiększających się dochodów. Marcin Duma twierdził dalej: „Jest w nas zaszyty lęk o rodzinę, o portfel, o miejsce pracy, o to, czy będziemy mogli sobie pozwolić na zagraniczne wakacje i polecieć tam samolotem. Jesteśmy w innym miejscu niż kiedyś, więc martwimy się o to, byśmy nie stanęli w miejscu. Skoro już dogoniliśmy świat, to ciśnijmy dalej (…). Niemniej najważniejsze jest to, że tak jak kiedyś Polską rządził podział na ludzi, którzy po 1989 r. zyskali na transformacji, i tych, którzy stracili – tak dzisiaj rysuje się nam podział na tych, którzy wyszli zwycięsko z tej walki pandemiczno-inflacyjnej oraz tych, którzy nie mają takiego poczucia. Podział na Polskę liberalną i Polskę solidarną już nie organizuje nam życia".

Kwestią o rosnącym znaczeniu politycznym są aspiracje i możliwość ich realizowania. Zarówno na poziomie indywidualnym – chcemy dużo kupować, cieszyć się życiem i nie bać się o jutro – ale i w niemniejszym stopniu na poziomie państwowym. Dziś chcemy widzieć napawające nas dumą sukcesy i wysokie aspiracje polityków, których wybieramy. To by tłumaczyło, dlaczego Karol Nawrocki jako człowiek wielkiego społecznego awansu reprezentuje sobą bardzo pociągający archetyp i budzi sympatię milionów Polaków. Ale to niejedyna rzecz, jaka różni wybory z 2023 i 2025 r. od tych z, dajmy na to, 2005 i 2015. Starcie ofiar i wygranych transformacji ustąpiło innym podziałom.

•

Jeśli był jakiś jeden motyw przewodni, który dałoby się wyczytać z ostatniej kampanii prezydenckiej, to byłby nim (oprócz aspiracji) temat ochrony majątku czy dobrobytu. Doskonale wpisywał się on w nakreślony przez Marcina Dumę emocjonalny podział. Mamy tych, którzy czują się spokojni albo uważają, że nie mają wiele do zaryzykowania, i tych, którzy już stracili i boją się, że mogą stracić więcej. Łączy ich jednak wspólna potrzeba: ochrony własnego dorobku. Kandydaci obiecywali więc, że tym, co już mają, nie zostanie zabrane. Masz kryptowaluty? Nikt ci ich nie opodatkuje ani nie ureguluje. Masz dom albo kilka mieszkań? Wprowadzimy konstytucyjną blokadę przed podatkiem katastralnym. Boisz się, że zarabiasz za dużo i wpadniesz w kolejny próg podatkowy? Podniesiemy poprzeczkę tego progu. Masz majątek i chcesz przekazać go bliskim? Będziesz miał fundację rodzinną i dziedziczenie bez podatku. Lubisz jeździć samochodem spalinowym, jeść mięso i latać na wakacje? Zadbamy, aby żadne klimatyczne regulacje nie kazały ci z tego rezygnować. Trzymasz oszczędności w akcjach i czerpiesz zyski kapitałowe? I tu zniesiemy podatek. Prowadzisz działalność gospodarczą? Obniżymy składkę zdrowotną. A na koniec zabierzemy socjal Ukraińcom.

Kluczowym momentem przed drugą turą wyborców było pielgrzymowanie obu kandydatów głównych sił do Sławomira Mentzena, lidera rynkowej i wywodzącej się z libertariańskiego „korwinizmu" partii Nowa Nadzieja, i podpisywanie „deklaracji toruńskiej". W dokumencie tym, który ostatecznie Karol Nawrocki podpisał, a Rafał Trzaskowski nie, kandydaci zobowiązywali się nie podnosić Polakom podatków ani nie nakładać na nich żadnych obciążeń, nie ograniczać prawa do broni ani posługiwania się gotówką oraz nie popierać planów wysłania polskich żołnierzy na Ukrainę i dołączenia przez Ukrainę do NATO. Czyli także, w tym ostatnim punkcie, musieli opowiedzieć się przeciwko ryzyku, że ktoś coś Polakom zabierze albo zmusi do podzielenia się (bezpieczeństwem, wspólnym rynkiem UE i zobowiązaniami sojuszniczymi) z innymi.

Od poprzednich wyborów zaszła wielka zmiana. Język kampanii politycznych w Polsce to już nie retoryka „państwa na dorobku", gdzie mówi się obywatelom o przyszłości, w której będą mogli pozwolić sobie na więcej, a ich dzieci zaznają lepszego życia. Odwrotnie. To retoryka kampanii w państwie sytych ludzi, którzy raczej boją się o to, że ktoś uszczupli ich majątek albo będzie domagał się podzielenia dobrobytem. Pomyślmy o tym tak: polscy

eprasa.pl ffe8783b81

politycy adresują dziś do społeczeństwa obietnice i slogany nieróżne od tego, co swego czasu mówili rodakom politycy holenderscy, francuscy, niemieccy i brytyjscy. Ironia polega również na tym, że obecnie polscy politycy w kampaniach opowiadają wyborcom to samo o Ukrainie, co 20 czy 25 lat temu politycy krajów Europy Zachodniej opowiadali o Polsce i Polakach: że nie pozwolą, by nowe kraje UE pasły się ich kosztem, że wpuszczą tylko pracowitych migrantów i nikt nie zmusi ich do dokładania się do cudzych portfeli. Możecie być spokojni – nie tylko wam nie zabierzemy, ale i nie pozwolimy nikomu innemu wam zabrać. Będą niższe podatki, będziemy chronić wartość waszych nieruchomości (i funduszy emerytalnych), zadbamy o to, by migranci i biedniejsze państwa nie żyli na nasz koszt (to Karol Nawrocki w sprawie Ukrainy mówił zresztą wprost). Wszystkie liczące się przekazy tych wyborów da się sprowadzić do zaklęć, że Polacy „mają prawo mieć" i „nikt nie ma prawa im zabrać". Problemy pierwszego świata. Czy w świetle tego można upierać się, że w sporze Nawrockiego i Trzaskowskiego chodziło o interesy „polskich wykluczonych", „ofiar transformacji" i „skrzywdzonego ludu"? Lud, jeśli w ogóle jest podmiotem tak sformułowanej polityki, występuje jako bierny uczestnik sporów i pasażer w dyskursie obaw o ograniczenie majętności zamożnych. Co do zasady wolałby, żeby UE nie ograbiała Polaków z samochodów i nie zakazywała jedzenia kotletów – o czym mówiły PiS i Konfederacja. Ale postulaty z „kontraktów podatkowych" i „deklaracji toruńskich" nie dotyczą go najczęściej wcale.

Bądźmy szczerzy: to nie są obietnice, które można kierować do niezamożnych ludzi, mieszkających w wynajmowanych mieszkaniach, ciułających dopiero na pierwszy kredyt albo marzących o tym, by wyrwać się z zadupia. To nie są zmartwienia dzisiejszego ludu pracującego, czyli polskich *working poor*, którzy muszą łączyć dochód dwóch dorosłych bez dzieci w gospodarstwie domowym, a i tak sobie nie radzą. To nie jest język potrzeb młodych ludzi rezygnujących z dzieci – a nawet z jakichkolwiek relacji – bo życie towarzyskie i społeczne inne niż on-line jest dla nich za drogie. Tematy unijnych regulacji krępujących rozwój biznesu, podatki od kilku nieruchomości czy koszt wdrażania systemów ETS (Europejski System Handlu Emisjami) i podatek węglowy (CBAM), a nawet konsekwencje Mercosur i koszt składki NFZ po Polskim Ładzie także nie są zmartwieniami wykluczonych mieszkańców prowincji i klepiących biedę emerytów albo pracowników sektora publicznego.

Wybory prezydenckie w 2025 r. nie były sporem o 800+, o emerytury, płace minimalne i dziedzictwo transformacji. Z trudem można by w retoryce polityków w odnaleźć ofertę dla ludu.

W kampanii w 2025 r. wszystkim kandydatom – z wyjątkiem Adriana Zandberga i Magdaleny Biejat – chodziło o to samo: byśmy płacili mniejsze składki, kupowali kolejne mieszkania i wprowadzali coraz dalej idące ulgi oraz regulacje korzystne dla rodzimych przedsiębiorców. W odróżnieniu od wyborów w 2015 i 2019 r. nie mieliśmy więc starcia dwóch modeli społecznych. Chyba że spór o to, jak wyważyć preferencje między kapitalizmem dla klasy drobnych przedsiębiorców i klasy rentierów.

Jeśli zaś rzeczywiście w wyborach tych obecna była prowincja, to raczej o takim obliczu, o jakim mówił doktor Marcin Kędzierski z Polskiej Sieci Ekonomii, gdy przypominał, że „polski swing-state to przedsiębiorca spoza wielkich ośrodków". Bo polska prowincja nie jest już morzem nędzy, zacofania i zgryzoty, jak sądzi niemało zawodowych analityków życia publicznego, którzy rzadko opuszczają stolicę. W ciągu 10 lat wiele się w tej kwestii zmieniło. Polityka transferów pomogła ograniczyć biedę, a stały rozwój gospodarczy i rosnące znaczenie przemysłu stworzyły wiele fortun. Struktura społeczna wsi zmienia się przez migrujących do niej mieszczuchów, którzy przywożą swój model życia i wartości. Ale także majątek, działalność gospodarczą oraz zapotrzebowanie na nowe usługi – od edukacji po gastronomię.

Naszkicowany grubą kreską bilans zmian w ostatniej dekadzie wygląda mniej więcej tak: metropolie zostały tam, gdzie są – przodują tak pod względem dostępnych usług i dobrych miejsc pracy, jak nierówności i – bywa – niemożliwie wysokich kosztów życia. Średnie miasta tracą młodych mieszkańców, usługi publiczne i dobrej jakości miejsca pracy. Relatywnie najwięcej zyskuje wieś i prowincja, gdzie wpływ transferów społecznych i podwyżek jest nieproporcjonalnie większy, koszty mieszkania i utrzymania są niższe, a rozwój przemysłu i lokalnych biznesów daje więcej możliwości pracy niż tylko w rolnictwie lub kiepsko płatnym sektorze administracji samorządowej. Co nie znaczy, że prowincja staje się rajem do życia, ani że jest jednorodna! Ale na pewno są tam już wyspy zamożności, coraz bardziej „średnioklasowy" wyborca i konsument. Oraz nienasycony głód awansu, wspinania się wyżej i żywa obawa przed szybką utratą świeżo co pozyskanego statusu.



Fragment książki Jakuba Dymka *Rewolucja ambicji. Jak zmienia się Polska*, Wydawnictwo Port, Warszawa 2026

eprasa.pl ffe8783b81

STRACONE POKOLENIE?

Francuski system edukacji wyższej ponosi właśnie sromotną klęskę



Planowane 40-miliardowe cięcia w budżecie na bieżący rok, których skutki odczuje rynek pracy, wyprowadziły młodych na ulice. Paryż, 18 września 2025 r.

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

W 2025 r. we Francji ponad 20% osób poniżej 24. roku życia poszukiwało pracy – to najwyższy taki wskaźnik w całej Unii Europejskiej. A jeśli wziąć pod uwagę także ukryte bezrobocie, może on przekraczać 25%. Według oficjalnych informacji obecnie aż 21,5% aktywnych zawodowo młodych ludzi poszukuje pracy. W ostatnim kwartale 2025 r. odsetek bezrobocia w tej grupie wzrósł o 2,4 pkt proc. – znacząco w stosunku do ogólnego poziomu bezrobocia, które w tym samym okresie zwiększyło się jedynie o 0,2 pkt proc., osiągając w całym kraju 7,9%. Oznacza to, że pod koniec ubiegłego roku 742 tys. młodych ludzi pozostawało poza rynkiem pracy – o 126 tys. więcej niż rok wcześniej. Sytuacja z roku na rok się pogarsza – młodzi Francuzi, nawet po najlepszych uniwersytetach, nie mają perspektyw na pracę. W oczywisty sposób przekłada się to na nastroje społeczne i wzrost poparcia dla najbardziej skrajnych ugrupowań politycznych.

Upadły mit merytokracji

Problem bezrobocia młodych od lat pozostaje jednym z najbardziej palących wyzwań społecznych we Francji. Skala trudności, z jakimi mierzy się pokolenie wchodzące na rynek pracy, jest ogromna. Głównym tego powodem jest niepowodzenie

FOT. NUR PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl ffe8783b81

systemu merytokracji, oznaczającej w założeniach republikański model społeczeństwa, w którym pozycja i sukces jednostki powinny zależeć od talentu, pracy i osiągnięć, a nie od pochodzenia czy majątku rodzinnego.

Cały francuski system oparty na *grandes écoles*, wielkich szkołach, takich jak Sciences Po (druga najlepsza uczelnia po Harvardzie), HEC Paris (prestiżowa szkoła handlowa) czy ENS (kształcącej przyszłych naukowców, badaczy, wyższą kadrę urzędniczą), oraz na wymagających konkursach republikańskich, przeprowadzanych na stanowiska w administracji publicznej, szkolnictwie czy innych działach sfery budżetowej, podsumowuje problemy, z którymi mierzy się jego pokolenie: „Mamy do czynienia z upowszechnieniem dyplomów wielkich szkół, na niespotykaną skalę – przeszliśmy z wydawania kilkuset dyplomów rocznie do kilku, kilkunastu tysięcy – w finansach, inżynierii itd. Tymczasem miejsc pracy ubywa, a my mierzymy się z najgorszym od 30 lat kryzysem budżetowym".

Marc wyjaśnia, że od kiedy zaczął poszukiwanie pracy, wysłał prawie 300 zgłoszeń. Jedynie na ok. 4% otrzymał odpowiedź umożliwiającą udział w rozmowie kwalifikacyjnej. W biurze pośrednictwa pracy (France Travail) spotkał się z niezrozumieniem i bezradnością – wśród urzędników o które absolwenci tych szkół mogli się ubiegać jeszcze kilka lat temu", w opinii Marca problem wykracza poza jego osobiste doświadczenia. Oznacza złamanie niepisanej umowy, na której opierała się francuska merytokracja edukacyjna.

Wielkie szkoły nadal obiecują wyróżnienie i prestiż, ale przestały gwarantować szybki dostęp do stabilnego i dobrze płatnego zatrudnienia. W niektórych sektorach sytuacja staje się paradoksalna: bardzo dobrze wykształcony młody człowiek może mieć za wysokie kwalifikacje na jedno stanowisko, a jednocześnie za małe doświadczenie na drugie – i pozostaje zawieszony w zawodowej próżni.

Tak właśnie tworzy się prekariat, czyli nowa klasa społeczna, charakteryzująca się brakiem stabilizacji zawodowej i ekonomicznej, funkcjonująca w warunkach stałej niepewności egzystencjalnej. Skupia osoby zatrudnione na umowach tymczasowych, śmieciowych, pracujące na czarno lub samozatrudnione, pozbawione przywilejów pracowniczych i zabezpieczeń socjalnych. Wielu młodym, do 30. roku życia, umowa o pracę wydaje się nierealnym marzeniem.

W 2025 r. we Francji ponad 20% osób poniżej 24. roku życia poszukiwało pracy – to najwyższy taki wskaźnik w całej Unii.

poniósł klęskę. Młodzi ludzie, którym udało się dostać na najlepsze uczelnie, byli i są karmieni wizją prestiżowej pracy po ukończeniu studiów. Merytokracja ma być dowodem na to, że wszystko jest możliwe – dla tych, którzy „odpowiednio się postarają" i „wykorzystają swoje szanse".

Jednak narracja ta pomija wpływ pochodzenia na rozwój kariery i staje się narzędziem budowania poczucia winy – sugeruje bowiem, że brak sukcesu wynika przede wszystkim z niewystarczającego wysiłku jednostki, nie zaś z nierówności społecznych czy problematycznego rynku pracy. System, udając, że nagradza zasługi, w praktyce karze tych, którzy od początku mieli najmniejsze szanse. Oto dlaczego ten mit się rozpada.

Bezrobotni po Sciences Po

Nie chodzi tu jednak tylko o „dobre urodzenie" czy inny rodzaj uprzywilejowania – obecnie nawet młodzi wywodzący się z zamożnych rodzin nie są w stanie znaleźć zatrudnienia. Problemem jest ogólna inflacja akademicka i umasowienie studiów, przy jednoczesnej deprecjacji i degradacji szkolnictwa zawodowego.

Marc, świeży absolwent kierunku finansowego na Sciences Po, tak niższego szczebla pokutuje bowiem przekonanie, że Sciences Po jest uczelnią prezydentów i premierów, której dyplom wyklucza bycie bezrobotnym. Jednak, jak przyznaje Marc, rozpoczęty proces rekrutacyjny daje spore szanse na otrzymanie oferty pracy. Według niego mniej więcej co druga rozmowa może się zakończyć sukcesem, ale dzieje się to kosztem długich i wyczerpujących procedur. Rekrutacje trwają często nawet dwa miesiące i obejmują od trzech do pięciu i więcej etapów rozmów – nawet na stanowiska juniorskie czy pierwszego szczebla.

Nie mając perspektyw na życiową stabilność, młodzi ludzie stają się dorosłymi dziećmi swoich rodziców.

„To nie jest rzeczywistość, którą nam obiecywano. Sprzedawano nam wizję, według której *grande école* automatycznie otwiera drogę do kariery, szybkiego wejścia na rynek pracy i prestiżowych stanowisk. A dziś nawet z dyplomem renomowanej uczelni trzeba walczyć o samą rozmowę kwalifikacyjną, a potem godzić się na bardzo długie i niezwykle selektywne procesy – nieraz po to, by otrzymać stanowisko znacznie niższe od tych,

Dorosłe dzieci francuskiej gospodarki

We Francji młody człowiek wchodzący na rynek pracy ma przed sobą trzy możliwości: może być zatrudniony jako stażysta/praktykant (w zależności od pracodawcy pensja wynosi poniżej połowy płacy minimalnej, która w 2026 r. wzrosła do 1477,93 euro netto), może być zatrudniony na umowie na czas określony (*contrat à durée déterminée*, CDD) albo pracować na zasadzie tzw. *vacations*, które można porównać do polskiej umowy-zlecenia, za najniższą krajową (SMIC). Ta sytuacja nie wynika wyłącznie ze spowolnienia gospodarczego. Francuski system zatrudnienia jest oparty na przestarzałych,

eprasa.pl ffe8783b81

nieelastycznych modelach, brakuje w nim pokoleniowej zmiany kadrowej, a młodzi siłą rzeczy są często skazani na niestabilne umowy czasowe, przede wszystkim niekończące się staże.

Konsekwencje takiego stanu rzeczy wykraczają daleko poza ekonomię. Brak stabilności zawodowej przekłada się na opóźnione decyzje życiowe, frustrację społeczną i rosnącą podatność na radykalizm polityczny. W wyborach parlamentarnych w 2024 r. 41% młodych zagłosowało na koalicję partii lewicowych Nowy Front Ludowy („Le Parisien étudiant", „Pour quel parti les jeunes ont-ils voté au premier tour des législatives?", lipiec 2024). W programie partii czytamy, że „wspólnota powinna interweniować i umożliwić każdemu pracę, która jest społecznie potrzebna. Dlatego każdej osobie długotrwale bezrobotnej zostanie zaproponowane zatrudnienie związane z transformacją ekologiczną lub działalnością społeczną, w sektorach uznawanych za priorytetowe, zgodnie z jej kwalifikacjami i na zasadzie dobrowolności".

Przekazanie państwu kompetencji w zakresie zatrudnienia wydaje się racjonalnym rozwiązaniem. Zwłaszcza wobec nadużyć sektora prywatnego, który promuje długookresowe, wielokrotne staże dla młodych w celu zmniejszenia kosztów zatrudnienia i większej monopolizacji kapitału, a z drugiej strony wobec skostniałych instytucji publicznych i obowiązującego w nich przestarzałego systemu zatrudniania, pochodzącego często jeszcze z czasów napoleońskich.

Młodych ludzi zwyczajnie nie stać na chleb. Jedna trzecia studentów np. pomija przynajmniej jeden posiłek w ciągu dnia ze względu na ubóstwo (Brut, „Par manque d'argent, un tiers des étudiants sautent des repas", 17 listopada 2025). Są zdani na rodziców i skazani na osąd starszych pokoleń, które, przyzwyczajone do warunków powojennego wzrostu gospodarczego, nie potrafią się postawić na ich miejscu.

Naturalną tego konsekwencją jest nasilający się niż demograficzny (pomimo względnego wyżu w środowiskach imigranckich). Nie mając perspektyw na zatrudnienie ani na życiową stabilność, młodzi ludzie stają się dorosłymi dziećmi swoich rodziców. Mimo to prezydent Emmanuel Macron wciąż mówi o „zbrojeniu demograficznym kraju" (*réarmement démographique*) – każdy 29-letni obywatel Francji ma dostać list na temat potrzeby prokreacji. Rząd, zamiast inwestować w tworzenie nowych miejsc pracy, inwestuje w rozwój biurokracji.

Niebezpieczne analogie

25-procentowe bezrobocie i radykalizacja nastrojów politycznych przypominają sytuację w Europie sprzed 100 lat. Co prawda, nie wydarzył się kryzys na skalę tego z 1929 r., jednak połączenie pandemii koronawirusa z wojną w Ukrainie miało skutki podobne do tych z lat 30. ubiegłego stulecia – przede wszystkim chaos na rynku pracy. Do dalszych problemów może prowadzić rozwój sztucznej inteligencji i jej zastosowanie w administracji i finansach. Przy braku regulacji w tym zakresie znaczna część pracy biurowej może zostać zautomatyzowana, a to sprawi, że bezrobocie nie będzie już dotyczyć wyłącznie młodych, lecz obejmie ogół społeczeństwa.

Podobieństw do realiów lat 30. w Niemczech jest więcej. Francuscy biznesmeni coraz bardziej zbliżają się do skrajnej prawicy. Przykładem jest Vincent Bolloré i jego imperium medialne: od mniej więcej 2015 r. miliarder stopniowo wykupuje różnorakie media, których przesłanie nasyca retoryka skrajnej prawicy.

Obecnie nawet młodzi Francuzi z zamożnych rodzin nie są w stanie znaleźć zatrudnienia.

Coraz bardziej demonizuje się też „skrajną lewicę". Od 2002 r., czyli od dojścia Jeana-Marie Le Pena do drugiej tury wyborów prezydenckich, przyjęła się zasada jednoczenia się wszystkich partii przeciwko skrajnej prawicy. Dzisiaj to nie przed skrajną prawicą przestrzega mainstream, lecz przed szeroko pojętą lewicą: oś sprzeciwu przesuwa się właśnie w jej stronę. Coraz częściej mówi się o tym, że „front republikański" (*barrage républicain*) w kolejnych wyborach zjednoczy się przeciwko lewicowemu Nowemu Frontowi Ludowemu.

Podobnie jak niegdyś demonizowano komunizm, teraz demonizuje się szeroko pojętą lewicę – najwięksi kapitaliści nigdy bowiem nie zgodzą się na sprawiedliwą redystrybucję dóbr. Największą ofiarą może okazać się najmłodsze pokolenie, którego czas studiów naznaczony został lockdownem i widmem konfliktu światowego, a wejście na rynek pracy – rozwojem sztucznej inteligencji.

Sarah Bomba



eprasa.pl ffe8783b81

KURTYNA W GÓRĘ

Obłęd zbiorowy

Anna Augustynowicz wystawiła w Toruniu „Klątwę" według Wyspiańskiego. Powstał spektakl duszny, mroczny i niepokojący. Charakterystyczną dla teatru Augustynowicz monochromatyczną scenografię oraz kostiumy uzupełnia sugestywna ścieżka dźwiękowa (Jan Marek Kamiński) potęgująca klaustrofobiczny nastrój wiejskiego mikrokosmosu. To świat nędzy, uprzedzeń i guseł, rozpięty między sankcją religijną a wierzeniami pogańskimi, wydany na pastwę kapryśnej natury. Zamieszkująca go wspólnota, dotknięta klęską nieurodzaju, nie jest w stanie zmierzyć się z rzeczywistością inaczej niż poprzez podsycany myśleniem magicznym mechanizm kozła ofiarnego. W tym świecie nie ma miejsca na czułość, empatię, odkupienie. Ale, choć przyglądamy się przede wszystkim wewnętrznym rozterkom Plebana (Arkadiusz Walesiak), ofiarą tej patriarchalnej, pierwotnej wspólnoty i jej rytuałów pada ostatecznie wiejska dziewczyna, gosposia i partnerka księdza, matka jego dzieci (Julia Szczepańska). Choć oboje próbują rzucić wyzwanie nieludzkiemu porządkowi, to ona ponosi karę okrutniejszą.

W prezentowanym w ramach 30. edycji Festiwalu Kontakt spektaklu Augustynowicz odmalowuje świat, którym rządzi obłędna, niszczycielska i nieludzka religia, zarówno ta pierwotna, jak i ta zorganizowana – zdawać by się mogło bardziej oświecona. Obie bowiem, oparte na strachu, instrumentalizując pojęcie winy i grzechu, są z natury antyludzkie. Nie jest to może konstatacja odkrywcza, ale zawsze warta przypomnienia.

Michał Centkowski



Stanisław Wyspiański, „Klątwa", reżyseria Anna Augustynowicz, Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu, premiera 29 listopada 2025

MIĘDZY OKŁADKAMI

Maciej Wilczek

Splątanie i inne opowiadania

Dom Wydawniczy Margrafsen, Bydgoszcz 2026



Po wydaniu czterech tomów „chmurnej" serii, zapoczątkowanej książką „Na chmurze ujrzeć cień wędrowca", Maciej Wilczek opublikował dwuczęściowy zbiór opowiadań. Pierwsza część to współczesne spojrzenie na chmurną i nieraz durną młodość we Wrocławiu, gdzie się wychował, druga – to reminiscencje podróżnicze, bo autor miesiącami włóczył się po świecie, nie tyle poznając atrakcje innych krajów, ile zaglądając w duszę człowieka, przede wszystkim swoją. O ile w części wrocławskiej, z odskocznią do Olsztyna, gdzie spędzał wakacje u dziadka, pisarza Henryka Panasa, wraca do wspomnień o kumplach, którzy wyszli na ludzi albo stali się narkomanami lub zapili na śmierć, o tyle w części wędrownej mierzy się z zagrożeniami dzisiejszego świata. Uspokaja jednak, że nie ma czego się bać, bo na zgliszczach jednej kultury powstają nowe cywilizacje. Mierzy się także z bohaterami ulubionych filmów i autorami swoich lektur, Garym Cooperem, Hemingwayem czy Cervantesem, z którymi Michał, jego alter ego, prowadzi dysputy egzystencjalne. Zwykle na temat splątanej wizji świata i człowieka.

Marek Książek



„Wiedeńska krew" ma kolor liliowy

Pod Wawelem odżyła operetka. Tym razem za sprawą „Wiedeńskiej krwi". Z pewnością godnej obejrzenia, chociaż może w warstwie tekstowej warto by ją nieco uwspółcześnić. Musi też zastanawiać zasadność wprowadzenia „Marsza Radetzkiego" (kompozycji ojca kompozytora) jako swoistego preludium. Ale być może miał on nadać tempo od samego początku.

Inscenizacja jest niezwykle udana, przede wszystkim w sferze wizualnej. Dominujący (scenografia i kostiumy) liliowy kolor w wielu odcieniach przykuwa i raduje oko. A co raduje słuch? Nie tylko hitowy walc. Poza umiejętnościami wokalnymi odtwórcy głównych ról prezentują talent aktorski, a nawet baletowy – świetna Zuzanna Caban jako Pepi zatańczyła z baletem, dając popis na puentach. Małgorzata Trojanowska jako Gabrielle umiejętnie zagrała prawdziwą damę, gdy trzeba – zalotną i przebiegłą. Humoru dodają Michał Kutnik („Jestem ministrem, nie muszę więc pracować") i Jarosław Bielecki (służący Josef), który mimo roli drugoplanowej zdecydowanie się wyróżnia. Chór, jak zwykle wykazujący się kunsztem wokalnym, ruszył także do walca. Z dużym wdziękiem.

Paweł Dybicz

Johann Strauss II, „Wiedeńska krew", reżyseria, choreografia, reżyseria światła Giorgio Madia, kierownictwo muzyczne Jacek Boniecki, Opera Krakowska, premiera 22 maja 2026

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. WOJTEK SZABELSKI, OPERA KRAKOWSKA, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ffe8783b81



Maja Chwalińska serwuje w meczu z Mirrą Andriejewą. Paryż, 6 czerwca 2026 r.

Paryska baśń Mai Chwalińskiej

Tak się już nie gra w tenisa?

Wojciech Kuczok

To objawienie, iluminacja, fenomen – Maja Chwalińska podbiła świat sportu. Majomania zaczęła się w maju, jakżeby inaczej, ale pełną skalę osiągnęła z początkiem czerwca, kiedy już wszyscy chcieli osobiście przeżywać tenisową baśń o Kopciuszku. Dokonała się jedna z największych sensacji w historii polskiego sportu, jeden z najbardziej niezwykłych scenariuszy Wielkiego Szlema, a wszystko to za sprawą 24-latki z bielskiego klubu tenisowego.

Bielsko-Biała, celebrująca w tym roku status Polskiej Stolicy Kultury, za sprawą nieoczekiwanych eksplozji talentów Kacpra Tomasiaka na igrzyskach zimowych i Mai Chwalińskiej na kortach im. Rolanda Garrosa stała się prawdziwą stolicą polskiego sportu. Finał z Mirrą Andriejewą osiągnął w Polsce rekordową oglądalność, żaden z wielkoszlemowych finałów Igi, zresztą wszystkich zwycięskich, nie miał takiej widowni. To nie było nawet wyjście z cienia sławniejszej koleżanki, Chwalińska w Paryżu wychynęła z katakumb – aby zagrać w turnieju, musiała przejść trzyetapowe eliminacje, zaczynała szlema jako kwalifikantka z drugiej setki rankingu WTA.

Przez lata zmagała się z depresją, ale to „zawodowa" choroba perfekcjonistów. Chwalińska mówi, że rzadko bywa z siebie zadowolona w stu procentach. Zapytana o przyczyny nagłej eksplozji formy powołała się na 18 lat wysiłku, cierpliwości i wytrwałości. „Po prostu wreszcie kliknęło. Poziom mojego tenisa nie był tu jakiś nadzwyczajny w porównaniu z tym, co prezentowałam do tej pory. Bardziej wzrosła moja pewność siebie".

Droga do finału wiodła przez ograniе mistrzyni olimpijskiej Zheng Qinwen (zdobyła medal właśnie na paryskich kortach), której Polka w drugim secie zafundowała bajgla (6:0), pokonanie doświadczonej Belgijki Elise Mertens (także drugi set do zera!), wyjście z kryzysu w meczu przeciw Greczynce Marii Sakkari (wygrana pomimo fatalnego początku – Maja przegrywała już 1:6, 1:2), pokonanie ulubienicy gospodarzy Diane Parry, doprowadzenie do frustracji primadonny Anny Kalinskiej (po porażce obszczekiwała Polkę, że ta umie grać tylko na mączce) i wygraną z Dianą Sznajder.

Chwalińska na turnieju grała przez 17 godzin i 6 minut!

Tej bajki nie sposób było przewidzieć, sama Chwalińska nie była na nią przygotowana. Kolejne zwycięstwa powodowały, że pobyt się przedłużał, w pewnym momencie nie miała nawet pieniędzy na noclegi, na szczęście sponsor wykazał się refleksem i zapłacił. Jej rodzice żywili się przez trzy tygodnie tylko pizzą, bo kiedy ją zjedli przed pierwszym zwycięstwem Mai, uznali, że to dobry omen.

„Trudno się z tobą gra, dlatego że nie umiesz grać", mówiła mi pewna

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ffe8783b81

emerytowana tenisistka, kiedy wywalała piłkę w aut po moich nieintencjonalnych top spinach. Powziąłem bowiem niegdyś postanowienie, by trzeciej żonie, swego czasu pierwszej juniorskiej rakiecie Mazowsza, urwać na korcie choć seta. Jak się do czegoś zabieram, to zajadle, więc i nauki tenisowe pobierałem zawzięcie i niecierpliwie, a jako odwieczny debeciak pobierałem je darmowo, młócąc rakietą o murek albo grając z kim popadnie i licząc na to, że sam się nauczę czegoś na własnych błędach.

Efekt był pokraczny – zdarzało mi się wygrywać pojedyncze gemy z ogranymi amatorami lub dawnymi zawodowcami właśnie z powodu nieumiejętności gry. Odbijałem bowiem bez planu, przypadkowo i źle technicznie, wskutek czego piłka czasem dostawała przedziwnej rotacji i zaskakiwała przeciwnika. „Tak się nie gra w tenisa", karcono mnie podówczas, prędko też chętni do zabawy mi się skończyli, bo zamiast długich rekreacyjnych wymian byli ze mną zmuszeni reagować na niepoczytalne kiksy. Żonę w końcu ograłem sposobem – w przeddzień podsunąłem jej bardzo treściwą whisky z Islay i nazajutrz w sparingu ze mną zaliczyła rekordowo dużo podwójnych błędów serwisowych.

Przywołuję te wspomnienia, bo podczas meczów Chwalińskiej częstokroć słyszałem od komentatorów, że rywalki nie wiedzą, co się dzieje, bo tak się dzisiaj nie gra w tenisa. Top spiny, skróty, loby, slice'y, świece na koniec kortu, arytmia gry – to wszystko sprawia, że trudno przeczytać grę Polki, przewidzieć jej ruch.

Chwalińska podbiła świat, grając tenis uwodzicielski, przeciwstawiając subtelną technikę grze siłowej, coraz bardziej upodabniającej się do tego, co widzimy w zawodach panów. Paradoks jej wspaniałej gry określiłbym jako niepoczytalność kontrolowaną, na podobieństwo metody kompozytorskiej Witolda Lutosławskiego, którą zwano aleatoryzmem kontrolowanym. Chodzi o wprowadzenie elementu swobody i przypadkowości (luz wykonawczy), a jednocześnie zachowanie kontroli nad przebiegiem gry i harmonią. Przy takiej postawie trudno się dziwić, że to do Polki częściej uśmiechało się szczęście, to po jej zagraniach piłka tańczyła na siatce i spadała na drugą stronę.

Chwalińska startowała od kwalifikacji, zagrała zatem trzy mecze więcej od rywalek i, co najdziwniejsze, aż do finału wcale nie było widać po niej zmęczenia. To ona wygrywała najdłuższe wymiany w meczu z Anną Kalinską, kiedy Rosjanka już po prostu nie miała siły, żeby odpowiednio reagować na piłki zagrywane przez Polkę. Niesamowite zagrania prowokujące przeciwniczki do błędów, fantastyczna gibkość i szybkość poruszania się po korcie – z moją wyuczoną piłkarską terminologią pisałbym o „sztuczkach technicznych" albo tenisowym dryblingu, kiedy Maja tak podkręcała piłki, że rywalki nie były w stanie ich odbić albo robiły to nieskutecznie. Wszystkie niby wiedziały, na co się przygotować, ale przy Mai traciły rezon, rozum i moc, ona je przeganiała po korcie i obezwładniała.

Andre Agassi nazwał Maję „darem dla tego sportu".

Dopiero Mirra Andriejewa, najlepsza obecnie tenisistka świata na kortach ziemnych, odrobiła lekcję, „nauczyła się Mai" i pokonała Polkę. Być może w końcu pojawiło się zmęczenie po trzech tygodniach w Paryżu i łącznie kilkunastu godzinach gry (w sumie Chwalińska na turnieju grała przez 17 godzin i 6 minut!).

Przy stanie 3:2 dla naszej zawodniczki mogło jeszcze się wydawać, że ustrzeli „ruskiego hat tricka", pokonując kolejno trzy Rosjanki (skądinąd fakt, że gracze z krajów koalicji putlerowskiej nie są automatycznie wykluczeni ze startów, jak to ma miejsce w innych dyscyplinach sportu, jest skandalem i nie pozwala mi emocjonować się tenisem bez absmaku). Ale już wtedy można było zauważyć zasadniczą różnicę: kamienna twarz zimnej egzekutorki, owa „baby killer face", z którą ogrywała kolejne rywalki, w finale się ożywiła, było z niej można czytać emocje, Maja śmiała się z własnych błędów, uwolniła mimikę. To mogło jednak oznaczać wewnętrzną wojnę nerwów o skali nie do opanowania – być może z tej przyczyny Chwalińska przegrała 10 kolejnych gemów i wróciła do walki przy stanie 3:6, 0:5, kiedy było już pozamiatane.

Ale ten finał to i tak był rekord świata – Polka wykonała skok z drugiej setki na 21. miejsce rankingu WTA. Do tego wyniku przyczyniło się jej najbliższe otoczenie, nietracące wiary w zawodniczkę. Od sześciu lat trenuje ją Czech Jaroslav Machovsky, zachwyca się różnorodnością gry, ale także osobowością Chwalińskiej, tym, że „ona nikogo nie udaje". Ta naturalność i skromność podbiły serca kibiców tenisa – nie tylko Polaków (którzy wciąż uczą się obyczajów tenisowych – na kortach dopingują w stylu stadionowym, przez co często muszą być uciszani przez sędziów), ale i gospodarzy. Wojciech Fibak twierdzi, że w ciągu pół wieku bywania na French Open nie widział takiej owacji.

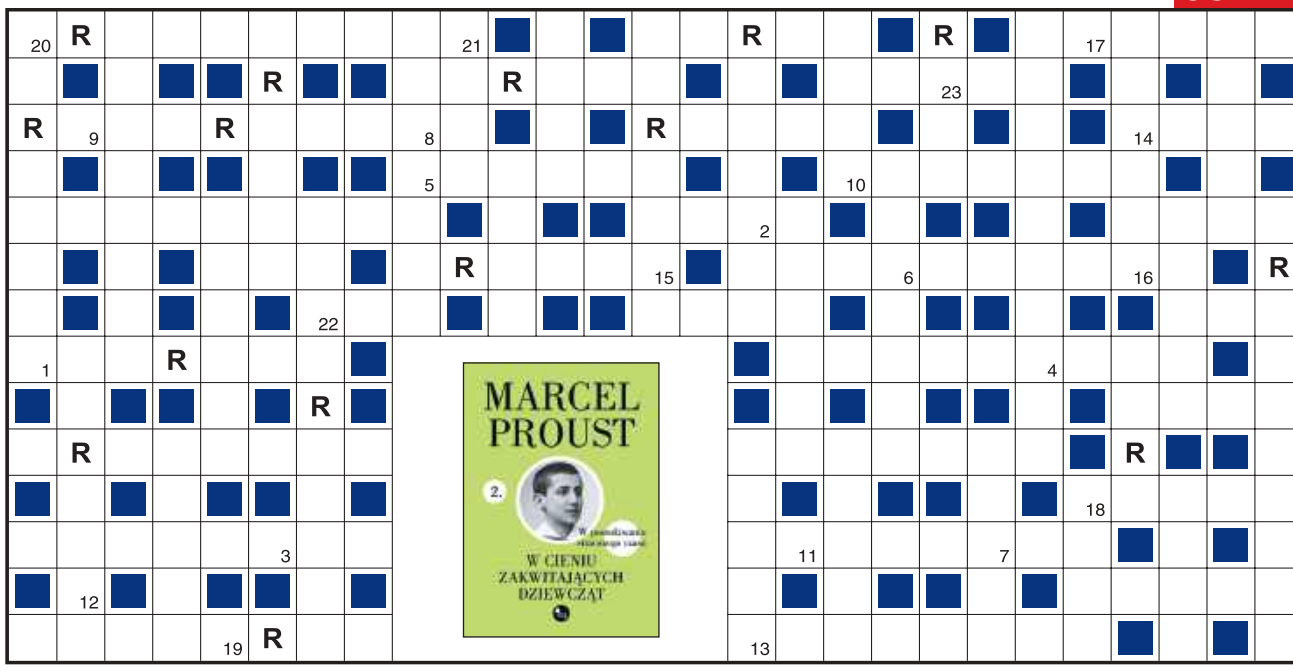
Ten tenis nie może nie zachwycać. Mogą za to się pojawiać obawy o najbliższą przyszłość po takiej rewolucji – Polka dotąd była zawodniczką anonimową, teraz grała przed celebrycką publicznością, oklaskiwana przez idoli na trybunach (chociażby przez Brada Pitta), chwalona przez legendy w studiu telewizyjnym (Andre Agassi nazwał Maję „darem dla tego sportu").

Zdarzało się, że gwiazdy nagle rozbłysłe równie szybko gasły – jak choćby Emma Raducanu, sensacyjna zwyciężczyni US Open sprzed sześciu lat, którą nagła popularność i kontrakty z wielkimi markami tak rozkojarzyły, że nawet nie zbliżyła się do tamtego wyniku. Chwalińska wydaje się jednak zbyt dojrzała i poukładana, aby stracić głowę – zbyt długo dochodziła na szczyt. Już niebawem Wimbledon, na którym tytułu będzie broniła Iga Świątek, a w którym Chwalińska może nawet nie wystąpić, o ile nie dostanie dzikiej karty, bo przedzieranie się przez eliminacje na trawie finalistce Wielkiego Szlema nie przystoi.

A chciałoby się, żeby nasza nowa gwiazda na trawiastej nawierzchni definitywnie zamknęła usta niedowiarkom. ■

eprasa.pl ffe8783b81

JOLKA



Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- tempo powolne, szybsze niż largo
- miasto nad Garonną, Nostradamus tam się ożenił
- duża metalowa zapinka
- najjaśniejsza gwiazda w gwiazdozbiorze
- pierwszym został Aaron, brat Mojżesza
- z francuska i żartobliwie o majtkach
- przeciwieństwo znawczyni, ekspertki
- kształcenie, wychowywanie
- owoc pracy
- współautor „Manifestu komunistycznego”
- piękno w praktyce, gustowny wygląd
- filmowy chwyt komediowy
- Andromedy lub Droga Mleczna
- wziąć kogoś do niego – zmusić do większego wysiłku, pośpiechu
- pomieszczenie dla samochodów
- grupka ludzi, niewielka ilość
- dawny ludowy instrument smyczkowy
- …Lollobrigida
- życzliwe przyjęcie kogoś, odwiedziny
- hiszpański malarz Francisco…
- nieuctwo, niewiedza
- niebezpieczna zabawa z ogniem
- denerwujący poltergeist z Hogwartu
- Trojanowska albo Skrybant
- drzewna, mózgowa lub na pościel
- kurs języka obcego na uczelni
- karabinu lub w dzienniku za nieuctwo
- imię Fonsiego śpiewającego „Despacito”
- służy do niej ministrant
- paliwo do lampy Łukasiewicza
- …własne piszemy wielką literą
- Nyks jej boginią
- ocalał z biblijnego potopu
- ma go pliszka i śliwka
- czapki wojskowej, pieczęci i monety
- przestępca żądający okupu
- usypisko, sterta
- część ceny towaru uiszczona z góry
- dokonywany z języka obcego
- pocisk sygnalizacyjny, fajerwerk
- nakładane ograniczenia
- mięso z lędźwiowej części wołu
- długopisopodobne narzędzie do ekranów dotykowych
- i kiełbasa, i żółty ser
- najważniejszy kolegialny organ uczelni
- …i Orawa
- gdy wiatr miota białe płatki
- zapalane na torcie
- dźwięk wiatru lub lecącej kuli
- niewyjawianie, ukrywanie prawdy
- opakowanie w kształcie rury lub instrument
- coraz częściej doskwierają latem
- suma jednomianów
- nieudana, niewyrośnięta warstwa ciasta
- krawiecka zakładka
- …maku z wiersza Miłosza
- daremne… próżny trud
- ciemne i połyskliwe chrząszcze

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1278”. Do rozlosowania książki „W cieniu zakwitających dziewcząt” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 21 czerwca 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1275” z nr. 22: *Nie z każdej dzieży dobry chleb.*

Nagrody otrzymują: Józef Dymalski z Wrocławia, Zbigniew Grzegorzewski ze Sremu, Magdalena Pyra z Lublina.

eprasa.pl ffe8783b81

Podpisze czy nie?

Radosław Sikorski co najmniej trzy razy dogadywał się z Andrzejem Dudą w sprawie ambasadorów – ze skutkiem śladowym. Prezydent podpisał nominacje niewielkiej grupie, ale zdecydowanie większej – nie podpisał. I tyle.

Teraz podobne rzeczy dzieją się z Karolem Nawrockim. Owszem, słyszało się różne newsy – że Nawrocki dostanie pakiet „swoich" ambasadorów albo że Sikorski wycofa Bogdana Klicha z Waszyngtonu i Ryszarda Schnepfa z Rzymu. I że to będzie początek współpracy. Ale na spekulacjach się skończyło.

Potem pojawiła się informacja, że powstanie specjalny zespół, który sprawy ambasadorów będzie uzgadniał z urzędnikami Kancelarii Prezydenta. A z ramienia MSZ działać w nim będzie Henryka Mościcka-Dendys. I to jest ciekawe. Otóż Henryka Mościcka-Dendys, dziś dyrektor generalna MSZ, ma dobre kontakty z Kancelarią Prezydenta. Czasy PiS przeszła suchą nogą, a nawet lepiej. Dokończyła kadencję ambasadora w Kopenhadze, wróciła do kraju i została dyrektorem Biura Inwestycji MSZ. Odpowiadała m.in. za nieruchomości MSZ za granicą, za zakupy i sprzedaż budynków oraz za ich remonty. Była ważnym dyrektorem w przeciwieństwie do Rafała Wiśniewskiego, jej poprzednika na stanowisku dyrektora generalnego, którego pisowcy niszczyli. W tym czasie wiceministrem w MSZ był Marcin Przydacz, obecnie sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP i szef Biura Polityki Międzynarodowej.

Po objęciu MSZ przez Sikorskiego Mościcka-Dendys awansowała: najpierw była wiceministrem, teraz jest dyrektor generalną. Nowe stanowiska specjalnie jej nie zmieniły, utrzymuje dawne znajomości. Co dla Przydacza, ale nie tylko dla niego, jest ważne – bo w systemie MSZ dyrektor generalny odpowiada za kadry, a że ludzi z czasów PiS zostało tam sporo, jest co załatwiać z osobą pełniącą tę funkcję.

Parę tygodni temu Mościcka-Dendys wzięła udział w debacie, która odbyła się w Szkole Głównej Handlowej i poświęcona była dyplomacji otwartej. Towarzyszył jej Arkady Rzegocki, który przyszedł do MSZ w czasach PiS, był ambasadorem w Londynie i szefem Służby Zagranicznej MSZ. Rzegocki po debacie ją komplementował – czyli było miło.

Co z tego, że jest miło – ktoś zapyta – skoro w tak ważnych sprawach jak nominacje ambasadorskie nic się nie dzieje? I nawet Mościcka-Dendys nic w tej materii jako szefowa zespołu nie zwojowała?

Otóż niekoniecznie, rozeszło się bowiem po MSZ, że zwojowała, załatwiła przynajmniej jedną nominację, jeden podpis Nawrockiego. Dla siebie. Chodzi o to, że ma być kandydatką na ambasadora w Berlinie. Zastąpić tam ma Jana Tombińskiego, chargé d'affaires a.i., który podobno jest już zmęczony i sygnalizował chęć zakończenia misji. Tym samym pani Henryka będzie trzecią osobą z kręgów kierowniczych MSZ z czasów Sikorskiego, która wyjedzie, by kierować ambasadą. Pierwszy wyjechał Marek Prawda – do Szwajcarii, jako chargé d'affaires. Nie przeszkadza mu to, w jego przypadku bardziej liczy się dobra placówka na zakończenie kariery. Za chwilę wyjeżdża do Londynu wspomniany Rafał Wiśniewski. Już pożegnał się z kolegami w centrali i też jedzie jako chargé d'affaires a.i., bo przecież wie, że podpisu Nawrockiego się nie doczeka.

A potem – Mościcka-Dendys. Czy jako ambasador? Przekonamy się niebawem.

Attaché



Przedstawienie powitalne w Pjongjangu z okazji wizyty prezydenta Chin. Xi Jinping zadeklarował gotowość zacieśnienia więzi z Koreą Północną na „nowych poziomach". 9 czerwca 2026 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ffe8783b81





PENETRACJE

TYGODNIK ANGORA

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Kierowniczka POLSA, czyli Polskiej Agencji Kosmicznej, bliżej nieznana dr Marta Ewa Wachowicz (na posadzie od roku), zwróciła się do premiera, by zakazał otwierania gęby Uznańskiemu, bo ten krytykuje jej Agencję i zadaje za dużo krytycznych pytań. Uznański jest polskim astronautą z niekwestionowanym i imponującym dorobkiem. Dlaczego premier ma cokolwiek mu zakazywać? Wszak nie ma nawet do tego prawa. Czego oczekuje więc nieszczęsna, pozbawiona wyobraźni kobiecina rzucona w koalicyjnym spazmie na odcinek kosmosu? (…) Rodzi się pytanie, czy minister Domański sprawuje aby właściwy nadzór nad tym kosmicznym Państwowym Ośrodkiem Maszynowym? I nie chodzi tylko o żenujący i kuriozalny styl, w jakim potraktowano Uznańskiego. To nic nowego. Pracownicy Agencji od jesieni ub.r. alarmują o demontażu instytucji, łamaniu praw pracowniczych i chaosie organizacyjnym.

KRAKÓW

WIESŁAW WŁADYKA,
PUBLICYSTA „POLITYKI"

Uważam, że jedyną szansą dla nas, żeby nie pogłębiał się ten proces – bo będzie się pogłębiał – trumpizacji, populizmu, zerwania jakiejkolwiek logiki w dyskursie publicznym, jest nasza Europa. Ratunek jest tylko w Europie. Europa ma kolejną szansę albo raczej stoi przed nią kolejne wyzwanie – jak po pierwszej wojnie światowej i po drugiej. Europa wchodzi dziś w nieszczęście, ale ma jedną siłę. Siłę renowacji. To znaczy powrotu do swoich wartości. Nawet, powiedziałbym, tych z czasów ateńskich. Jest bowiem kulturą, która ma w sobie, na szczęście – gen wątpienia. Europa nigdy nie była stuprocentowo sama siebie pewna – ale przez to zwątpienie i zdolność samoodnawiania jest szansa, że znowu stanie się aksjologicznym liderem świata.

TYGODNIK POWSZECHNY

WOJCIECH WAGLEWSKI,
WOKALISTA, KOMPOZYTOR

Ja w ogóle uwielbiam ptaki. Jak kupiliśmy dom niedaleko Kazimierza, po drugiej stronie Wisły, to przeżyłem niesamowite spotkanie z kosem. Ja wcześniej nie wiedziałem, że kos jest takim znakomitym śpiewakiem. Któregoś dnia wstaję i słyszę, jak ktoś śpiewa na maksa. Z początku myślałem: pewnie słowik. Coś zagwizdałem, a on skubany mi odpowiada. To ja jeszcze raz, a on też. Gadaliśmy tak prawie pół godziny. Co za metafizyka! No i okazało się, że to kos. Ptaki to dla mnie kwintesencja piękna. Nie znam brzydkiego ptaka. Nawet taki wróbelek ma w sobie coś fantastycznego.

na szczycie

AGNIESZKA SZYMASZEK,
PRZEWODNICZKA TATRZAŃSKA, REDAKTORKA NACZELNA KWARTALNIKA „TATRY"

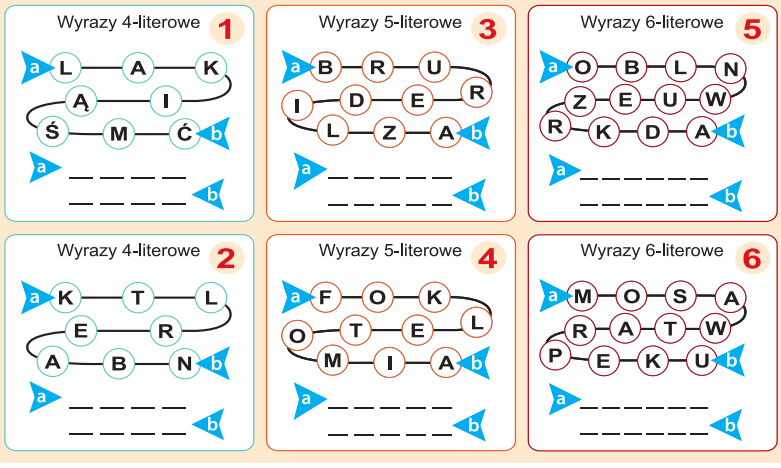
Wszystkie moje spotkania z niedźwiedziami były przyjemne, bo z daleka. Przez długi czas w ogóle nie widziałam niedźwiedzia. Zmieniło się to dopiero na obozach Tatra Girls. Raz nawet niedźwiedź mocno wystraszył nasze dziewczyny. Odpoczywałyśmy w Dolinie Pańszczycy, przy rozdrożu szlaków i traf chciał, że akurat wtedy TOPR poszukiwał tam śmigłowcem ciała zaginionej turystki. Latał nisko, a huk odbijający się od ścian spłoszył niedźwiedzia, który wyskoczył z kosówki na ścieżkę niemal wprost „w objęcia" naszych dziewczyn. Na jego widok zaczęły tak wrzeszczeć, że przestraszył się ich biedaczysko bardziej niż śmigłowca i skręcił w bok. Zrobiło mi się go strasznie żal, bo to przede wszystkim on był ofiarą tej sytuacji.

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (2)

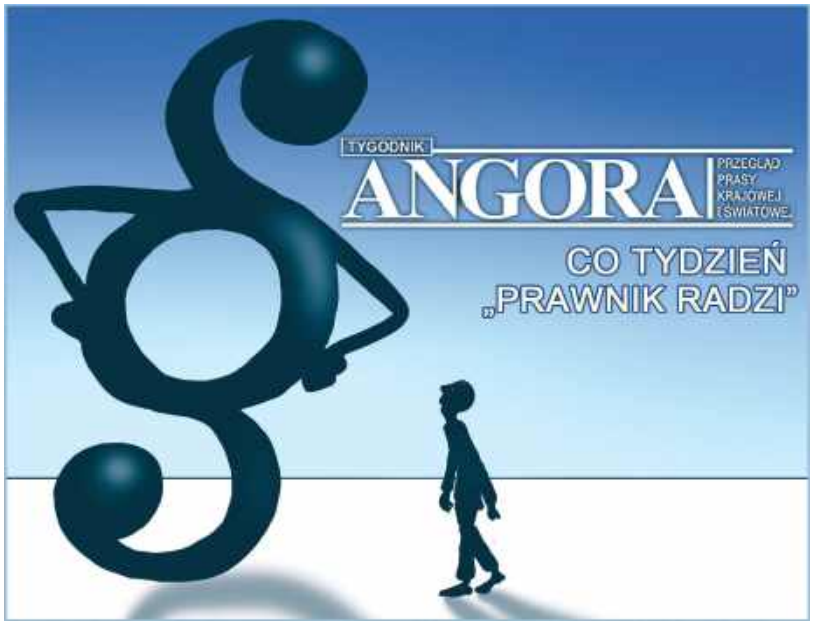
eprasa.pl ffe8783b81

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.



ROZWIĄZANIA: LIŚĆ, MAŁA, TLEN, BARK, BURZA, LIDER, FOLIA, MOTEK, BLUZKA, DREWNO, MOSTEK, UPRAWA



Aby język giętki…

PROF. MARCIN MATCZAK O NAWROCKIM I PiS

Chcą funkcjonować w państwie, w którym nie ma ograniczeń dla tego, co robią. Likwidując niezależne sądownictwo, usuwają zabezpieczenia i kontrolę nad swoją władzą.

AGNIESZKA HOLLAND O KAMPANII TRZASKOWSKIEGO

Mógł spokojnie wygrać, gdyby to nie wyglądało tak żałośnie, jak wyglądało. Głuchota na rady, na oferty pomocy.

ANDRZEJ STANKIEWICZ O TOMASZU SAKIEWICZU

Dzięki rządom PiS został milionerem. Teraz chce władzy, jak większość milionerów.

RENATA KIM O SZYMONIE HOŁOWNI

Choćby jeszcze sto razy oskarżył wszystkich, że rzekomo chcą go umoczyć w aferę Collegium Humanum, dowody nie znikną.

PROF. MIKOŁAJ CZEŚNIK O PARTII RAZEM

Działa jak pospolite ruszenie w Rzeczypospolitej szlacheckiej, od zrywu do zrywu. Przydałoby się jej więcej systematycznej pracy.

AGATA PASSENT O MÓZGU

Mamy dwie półkule mózgowe. I w ogóle lubimy duety. Czy zgoda na rządy dwóch pałaców ma neurologiczne podstawy?

GRAŻYNA WOLSZCZAK O PSYCHICE

Psychika człowieka jest niezwykła. Zasuwam tak samo jak 30 lat wcześniej. Albo nawet bardziej.

ELŻBIETA ROMANOWSKA O NADZIEI

Na płacz zawsze przyjdzie czas, a póki jest nadzieja, trzeba walczyć.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Beata Igielska, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl ffe8783b81



Seria Zagłada

Zofia Rydet

Świat uczuć i wyobraźni

Cykl „Świat uczuć i wyobraźni" Zofii Rydet uznawany jest dziś za jedno z najważniejszych osiągnięć polskiej fotografii. Powstałe w latach 1968-1975 fotomontaże tworzą bardzo osobistą, wielowątkową opowieść o pamięci, miłości, przemijaniu i nadziei. Prawie 100 fotografii, ułożonych w 17 serii tematycznych, ukazuje świat przez pryzmat wyobraźni i symbolu. Inspirując się estetyką surrealizmu, Rydet stworzyła autorski język wizualny. Jej sugestywne kompozycje odwołują się zarówno do doświadczeń jednostkowych, jak i do uniwersalnych lęków oraz pragnień.



Seria Za ścianą życia

Muzeum Narodowe w Gdańsku,
Oddział Zielona Brama
Długi Targ 24
do 27 września



Seria Oczekiwania

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Seria Zagłada

eprasa.pl ffe8783b81

INNOWACJE, KTÓRE CHRONIĄ POLSKĘ

Łukasiewicz
Sieć Badawcza

Z laboratoriów do działań operacyjnych: nasze rozwiązania wzmacniają bezpieczeństwo Polski i Polaków.





Tworzymy:

- bezzałogowe platformy lądowe i powietrzne
- wielozadaniowe pojazdy ratownicze
- systemy cyberbezpieczeństwa
- technologie do programów amunicyjnych
- zasilanie do rakiet i dronów
- osłony balistyczne
- półprzewodniki do systemów łączności.

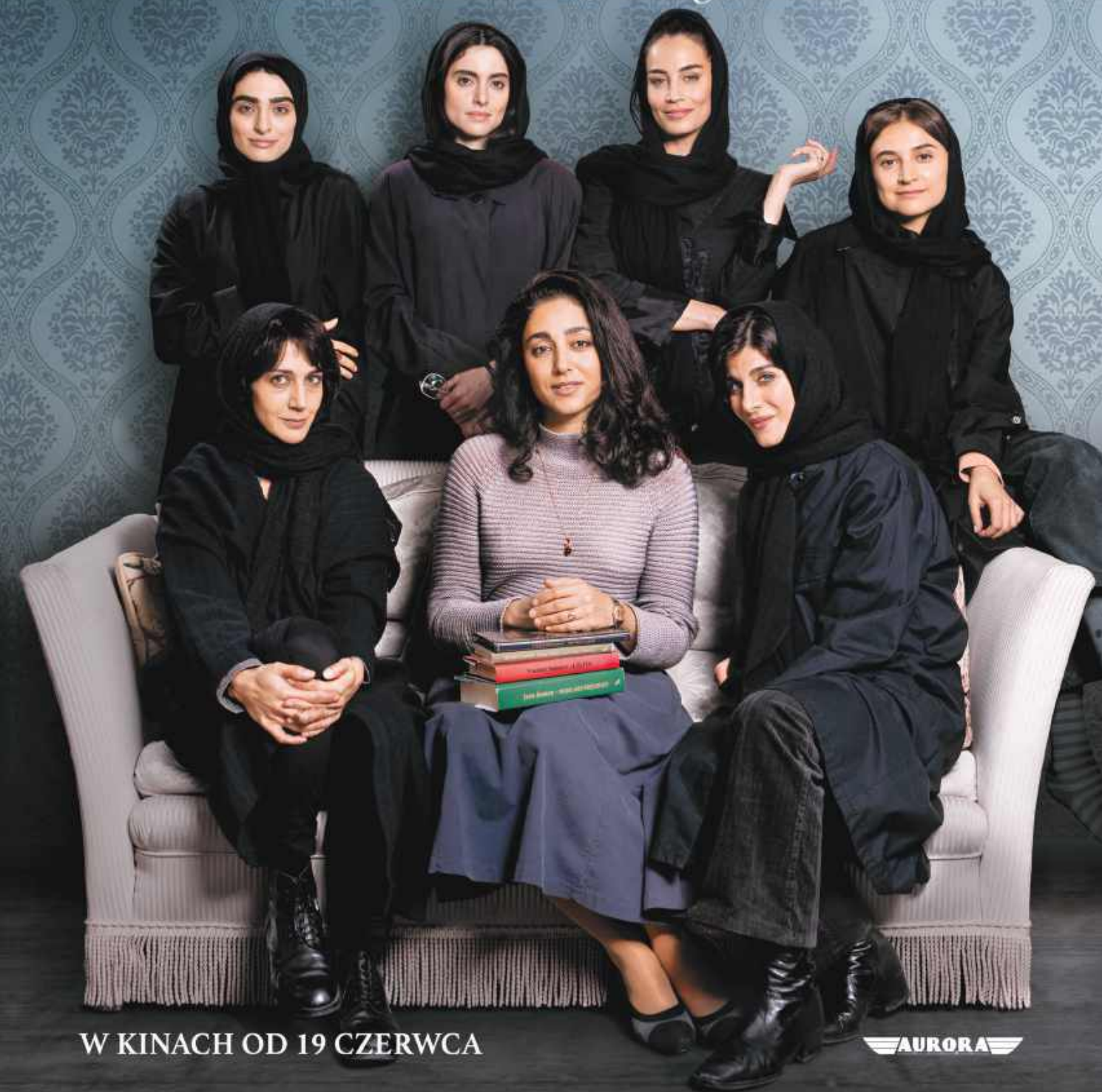
Współpracujemy z Siłami Zbrojnymi RP, służbami mundurowymi i przemysłem. Dostarczamy rozwiązania technologiczne o podwójnym zastosowaniu (cywilnym i wojskowym), które budują bezpieczeństwo narodowe.

Odwiedź nas na lukasiewicz.gov.pl

NA PODSTAWIE BESTSELLEROWEJ AUTOBIOGRAFII AZAR NAFISI

CZYTAJĄC LOLITĘ W TEHERANIE

Kobieca solidarność, odwaga i siła!



W KINACH OD 19 CZERWCA

AURORA

eprasa.pl/fe8783581